

*Andrew Garve*

*PULAPKA  
NA  
MIŁOŚĆ*

**Przekład:**

**PAWEŁ SMOGORZEWSKI**

**„C & T Editions –  
– Crime & Thriller”  
Toruń**

## ROZDZIAŁ 1

Panna Phelps rozmawiała przez telefon.

— Panie Cole, właśnie przyszedł Lord Quainton... Tak, rozumiem. — Skinęła do mnie przyjacielsko. — Pański szef jest wolny. Może pan iść.

Podziękowałem i wszedłem do gabinetu naczelnego.

John Cole wstał z krzesła i powitał mnie wylewnie.

— Dobrze znowu cię widzieć, Tim — powiedział.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną o pooranej twarzy. Pracowałem dla niego od blisko dziesięciu lat, najpierw jako reporter, a potem jako korespondent zagraniczny. Szanowałem go i lubiłem.

— Weź sobie krzesło — powiedział. — Przepraszam, że przedwczoraj nie miałem czasu... Usadowił się za biurkiem, zakładając nogę na nogę. — Jak się czujesz?

— W porządku — odparłem.

— Żadnych kłopotów ze zdrowiem? Żadnej nerwicy? Żadnego moskiewskiego splinu?

— Nic z tych rzeczy.

— Świetnie. Bardzo schudłeś... Czy myślisz, że będziesz w stanie podjąć się kolejnego zadania?

— O, tak — powiedziałem. — Tam się dzieje wiele interesujących rzeczy. Awantura z Chinami, kłęska w rolnictwie i tak zwana odwilż. Nie ma czasu na nudę.

— Wciąż nie wierzysz w odwilż?

— Nie sądzę, aby komukolwiek udało się — na razie — przełamać pierwsze lody.

Roześmiał się.

— Cóż, musimy o tym pogadać przed twoim ponownym wyjazdem... A tak w ogóle, Tim, świetnie się spisałeś. Przyśłałeś solidne, sprawdzone informacje i pogłębione komentarze, jakich właśnie potrzebuje niedzielna gazeta.

Przyjąłem komplement do wiadomości, starając się nie sprawiać wrażenia nazbyt zadowolonego.

— Oczywiście — kontynuował po chwili — posiadanie swojego człowieka w Moskwie to raczej luksus dla tygodnika. Teraz jesteś znany i sądzę, że powinniśmy cię wykorzystać w większym stopniu. Co byś powiedział na to, żeby na jakiś czas porzucić tę rutynową, agencyjną robotę i poświęcić się pisaniu naprawdę ambitnych artykułów?

— Brzmi to ciekawie — stwierdziłem. — O czym konkretnie myślisz?

— Otóż niedawno rozmawiałem z człowiekiem o nazwisku George Sutton. Jest importerem drewna. Powiedział, że Rosjanie nigdy nie nauczą się dawać sobie rady z zimą — chodzi o ekonomię, przemysł — tak jak to się dzieje na amerykańskim środkowym Zachodzie czy w Kanadzie. Stwierdził, że są właściwie zahibernowani i to najważniejszy ze wszystkich powodów, dla którego nie potrafią ruszyć z miejsca. Czy zgadzasz się?

— Nie stawiałbym spraw tak mocno — powiedziałem. — Ale coś w tym jest... Oni mają skłonność do tego, aby myśleć o swoich zimach jako o czymś, co trzeba przetrwać, nie zaś oswoić. Nie ludzie są tam na świeczniku, ale masy. Wieśniakom wystarczy, że przeżyją ten czas.

— To by znaczyło, że wszystko wówczas zwalnia swój bieg...

— W ogromnym stopniu. Ludzie zdają się być zrezygnowani. Z natury są powolni i zapóźnieni w rozwoju, a klimat jeszcze wzmacnia te cechy.

Cole przytaknął.

— Tak też myślałem. To interesujący pogląd. Z początkiem zimy pojedziesz tam z powrotem, na sześć tygodni. Co myślisz o zimowej podróży — powiedzmy — przez Ukrainę? Podróż wszechstronnej, obejmującej wizyty w kołchozach i zakładach przemysłowych dorzecza Donu. Dowiesz się, jakie techniki sto-

sują zimą i jeśli się okaże, że odstają, to w jakich dziedzinach. Nic takiego, chodzi o zwykły zwiad. Napisz potem obszerny materiał, składający się z dziesięciu tysięcy słów — barwny, bogaty w opisy. Możesz wszystko tam przemyśleć, możesz wrócić, jeśli chcesz, i tutaj wszystko napisać. Opublikujemy to w kilka tygodni... Jak ci się podoba ten pomysł?

— Oczywiście bardzo — odpowiedziałem. — Nie ma nic, co lubiłbym bardziej... Sądzę, że wiesz o trudnościach?

— Myślę, że zdobędziemy pozwolenie.

Przytaknąłem.

— Odwilż wcale nie umożliwia tego rodzaju podróży. Nie pozwolą mi poruszać się samemu.

— Nawet wiedząc, że mówisz po rosyjsku niczym rodowity Rosjanin?

— To z pewnością może ich najbardziej drażnić — mogę z łatwością porozumiewać się z ludźmi... Nie, oni będą pragnęli poznać marszrutę i z pewnością uprą się, aby wysłać kogoś ze mną.

— To ci przeszkadza?

— Nie, a w przypadku pracy nad tekstem może nawet pomóc! Ale tak wiele czasu zabiera im zorganizowanie czegokolwiek...

— Myślisz, że może być środek lata, zanim będą gotowi?

— To może być z łatwością i następna zima! Tak czy inaczej, zwrócę się z tą sprawą, od razu po powrocie, do Departamentu Prasy. Zobaczą, co powiedzą...

— Dobrze, powiedz im, że zależy nam na wyjeździe... W tym czasie przemyśl wszystko — zrób plany, może... — Cole spojrział na zegarek, rozprostował nogi i wstał. — Swoją drogą, umówiony jestem o ósmej wieczorem z Bressowem na kolacji. To sekretarz ambasady ZSRR. Będzie miło, jeśli dotrzymasz nam towarzystwa. O ósmej w moim domu...? Przepraszam za tak krótkie spotkanie.

Zawahałem się, ale tylko przez moment.

— To ja przepraszam — powiedziałem. — Boję się, że jestem zajęty dzisiejszego wieczoru.

— Cholera! To ważne spotkanie, Tim? Nie możesz z niego zrezygnować?

Potrząsałem głową z ubolewaniem.

— Naprawdę jest mi przykro. Bardzo chciałbym być u ciebie...

Cole skrzywił się.

— Cóż, jesteś na urlopie, nie mogę więc wydać ci służbowego polecenia. Musimy umówić się wkrótce na lunch. Poproszę pannę Phelps, żeby zamówiła dla nas stolik... Mam nadzieję, że będziesz miał przyjemne wakacje.

— Dziękuję — powiedziałem. — Sądzę, że tak będzie.

\* \* \*

O ósmej wieczorem, mając tylko lekkie wyrzuty sumienia, siedziałem przy zacisznym stoliku w *Gourmet Restaurant* na Soho, czekając na dziewczynę, którą spotkałem na przyjęciu poprzedniego wieczora.

To czysty przypadek, że tam poszedłem. Przyleciałem z Moskwy około południa, zameldowałem się w hotelu w pobliżu Strand i wykonałem kilka telefonów do krewnych. Potem poszedłem do redakcji zdać relację Dukesowi, kierownikowi działu zagranicznego, przywitać się ze starymi znajomymi. Plotkując i wspominając spędziłem z nimi popołudnie, lecz jak na złość, nikt nie miał wolnego wieczoru. Z braku lepszego zajęcia powlokłem się na pokaz filmowy i przyjęcie dla prasy, na które redakcja została zaproszona. Akcja filmu, dreszczowca, według materiałów reklamowych toczyła się w Rosji. Byłem ciekaw, jak został wyreżyserowany. Wątek główny był interesujący, lecz tło zdarzeń miało tak niewiele wspólnego z rzeczywistością, że z ledwością wysiedziałem do końca projekcji. Przyjęcie, które następnie się odbyło, było podobne do miliona innych przyjęć i już zdecydowałem się na jego opuszczenie, kiedy zauważyłem — raczej niezwykle wyglądającą — samotnie stojącą dziewczynę. Moje spojrzenie, kiedy je przechwyciła, spotkało się z zimną, badawczą odpowiedzią. Ruszyłem ze szklanką w dłoni, z uprzejmym, koktajlowym uśmiechem. Odwzajemniła uśmiech.

Jej twarz była niby sroga, ale uśmiech miała zniewalający. Przeszył mnie niczym sztylet.

Tak jak jest to w zwyczaju, przedstawiliśmy się sobie i rozpoczęliśmy pogawędkę. Była — jak się okazało — osobistą sekretarką producenta filmu, Antona Darlana. Wyglądała na jakieś dwadzieścia cztery lata. Jej angielski był równie czysty jak mój, lecz nazwisko, jakie podała, brzmiało Maria Raczinsky. Zapytałem, czy jest Rosjanką. Po kilku drinkach i w całym splotcie wydarzeń wieczora, postawienie tego pytania nie było wcale takie głupie.

— Nie, jestem Brytyjką — odparła, lekko oburzona.

— Oczywiście — powiedziałem. — Głupiec ze mnie.

Roześmialiśmy się. Okazało się, że jej nazwisko wymawia się Raczinski, a imię — Marya, pisane przez „y”. Jej ojciec był Polakiem, lecz dawno temu naturalizował się, a ona wychowywana była całkowicie w angielskim duchu. Zarzuciła żeńską formę nazwiska *Raczyńska*, wyjaśniła, aby uniknąć nieporozumień.

Byłem nią zauroczony. Wysoka brunetka o zielonkawych oczach, owiana aurą wielkiej godności. Wypiełgnowana, postawna, wydawała się być bardzo inteligentna. Choć zamieniliśmy tylko kilka zdawkowych zdań, jej sposób rozmowy miał naturalność i prostotę, jakie dotychczas wiązałem tylko z rosyjskimi dziewczynami. I ten uśmiech! Stary komunał o rozświetlonej twarzy znakomicie oddaje to, co się wydarzyło. Chciałem go znowu wywołać, pragnąłem, żeby znów się pojawił. Był uroczy — i ona taka była. Nie nosiła obrączki, co wydawało się być nie do wiary. Czuliśmy się ze sobą tak dobrze, że zanim przyjęcie dobiegło końca, ośmieliłem się zapytać ją, czy nie zechciałaby następnego dnia zjeść ze mną kolację i ku mojemu zdziwieniu zgodziła się.

Siedziałem więc teraz w *Gourmet*, doświadczony dziennikarz o przyspieszonym pulsie, trzydziestoletni kawaler gotów nawet zrezygnować ze swojej wolności — a wszystko za przyczyną uśmiechu i rozmowy, która trwała godzinę.

\* \* \*

Siedziałem przy stole, niespokojnie zerkając na drzwi, ponad dwadzieścia minut, zanim się zjawiła. Zobaczyłem jak weszła i rozmawia z kierownikiem sali. Pomachałem rękę. Zwróciła się w moim kierunku. Na jej twarzy malowało się zakłopotanie, gdy podeszła.

— Przepraszam, że się spóźniłam — zaczęła.

— Przyszłaś — odparłem — to najważniejsze.

— Straszne korki na ulicach...

— Nie myśl o tym. Tam, skąd wracam, ludzie uważają, że dotrzymują obietnicy stawienia się na spotkanie, jeśli zjawia się we właściwym dniu. — Pomogłem jej zdjąć płaszcz. — Czego się napijesz — gin, sherry?

— *Tio Pepe*, proszę.

Zamówiłem sherry, a dla siebie martini. Kelner odszedł.

— Wiesz — powiedziała — mogę przysiąc, że kierownik sali powiedział Lord Quainton, kiedy zapytałam o ciebie.

— Spodziewałem się tego. Byłem już kiedyś tutaj.

— To znaczy, że masz tytuł lorda?

— Tak.

— O!

— Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

— Oczywiście, że nie... — Zdawało się, że nie jest tego zbyt pewna.

— Mogę zrzec się tytułu — zaproponowałem.

Roześmiała się.

— Byłam zaskoczona, przecież... Jedyni lordowie, jakich znam, są łysi i starzy.

— Oni są w różnym wieku...

Podano drinki. Wzniosłem kieliszek.

— Cóż, miło cię widzieć znowu, Maryo. Tyle czasu minęło...

— Jesteś niemądry — odparła. Sączyła swoje sherry. — Podobna ci się to, że jesteś lordem?

— Są z tego pewne korzyści. Nade wszystko, oczywiście, społeczne... Gdy chodzi o pracę zawodową, czasami to, że jest się ze szlachty, pomaga otworzyć niektóre drzwi. Osobliwym jest fakt, że na Rosjanach tytuły robią wrażenie... Poza tym

dobrze jest pomyśleć, że jeśli bardzo tego będę chciał, mogę zająć miejsce w Izbie Lordów i porozrabiać.

— Czy kiedykolwiek chciałeś? Myślę o zajęciu tego miejsca...

— Mogłem to uczynić, ale musiałbym o wiele wcześniej dokonać wyboru... Nigdy nie pragnąłem zostać członkiem Parlamentu. Mój ojciec nim był i obserwując go stwierdziłem, że to straszne zajęcie. Większość czasu spędzał niczym pracownik urzędu opiekuńczego swych wyborców — pracował w nadgodzinach i był źle opłacany. W końcu został mianowany baronem, dlatego że przyszły minister chciał zająć jego miejsce. Tytuł przeszedł na mnie — też jestem baronem. Nie płynie w moich żyłach, co prawda, błękitna krew, jak widzisz, a tylko kwarta alkoholu.

Kelner zaproponował niesamowite menu.

— Coś zamówimy — zdecydowałem — a potem porozmawiamy w spokoju.

Maryja wybrała melon i eskulapki de veau Marsala, co było specjalnością tego zakładu. Poprosiłem o to samo. Mając Maryję naprzeciwko, wyglądającą na bardzo zadowoloną, mógłbym być szczęśliwy jedząc kanapkę. Zamówiłem butelkę *clatera*, ponieważ pomyślałem, że go lubi i po tych „obowiązkach” mogłem już się odprężyć.

— Wiesz — powiedziałem — to najsympatyczniejsza rzecz, jaką zrobiłem w ostatnich latach.

— Naprawdę? Nie czujesz się dobrze w Moskwie?

— Nie o to chodzi. Są i przyjemne chwile, ale nie jest to miejsce beztrudnej zabawy.

— Jak to się stało, że zostałeś tam wysłany?

— W sumie wszystko zaczęło się od kursu języka rosyjskiego, jaki ukończyłem w korpusie wywiadowczym, kiedy służyłem w National Service. Trzeba było ciężko pracować i wykazać się wynikami w nauce — albo wrócić na ćwiczenia. Oczywiście ciężko pracowałem. Później wydało mi się, że stratą byłoby nie używanie języka. Dostałem pracę jako reporter w *Sunday Recorder* i kiedy nadarzyła się okazja, wyraziłem chęć wyjazdu na placówkę w Moskwie. Byłem tam trzy lata.

— Przyjeżdżałeś do Londynu tylko raz w roku?



— Tak, chyba że zdarzyło się coś szczególnego... To nie wyrok śmierci, oczywiście, ale żyję w ciągłym napięciu.

Za to, co powiedziałem, obdarzony zostałem jeszcze jednym uśmiechem.

Przez chwilę, kiedy kelner podawał melona, zaniechaliśmy rozmowy, po czym Marya zapytała:

— Czy koniec października to najlepszy czas, aby wyjeżdżać na wakacje? Nie sądzę, żebyś miał dobrą pogodę.

— Nie. Zazwyczaj na kilka tygodni jadę na południe, do Francji czy Włoch. Wątpię, czy postąpię tak i tym razem... Jednak pogoda nie może być tutaj gorsza niż w Rosji. Czas przejścia z jednej pory roku w drugą jest tam straszny. Kiedy wiosną zaczyna topnieć śnieg, każdy samochód zapada się po osie. Nazywają to *rasputitsa* — nieprzejezdność. Jesienią warunki są równie złe. Jeśli śnieg spadnie na dłużej, wszystko jest w porządku, ale zazwyczaj pada i topnieje kilka razy, zanim na dobre przykryje ziemię. Dla mnie jesień w Moskwie to długie kolejki posępnych ludzi w przemokniętych ubraniach, stojących godzinami w lodowatych podmuchach wiatru. Wreszcie nie będę tego oglądał...

— To brzmi przerażająco. Po co stoją w tych kolejkach?

— Hm, praktycznie po wszystko. Po jedzenie, bilety, pozwolenia na podróż — zawsze stoją w kolejkach. To taka narodowa rozrywka. Opowiem ci zabawną historię.

— Zamieniam się w słuch.

— Pewien mieszkaniec Moskwy o imieniu Iwan potrzebował na gwałt biletu kolejowego do Leningradu. Wiedział, że ma niewielkie szanse na nabycie go w dworcowej kasie, ponieważ stały przed nią zawsze długaśne kolejki, a wewnątrz biletów i tak nie było. Przypomniał sobie, że ma przyjaciela, który pracuje w Departamencie Transportu. Poszedł do niego i wyjaśnił sytuację, w jakiej się znalazł. Przyjaciel był człowiekiem sympatycznym i dał mu pisemne pozwolenie na pójście do szefa kolejki. Iwan był oczarowany. Wziął papier, poszedł wprost do tego szefa i popukał go w plecy. Człowiek, który rzeczywiście był pierwszy w kolejce, powiedział: — Co sobie *myślicie*, *towarzyszu*? *Przejdźcie na koniec*. Iwan, nie zrażony, tłumaczył — *W po-*

*rządku, towarzyszu, mam pozwolenie na to, żeby przejść na czoło kolejki. Tamten spojrział na niego z politowaniem: — Towarzyszu — rzucił — to jest kolejka, w której stoją ludzie z pozwoleniami na to, aby przejść na czoło kolejki!*

Oboje parsknęliśmy śmiechem.

— Muszę to opowiedzieć mojemu ojcu, na pewno mu się spodoba — powiedziała Marya.

Przez jakiś czas jeszcze rozmawialiśmy o Rosji. Nie musiałem się do tego zmuszać to temat, który podejmują z ła-twością, lecz Marya — z powodu swoich związków z Polską, jak sądzę — była nim zainteresowana w szczególny sposób. To, o czym naprawdę chciałem rozmawiać, to była ona sama i tak szybko, jak tylko nadarzyła się okazja, skierowałem rozmowę na sprawę jej pracy w wytwórni filmowej.

— Czy jesteś z niej zadowolona? — zapytałem.

— Bardzo. Dosłownie każdy w filmowym światku to zwa-riowana postać, ale jeśli zaakceptujesz ten stan rzeczy, może być wspaniale.

— Czy bywasz na filmowym planie?

— Czasami. O tym decyduje Anton. W ubiegłym roku kręcił film w Hiszpanii, a ja byłem z nim na zdjęciach przez sześć tygodni. Żar lał się z nieba i wszyscy pili jak smoki. Moje za-danie to robić wszystko, żeby Anton nie nabawił się wrzodów żołądka. To uroczy człowiek, ale straszliwie pobudliwy i zu-pełnie — to nie do wiary — nie dający sobie rady z najprostszy-mi czynnościami dnia codziennego. Jednym słowem, zbierałam takie właśnie kłody spod jego nóg.

— To bardzo ważne zajęcie.

— Tak — potwierdziła z całą powagą Marya. — Często my-ślę, że beze mnie wytwórnia nie przetrwałaby nawet miesiąca.

Uśmiechnąłem się. Jej brak fałszywej skromności działał na mnie odświeżająco.

— Jak długo dla nich pracujesz? — pytałem dalej.

— Około trzech lat.

— Co robiłaś przedtem?

— Studiowałam w Oxfordzie, gdzie ukończyłam wydział sztuki.

- A wcześniej?  
Zastanowiła się.
- Kończyłam szkołę w Szwajcarii.
- A przedtem?
- Przedtem była szkoła z internatem w Eastbourne... Teraz zachowujesz się właśnie jak dziennikarz.
- To zwykła osobista ciekawość, zapewniam cię.
- Dlatego też wybaczam ci. Jeśli jednak chcesz poznać historię mojego życia, to od razu muszę wyjaśnić, że jest ona nieszczególnie interesująca. Prowadzę jak najbardziej typową egzystencję. Wszystkie ważne i dramatyczne rzeczy zdarzyły się, gdy byłam jeszcze zbyt mała, aby wziąć w nich udział. Dokładnie, gdy nie miałam jeszcze trzech lat.
- Wiesz jednak o tych wydarzeniach?
- Tak, oczywiście...
- Czy mogę o nich usłyszeć?
- Pewien jesteś, że tego właśnie chcesz? To raczej ponura opowieść.
- Nie chcę psuć ci nastroju, ale...
- Nie martw się, to było już tak dawno temu... Cóż — urodziłam się we Lwowie, w Polsce, w połowie wojny. Mój ojciec właśnie zaczął studia na tamtejszym uniwersytecie, kiedy wojna się rozpoczęła. Dopiero co się ożenił. Był bardzo młody, miał dwadzieścia jeden lat, niewielki kapitał i wielką wiarę w swoje możliwości. Hitlerowska napaść wszystko zniszczyła. Najpierw przyszli Rosjanie, potem Niemcy, nie mogło być mowy o normalnym życiu. Tato chwycił się każdej pracy, aby tylko zarobić na jedzenie. Później, w 1942 roku, hitlerowcy zesłali go do obozu pracy. Pragnęli zniszczyć Polskę, a chwywanie inteligentów i zmuszanie ich do pracy ponad siły, by umierali z wycieńczenia — to był jeden ze sposobów. Ojciec miał szczęście. Był jednym z tych, którym udało się przeżyć. W obozach spędził resztę wojny. Ostatni, w jakim przebywał, był najgorszym ze wszystkich — nazywał się Loda. Słyszałeś o nim?
- Tak, oczywiście — potwierdziłem. — To znane miejsce. Rosjanie urządzili tam muzeum, którego mottem jest hasło: *Nigdy nie zapomnimy*. Nigdy jednak tam nie byłem.

— Właśnie tam zdarzyły się najbardziej zatrważające rzeczy. Tatuś nigdy nie mówił o sprawach naprawdę mroźnych krew w żyłach, ale wystarczy to, o czym mi opowiadał. Kiedy Armia Czerwona zajęła obóz, korzystając z zamieszania przyłączył się do polskiego oddziału partyzanckiego. Walczył z Niemcami prawie trzy miesiące, dopóki nie został postrzelony w kolano. Rana, oczywiście, zupełnie wyłączyła go z walki. Kilka tygodni trwało leczenie. W tym czasie ukrywał się w wiejskiej chacie. Dla niego był to prawdziwy koniec wojny.

— A co z tobą?

— Jedyna rzecz, jaką zdażyłam wtedy zrobić, to przyjść na świat. Miało to miejsce w 1942 roku, krótko po tym, jak ojciec został wzięty do obozu. Wkrótce potem moja matka zmarła. W tamtym czasie ludzie umierali tysiącami, z głodu i braku opieki. Nie było żadnego bliskiego krewnego, który mógłby wówczas zająć się moją osobą — zaopiekowali się mną sąsiedzi — stare małżeństwo Komorowskich. Tato dowiedział się o tym, kiedy po upadku Niemiec wrócił do Lwowa. Powrót do domu musiał być dla niego straszliwym przeżyciem. W końcu jednak mnie odnalazł. Myślał tylko o jednym — aby wyrwać mnie z tego miejsca. Na piechotę, jak tysiące innych ludzi, opuściliśmy Lwów. Dotarliśmy do obozu dipisów pod Kolonią. Wszyscy dipisi zamierzali dostać się do Anglii albo do Ameryki, ale trudno było wyrwać się z kontynentu. Ojciec miał szczęście. Był wykształconym chemikiem, liczył więc, że będzie mógł bez trudu utrzymać się przy życiu. Tak też się stało.

— A co potem?

— To był oczywiście koniec naszych kłopotów. Tutaj spotkaliśmy już wielu Polaków, mieli swoją organizację pomagającą nowo przybyłym rodakom. Jako, że ojciec miał stopień magistra, skontaktowano go z organizacją o dziwnej nazwie Związek Propagowania Nauki. Ta organizacja pomogła mu w znacznym stopniu. Otrzymał stypendium badawcze i załatwiono mu pracę na Uniwersytecie Londyńskim. Po jakimś czasie został asystentem profesora Malinsa. Rzecz jasna, nauczył się języka angielskiego i tak szybko, jak to było możliwe, został naturalizowany, po czym osiedliśmy w Anglii już na dobre. Mie-

liśmy nianię i gospodynię o imieniu Lucy, która troszczyła się o nas. Była urocza, przepadałam za nią... Potem dorosłam. To naprawdę wszystko...

— To nieprawdopodobna opowieść — podsumowałem.

— Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

— Czy twój ojciec wciąż wykłada na uniwersytecie?

— Nie, zrezygnował z tej pracy. Doszedł do wniosku, że nie sposób utrzymać się z akademickiej pensji. Dostał posadę w firmie kosmetycznej *Floria Products*. Obecnie jest tam naczelnym chemikiem.

— To była na pewno wielka zmiana w jego życiu... Jest z niej zadowolony?

— Mówi, że tak, ale sądzę, że po tym wszystkim, co robił, teraz wykonuje po prostu ogłupiające zajęcie. Osobiście uważam, że to wielka szkoda, iż zarzucił pracę na uniwersytecie, jest bowiem człowiekiem o wielkich zdolnościach, który daleko mógłby zająć na polu nauki. Ojciec był jednak całkowicie zdecydowany, aby dać mi najlepsze z możliwych wykształcenie i wychowanie — a to oznaczało ogromne wydatki... Jeśli byłabym dorosła, protestowałabym, ale — oczywiście — nie byłam.

— Z pewnością wiedział, że warto się poświęcić — powiedziałem. — Pewien jestem, że patrzenie na ciebie, jak wyrastasz na angielską damę, musiało sprawiać mu ogromną przyjemność.

— Też tak myślę.

— Na podstawie tego, co mówisz, odnoszę wrażenie, że twój ojciec jest człowiekiem wybitnym.

— To prawda.

— Mieszkasz razem z nim?

— Tak, mamy mieszkanie na Hampstead. Co rano on wyrusza do laboratorium w Welwyn, ja zaś jadę do miasta, ale jeśli oboje mamy wolne popołudnie, jemy razem kolację.

— Chciałbym się kiedyś z nim spotkać...

Maryś roześmiała się.

— Zobaczmy — powiedziała.

\* \* \*

Spędziłem cudowny wieczór, a moim jedynym pragnieniem, kiedy się żegnaliśmy, było umówić się na następne spotkanie. Nie było to w istocie trudne — Marya zdawała się być również chętna. Wyjaśniła, że nazajutrz wieczorem jest umówiona, ale pojutrze, w sobotę, będzie wolna. Zasugerowałem, że jeśli będzie odpowiednia pogoda, możemy pojechać za miasto — na spacer lub piknik. Powiedziała, że uwielbia tak spędzać czas, więc zaproponowałem, że podjadę po nią na stację metra Charing Cross, o dziesiątej rano.

Prawie cały piątek poświęciłem na poszukiwania samochodu do wynajęcia, który by jej odpowiadał, i na modlitwie, aby pogoda się poprawiła. W obu przypadkach miałem szczęście. Wynająłem prawie nowego mercedesa. Niedziela okazała się przepięknym, październikowym dniem — suchym, słonecznym i łagodnym. W hotelu zamówiłem koszyk z lunchem dla dwu osób i o dziesiątej byłem już na Charing Cross oczekując na przybycie Maryi. Zjawiła się kwadrans później, uśmiechnięta i czarująca. Ubrana była w tweedową spódnicę, żakiet i sportowe buty.

— Jaki cudowny dzień! — westchnęła. — Czyż nie jesteśmy szczęściarzami?

Samochód podobał się jej, zapytała dokąd jedziemy.

— Czy jest takie miejsce, gdzie szczególnie chciałabyś się udać?

— Hm... — powiedziała — skoro pytasz, to jest. Znasz Chanctonbury Ring?

— W South Downs? Tak, znam, ale nigdy tam nie byłem.

— Ja też nigdy tam nie byłem, ale to jedno z ulubionych miejsc mojego ojca. Kiedy chce być sam, często jeździ na ryby do Sussex, a kiedy ryba nie bierze, włóczy się po okolicy. Mówi, że widok ze szczytu Ring jest wspaniały. Czy nie jest to zbyt daleko?

— Nie — odparłem. — Pojedziemy tam.

Niebawem wyjechaliśmy za przedmieścia. Słoneczna pogoda sprawiła, że na drogach było tłoczno, lecz nam nigdzie się nie spieszyło. Mercedesa prowadziło się znakomicie. Maryę spowijał zapach najlepszych perfum. Jeśli o mnie chodzi, ten dzień

mógłby nigdy się nie skończyć. Skupiwszy się na prowadzeniu wozu, pozwoliłem Maryi mówić. Była odprężona i oczywiście szczęśliwa, że jest ze mną. Nieprawdopodobnym, nie do wiary zdawał się być fakt, że jeszcze przed dwoma dniami jedno o drugim nic nie wiedziało.

Do South Downs dojechaliśmy około południa. W miejscowości o nazwie Starrington znajdował się pub *Trzy Korony*, gdzie najprawdopodobniej zatrzymywał się zawsze jej ojciec, ilekroć przyjeżdżał na ryby. Weszliśmy obejrzeć wnętrze i napić się czegoś. Następnie, sprawdziliśmy uprzednio drogę na mapie, pojechaliśmy do małej wioski Washington, gdzie u stóp góry, którą zamierzaliśmy sforsować, zaparkowaliśmy samochód. Ring widoczny był już z szosy — okrągła czapa wiekowych drzew wieńczyła wierzchołek wzniesienia liczącego osiemset stóp wysokości. Ku szczytowi, przecinając łąki równiutko wypasione przez owce, biegła polna droga. Ruszyliśmy z animuszem. Na przyjęciu, gdzie poznałem Maryę, skonstatowałem, że jest typową miejską dziewczyną, ale szła zboczem góry niczym stary góral. W mniej niż dwadzieścia minut staliśmy na szczycie.

Widok z Ringu był wspaniały. Zdawało się nam, że stoimy na szczycie świata. Oprócz naszego samochodu, w dolinie zaparkowanych było kilka innych wozów. Niższe partie zbocza pełne były ludzi, lecz tutaj byliśmy sami. Na północy zabudowania gospodarskie i pola rozpływały się w złocistej poświacie. Na południu widoczna była jasnoniebieska linia morza. Nie ruchome powietrze przesycone było zapachem tymianku. Jedyne dźwięki, jakie do nas dochodziły, to gdzieś w górze śpiew skowronka i beczenie owiec.

Oczy Maryi jaśniały.

— Nic dziwnego, że tatuś lubi tutaj przyjeżdżać — powiedziała. — Czyż nie jest przepięknie, Tim?

— Cudownie — odparłem. — Wszystko jest cudowne.

Spojrzała na mnie, a ja pocałowałem ją w usta. Odpowiedziała pocałunkiem — najpierw nieśmiałym, a potem gorącym. Nie myślałem o niej jako o kimś namiętym, ale taka była.

— To może być ponad nasze siły — powiedziała, wyzwa-

lając się nagle z moich objęć. — Lepiej będzie, jeśli zjemy lunch.

Usiedliśmy i Marya otworzyła koszyk z jedzeniem. Hotelowa kuchnia nieźle nas wyposażyła. Mieliliśmy kurczaka na zimno z sałatką, kruche francuskie pieczywo i masło, gruszki i termos kawy.

— To prawdziwa uczta — stwierdziła — a nie zwykły piknik.

Na trawie rozłożyła obrus.

— Świetnie! — powiedziała. — Bierzmy się do tego!

Byliśmy wygłodzeni po wspinaczce i przez następne piętnaście minut więcej jedliśmy niż rozmawialiśmy.

Po posiłku leżeliśmy leniwie rozciągnięci na trawie.

— Tim, opowiedz mi o rodzinie. Czy twoja matka żyje? — zapytała Marya.

— Nie, zmarła przed kilkoma laty.

— Czy masz braci albo siostry?

— Tak, dwóch braci i dwie siostry.

— Gdzie mieszkają?

— Jeden brat w Walii, drugi w Vancouver. Jedna siostra w Northumberland, a druga w Devon.

— Rozpierzchli się Quaintonowie, co?

— Trochę.

— Pozakładali rodziny?

— Troje z nich — tak. Mam dwóch małych bratanków i jedną bratanicę.

— Wciąż jesteście sobie bliscy?

— Bardzo... Ostatnio nieczęsto się widzujemy, oczywiście. Ale jesteście rodziną bardzo bliską sobie.

Lekko westchnęła.

— Jak ci zazdroszczę!

— Tak — odparłem. — Potrafię to zrozumieć.

— Mam wielu przyjaciół, ale to nie to samo co rodzina. Moim jedynym krewnym, jakiego znałam, jest ojciec. To sprawa, że czasami czuję się, hm... osobą bez korzeni, bez przeszłości.



— Czy twój ojciec nie jest w stanie odszukać żadnych krewnych?

— Nie ma nikogo takiego. On był jedynakiem, tak jak i mama. Wszyscy starsi zmarli już dawno temu.

— Hm, jednym słowem jesteś niczym sierota. A co z Lucy, z tą nianią, o której opowiadałaś? Nie widzisz się z nią? Była przecież dla ciebie jak rodzona matka.

— W istocie, gdy byłam mała, była kimś takim. Jednak sześć lat temu, gdy miałam osiemnaście lat, poznała Amerykankina, wysłała za niego i wyjechała do Kalifornii. Cieszyłam się jej szczęściem, ale bardzo mi jej brakuje.

— Korespondujecie ze sobą?

— O tak, ale to już nie to samo.

— Nie... — wzięłam ją za rękę. — Maryo, wiesz, co najlepiej zrobić, jeśli czujesz, że brak ci rodziny?

— Powiedz!

— Podbij czyjeś serce — powiedziałem.

\* \* \*

Tego dnia w Downs zakochałem się w Maryi. Byłem wobec niej zupełnie szczerzy i nie pozostawiłem jej żadnych wątpliwości, co do stanu moich uczuć. Ona była mniej śmiała w słowach, lecz fakt, że była zadowolona, mogąc spędzać ze mną większość swojego wolnego czasu, dodawał mi otuchy. W ciągu dwóch następnych tygodni właściwie każdego wieczora byliśmy razem, widywaliśmy się także w ciągu dnia. Chodziliśmy na kolacje i potańczyć, odwiedzaliśmy teatry, byliśmy na spektaklu baletowym. W weekendy wyjeżdżaliśmy poza Londyn, do miejsc, które jedno albo drugie z nas lubiło bądź zapamiętało. Wędrowaliśmy po lasach, spacerowaliśmy wzdłuż wybrzeża, zwiedzaliśmy zabytki architektury. Było nam cudownie.

Z punktu widzenia Maryi wszystko to było niczym *blitzkrieg*, i normalnie tak bardzo bym się nie spieszył. Wzajemne poznanie się jest sprawą tak miłą, że nie ma co szybko rezygnować z takich przyjemności. Nie mogłem jednak tak postępować z uwagi na fakt, że musiałem wracać do Moskwy. Pragnąłem być z Maryą. Nie chodziło o jakiś przelotny romans, ale czu-

łem, że jeśli przed wyjazdem nie dojdziemy do porozumienia, moje szanse przypadną. Ona była, jak się dowiedziałem, zaręczona, gdy miała lat dwadzieścia jeden, ale nie doszło do małżeństwa. Wciąż była wolna i los mi sprzyjał, ale to wcale nie znaczyło, że zawsze będzie wolna. Wiedziałem, że była — nie ma dwóch zdań — dziewczyną oddaną pracy zawodowej; jeśli byłoby to tylko możliwe, chciałem przed wyjazdem ofiarować jej pierścionek zaręczynowy. Na razie żadne z nas nie pragnęło małżeństwa, ale oczywiście oboje o nim myśleliśmy.

Próbując podwójnie szybko przeżyć w ciągu kilku tygodni wszystko, co normalnie powinno być rozłożone na miesiące — z powodu mojego zbliżającego się wyjazdu — prowadziliśmy nie kończące się rozmowy. Im lepiej poznawałem Maryę, tym bardziej ją kochałem. Myślałem o tym, że tym co najbardziej pociągało mnie w niej, było oprócz fizycznej atrakcyjności i związanych z tym nadziei — uczciwość i autentyczność jej uczuć. To były, stwierdziłem, szczególne słowiańskie cechy, jakie zauważyłem również u wielu Rosjan — brak kokieterii, szczerść w odpowiedziach, milczenie, kiedy nie ma się nic do powiedzenia, i wybuch żywotności, kiedy tylko rozmowa stawała się interesująca. Marya była wierna samej sobie, wyzbyta jakichkolwiek pretensji, których nie stepiły ani wychowanie, ani edukacja. To zdawało mi się rzadką i drogocną wartością.

To były radosne tygodnie, lecz bywały i chwile poważne, kiedy rozmawialiśmy o życiu, śmierci, świecie i bombie atomowej. W istocie Marya była osobą bardzo trzeźwo myślącą, miała własny pogląd na większość spraw. Zazwyczaj była pełna nadziei. Nie zawsze podzielałem jej optymistyczny światopogląd, lecz wolałem jej dumne, pozytywne nastawienie do życia, niż zwyczajny nihilizm. Miała poczucie zakorzenienia w historii, wiary w przyszłość — co robiło wrażenie. W ogóle — robiła wrażenie dzięki swej mocnej i żywotnej osobowości. Gdyby nie ten jej zniewalający uśmiech, mógłbym wątpić, czy uda mi się ją zdobyć. Jednym słowem, byliśmy znakomicie dobraną parą.

Bardzo często podczas naszych rozmów wspominała o ojcu. Darzyła go ogromnym szacunkiem, byli sobie bardzo bliscy.

Z niejakim żalem odkryłem, że byli nierozdzielni. Ojciec był całkowicie pochłonięty swoją pracą, mówiła Marya. Zachęcał ją, aby była osobą niezależną i polegała tylko na sobie. Miała swoich przyjaciół, samodzielnie spędzała wakacje. Wyglądało na to, że istnieją między nimi partnerskie stosunki. Marya nie wspominała o tym przedtem, dopiero teraz powiedziała, że martwi się stanem zdrowia ojca. Był, jak się okazało, bardzo znerwicowany, czasami popadał w stany przygnębienia z niewiadomych powodów. Prawdopodobnie — myślała — więcej zapłacił za swoje wojenne przeżycia, niż mógł przypuszczać i teraz wszystko to wychodziło na wierzch.

Bardzo żałuję, że ponownie się nie ożenił — mówiła. — Kiedyś myślałam, że może poprosi Lucy o rękę. Wyglądało na to, że ona podoba mu się, była też jemu oddana. Byłam pewna, że powiedziałyby — tak. Sądzę, że to dobrze zrobiłoby im obojgu... Napomknęłam o tym pewnego razu, ale ojciec pokręcił głową ze smutkiem i powiedział, że nie sądzi, aby mógł ożenić się drugi raz. To było krótko po tym, jak Lucy nas opuściła. Sądzę, że ojciec nigdy nie zapomniał o tragediach, jakie przeżył w Polsce. Biedny tato!

Chwila zdawała się odpowiednia, aby znowu powiedzieć, że bardzo chciałbym spotkać się z jej ojcem. Tym razem Marya nie zbyła mnie. Powiedziała, że ojciec również tego chce i obiecała zaaranżować spotkanie.

\* \* \*

W następną sobotę szedłem na lunch do rodziny Raczińskich z drżeniem serca, jako że chciałem zrobić na ojcu Maryi jak najlepsze wrażenie. Drzwi otworzyła ona sama obdarzając mnie powitalnym uśmiechem. W przedpokoju, niczym konspiratorzy, krótko pocałowaliśmy się. W powietrzu unosił się intensywny zapach perfum.

— To nie ja — powiedziała Marya, kiedy pociągnąłem nosem — to tato. Nawet jeśli tego nie chce, zawsze wraca z laboratorium, pachnąc niczym buduar. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

Zapewniłem ją, że zapach buduaru jest moim ulubionym

zapachem, dzięki czemu znowu zostałem obdarowany uśmiechem, jednak pełnym wyrzutu.

— Tata właśnie się przebiera w gabinecie — wyjaśniła. — Zaraz zejdzie.

Zaprowadziła mnie do pokoju gościnnego. Mieszkanie znajdowało się na najwyższej kondygnacji solidnego, wiktoriańskiego domu, stojącego na szczycie wzgórza. Z okien rozpościerał się zachwycający widok w kierunku zachodnim, ponad dachami, linią kolejową i drzewami. Można było czuć się jak na wsi. Racziński najwidoczniej miał słabość do wysokich stanowisk. Wnętrze mieszkania było umeblowane z gustem, choć raczej nowoczesnie. Wszędzie pełno było książek. Kiedy Marya napełniła kieliszki, moją uwagę zwróciło niewielkie, bardzo zniszczone zdjęcie oprawione w metalową ramkę — fotografia pięknej kobiety, na pewno starszej od Maryi.

— Czy nie jest to zbyt patetyczne? — zapytała, kiedy przyglądałem się portretowi. — To jedyna fotografia mojej matki, jaką ojciec zdołał ocalić. Dzięki niej wiem przynajmniej, jak wyglądała.

Z przedpokoju dobiegł odgłos kroków. Po chwili do pokoju wszedł Stefan Racziński. Marya przedstawiła nas sobie. Stojąc na baczność, Racziński skinął lekko głową, po czym uściślił mi sobie ręce.

— Bardzo mi miło — powiedział.

Był człowiekiem średniego wzrostu, mocno zbudowanym, o wielkiej głowie i bardzo wysokim czole. Jego siwych włosów nie rozdzielał przedziałek, a oczy były zielone jak oczy Maryi, tyle że głębiej osadzone i z ciemnymi worami. Twarz miał pociętą zmarszczkami, wyglądał starzej niż na swoje czterdzieści sześć lat. Jak mówiła Marya, wyglądał na człowieka, który dostał od życia w kość i przeżył niejedno.

Marya wręczyła mi kieliszek martini, sama wzięła inny i wszyscy usiedliśmy. Racziński pił tylko tonik.

— Z powodu złego trawienia — wyjaśnił z żałością w głosie.

Był przyjacielski, lecz z lekka ostrożny. Czuję, że bada mnie i próbuje wyczuć. Wdaliśmy się w pogawędkę, oswajając

się ze sobą. Po angielsku mówił płynnie i dobrze. Tak jak jego rodak, Conrad — niektóre książki tego pisarza zauważyłem na bibliotecznych półkach — zdobył władzę nad językiem przybranej ojczyzny. Jego akcent brzmiał jednak obco i miałem niejaki kłopoty ze zrozumieniem tego, co mówi. Przeprosił za to.

— Jestem wzrokowcem — powiedział. — Trudniej przychodzi mi opanowanie brzmienia słów. Poznałem angielski, lecz nie potrafię nauczyć się francuskiego. Podobnie jest z niemieckim — nie potrafię wymawiać słów. Zresztą — dodał — nigdy tego nie chciałem robić.

Spojrzał na mnie sardonicznie.

— Pan, Lordzie Quainton, jest korespondentem w Moskwie, tak? Cóż pan uczynił, żeby zasłużyć sobie na taki los?

Zaśmiałem się.

— To naprawdę nie jest nic strasznego.

— Lubi pan Rosjan? — Miał tak samo bezpośredni styl bycia jak Marya. W jego przypadku nie bardzo mi to przypadło do gustu.

— Nie przepadam za tamtejszym ustrojem politycznym — powiedziałem — lecz jako ludzi naprawdę bardzo ich lubię.

Chrząknął.

— Czy może pan powiedzieć, co w tych ludziach panu się podoba?

Szukając najwłaściwszych słów wypięłem łyk martini.

— Oddanie w przyjaźni — powiedziałem. — Szacunek dla uczuć innych ludzi. Wierność w przyjaźni, jeśli taką zostanie się obdarzonym.

Smakował to, co powiedziałem.

— Hm... Cóż, może i ma pan rację... Pan widział ich, oczywiście, w czasach pokoju, nie zna ich pan jako najeźdźców.

— To prawda.

— Tato, proszę nie denerwuj się, wiesz, że ci to szkodzi — powiedziała z uśmiechem Marya, ale on nie zwrócił na to uwagi. Za wszelką cenę chciał przedstawić własny punkt widzenia.

— Jako Polak — powiedział — nie potrafię wybaczyć ani Rosjanom, ani Niemcom. Zbrodnie hitlerowskie, oczywiście, są

nie do opisania, ich imię zawsze będzie przeklęte. To barbarzyńcy, którzy zniszczyli nasz kraj. Jednak Rosjanie, na swój sposób, byli jeszcze gorsi i mieliśmy z nimi do czynienia o wiele dłużej. Ich imperializm trwa od pokoleń. Mój pradziad został stracony za spiskowanie przeciwko nim. W czasie ostatniej wojny popełnili przerażające zbrodnie. A w Lesie Katyńskim Stalin wymordował dziesięć tysięcy polskich oficerów — kwiat naszej armii. Z zimną krwią. To wcale nie podniosło temperatury jego krwi... Był prawdziwym potworem...

— Zmarł dawno temu — powiedziała Marya — i czasy się zmieniły...

Raczinski potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Chciałbym tak myśleć... Rosjanie wciąż tyranizują większą część Europy Wschodniej. Wciąż są w posiadaniu terytoriów, jakie zagarnęli po wojnie. Nasz rodzinny Lwów to teraz skrawek Rosji. — Nazwę miasta wymówił tak, jak czynią to Polacy. — Ponieważ urodził się pan w Anglii, Lordzie Quinton, nie jest pan w stanie docenić, jak bardzo jest pan szczęśliwym człowiekiem. Przez wieki nie doświadczyć podbojów, żyć bez strachu w wolnym społeczeństwie, to znaczy naprawdę być błogosławionym. Wolność to najcenniejsze, co posiadamy. Polska rzadko tego doświadczała. — Uśmiechnął się krzywo. — No cóż, nie będę pana dłużej zanudzał, mówiąc o swych starych uprzedzeniach. Mimo wszystko, teraz jestem Anglikiem, muszę więc okazywać więcej tolerancji... Tak czy inaczej, zanim umrę, chciałbym jeszcze raz zobaczyć Lwów.

— Nie ma na to szans? — zapytałem. — Nawet jako turysta?

— Nie ja... Z rosyjskiego punktu widzenia, po tym jak uciekłem z obozu w Lodzie, popełniłem grzech nie do wybaczenia. Marya na pewno opowiadała panu o obozie w Lodzie. Powinienem udać się na wschód i, jak uczynili to niektórzy, wstąpić do armii rosyjskiej. Zamiast tego poszedłem na zachód. W ich oczach postąpiłem jak wróg... A w ogóle, to wcale nie jestem pewien, czy naprawdę chciałbym zobaczyć Lwów rządzony przez komunistów. Lepiej będzie, jeżeli zapamiętam Lwów jako szczęśliwe miejsce, jakim było przed wojną.

— Czy to atrakcyjne miasto?

— Nie zatyka dechu w piersiach jak Kraków, lecz jest bardzo ładne. Nawet biorąc pod uwagę zniszczenia wojenne było bardzo ładne. Położone jest w szerokiej dolinie, gdzie płynie urocza rzeka Peltew, w której nurtach uczyłem się łowić ryby. I tak blisko jest do gór. Moje dzieciństwo, jak je pamiętam, spędzałem przede wszystkim na świeżym powietrzu. Mieszkaliśmy w domu przy ulicy Bieszczadzkiej. Była to biała, trzypiętrowa kamienica o obszernych, jasnych balkonach. Stała na wprost uroczonego parku, nie uporządkowanego, z wyjątkiem może fontanny, na wpół dzikiego, gdzie bawiły się dzieci. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy, żeby znaleźć się w raj. — Lekko chrząknął. — Często mówię sobie, że nie powinienem żyć przeszłością, przecież w Anglii nieźle mi się powodzi. Spotkałem się tutaj z wielką życzliwością i przyjaźnią. Rozpamiętywanie przeszłości zakrawa wprost na niewdzięczność. Jednak Polacy, obawiam się, są niepoprawnymi romantykami. — Jego oczy nagle rozblęskły. — Gdy chodzi o ich kraj, ich konie i ich kobiety...

— Cóż, dziękuję — powiedziała Marya.

Raczinski wstał, podszedł do kredensu i w mało romantyczny sposób włożył do ust pigułkę. Lekko utykał. Marya spostrzegła, że to zauważyłem i wyjaśniła:

— Tacie czasami dokucza noga.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem.

— To nic takiego — powiedział Raczinski. — Kolejny raz miałem szczęście. Jeśli pocisk trafiłby troszeczkę wyżej, zmiażdżone zostałoby kolano, a to najprawdopodobniej oznaczałoby mój koniec. Kula przeszła jednak powyżej kolana. — Pokazał ranę podwijając nogawkę spodni. — Ściągną nie zostały uszkodzone. Noga drętwieje, ale tylko wtedy, kiedy jej nie gimnastykuję. Oto dlaczego tak lubię chodzić po górach i po wysokich schodach. Kiedy rozruszam nogę, nic nie czuję... A teraz, Lordzie Quainton, proszę pozwolić, że ponownie napełnię pański kieliszek.

\* \* \*

Dobrze się stało, że miałem możliwość spotkania z ojcem Maryi. Przekonałem się, że był osobą niezwykłą, o przekonującej osobowości — a to mi odpowiadało. Wydawał mi się jednak postacią nazbyt — jak na mój gust — rygorystyczną w sądach i trochę zbyt egocentryczną. Również jego tęsknota do lat dzieciństwa wydała mi się czymś szalenie pretensjonalnym. Teraz, po wspólnym lunchu, zmieniłem zdanie o nim. Doszedłem do wniosku, że on również z niepokojem oczekiwał naszego spotkania. Kiedy niejako oswoiliśmy się, przestał mówić o sobie, a rozmowa straciła również jedynie polityczny wymiar. Dowiedział, że jest troskliwym gospodarzem i, zadziwiające, uważnym słuchaczem.

Po lunchu Marya i ja wyszliśmy pospacerować po Hampstead Heath, skąpanym w bladym słońcu. W pewnej chwili dziewczyna zapytała, czy spodobał się mi jej ojciec. Mogłem uczciwie powiedzieć, że tak.

Wyglądało na to, że kamień spadł jej z serca.

— To niesamowite, nigdy dotychczas nie słyszałam, aby z taką goryczą mówił o przeszłości, jak miało to miejsce dzisiaj. Później miał o to do siebie pretensje, ale musimy pamiętać, co przeżył. Pewna jestem, że na jego miejscu czułabym się... No cóż, najważniejsze, że go lubisz. On ciebie też lubi, nawet bardzo.

— Ciesz się mnie to — powiedziałem. Wziąwszy przeszkodę w postaci ojca, sądziłem, że nadszedł właściwy moment, aby porozmawiać o przyszłości. — Maryo, kiedy się pobierzemy?

Mocniej ścisnęła moją dłoń. Przez sekundę czy dwie nic nie mówiła. Potem uniosła głowę, szukając mojej twarzy:

— Pewien jesteś, że tego chcesz?

— Wiesz, że chcę. Bardziej niż czegokolwiek na świecie. Kocham cię, Maryo. Zawsze cię kochałem...

— Chcę za ciebie wyjść, Tim... Trochę się tylko obawiam, to wszystko.

— Na Boga, czego?

— Nie wiem... Może bycia Lady Quainton. Twego solidnego wychowania. Twojej rodziny...



— Bzdury! Będą cię uwielbiali. Jeśli chcesz się o tym przekonać zawczasu, odwiedzimy ich i sama zobaczysz.

— Nie wiem, czy podołałabym obowiązkom. Czuję, że tak niewiele mogę ci ofiarować. Sierotka...!

To była prawdziwa obawa, nie sztuczna skromność. Wiedziałem, że tak jest. Mimo to trochę się zdenerwowałem.

— Posłuchaj — powiedziałem. — Skończmy z tym raz na zawsze. Jestem normalnym człowiekiem. O podołaniu jakimś obowiązkom mówisz? A ofiarować mi możesz wszystko. Jesteś cudowna, uczciwa, wspaniała — czego można więcej chcieć? Zamku w Polsce i całego zastępu służby? Kochanie, pojąć cię za żonę to największy zaszczyt, jakiego mogę dostąpić. Będę najszczęśliwszym, najbardziej dumnym mężczyzną na świecie — i prawdopodobnie najbardziej majątnym... A teraz, czy będziesz tak miła, i przestaniesz opowiadać głupstwa?

Uśmiechnęła się.

— Już dobrze — powiedziała. — Pobierzemy się.

Objąłem ją i ucałowałem.

— Kiedy? — zapytałem.

— Nawet dzisiaj!

Złożyłem od razu i swoją ofertę. — Mamy jeszcze tydzień swobody. Pobierzemy się i pojedziesz ze mną do Moskwy.

— Och, kochanie, to mogłoby być wspaniałe... Ale nie sądzę, żebym mogła tak postąpić. Muszę dać ojcu czas na to, aby oswoił się z tą myślą. Nie chcę, żeby czuł się tak nagle opuszczony. Nie mogę też zostawić tak nagle Antona... Czy nie wrócisz, powiedzmy, na Wielkanoc?

— Wyjeżdżam na pięć miesięcy.

— Wiem, to wieki. Będziemy stale do siebie pisywać, a wszystko, co piękne, będzie przed nami. Czas szybko upłynie.

— Mam nadzieję... — Potrafiłem zrozumieć jej argumenty, gdy chodzi o ojca i o Antona. — W porządku — powiedziałem — tak więc wszystko postanowione. Wielkanoc... — Znowu przytuliłem ją. — Kochana Maryo, jakże cudownie jest żyć!

\* \* \*

Gdy zbliżał się czas mojego wyjazdu, problemem stało się znalezienie chwili, aby załatwić wszystkie zaplanowane przez nas sprawy. Marya chciała, byśmy zorganizowali małą uroczystość, w czasie której jej ojciec mógłby udzielić nam swego błogosławieństwa. Tak też uczyniliśmy. Poza tym było kilku przyjaciół, których Marya chciała mi koniecznie przedstawić, zanim wyjadę — szczególnie dziewczynę, która pracowała w programie dziecięcym BBC, o nazwisku Tina Howell. Poznały się jeszcze w college'u i często razem wyjeżdżały na wakacje. Jednego wieczoru pojechaliśmy do Richmond, żeby zobaczyć się z Tiną, która okazała się pulchną blondynką, rozłożystą w biodrach, bardzo żywotną i sympatyczną. Polubiłem ją. W rewanżu uparłem się zabrać Maryę do jednego czy dwóch moich przyjaciół, u których trochę popiliśmy. Trzeba było też kupić pierścionek zaręczynowy. W środę umówiłem się z Maryą, że spotkamy się na krótki lunch, a później pójdziemy razem kupić go. Tak więc, mając wolne przedpołudnie, postanowiłem spędzić je w redakcyjnej bibliotece i korzystając z mapy, popracować nad przygotowaniem planu podróży po Ukrainie.

Minąwszy drzwi wiodące do działu zagranicznego, wstąpiłem do korespondenta dyplomatycznego Jamesa Gardnera, szczupłego i pochyłego pięćdziesięciolatka. Weteran setek bezowocnych międzynarodowych konferencji i niezliczonych dyplomatycznych kryzysów — owiany był zawsze aurą pesymizmu. Dzisiaj nie było w tym względnie wyjątku.

— Wyglądasz na bardzo z siebie zadowolonego, Tim — powiedział. — Czyż to możliwe, abyś ujrzał jakiś promień nadziei?

Zaśmiałem się.

— Jeśli mam być szczery, to właśnie postanowiłem się ozenić.

— Drogą chłopcze, jestem żonaty od dwudziestu pięciu lat i... wcale nie wyglądam na kogoś zadowolonego.

— Przestałbyś być cyniczny — rzuciłem. — Jestem w siódmym niebie.

— Cóż, cieszę się... Któż jest tą szczęśliwą wybranką?

— Nazywa się Marya Racinski.

- Na Boga, tylko nie Rosjanka!
- Nie, ty faszystowska bestio. Z pochodzenia jest Polką, jeśli chcesz wiedzieć. Jej ojciec przybył tutaj po wojnie — Stefan Raczinski...
- Stefan Raczinski... — James zmarszczył brwi. — Coś mi mówi to nazwisko.
- Och! Może ci pomóc?
- Jesteś zbyt młody. Pamiętam to nazwisko chyba z jakiejś wiadomości... Jakaś sprawa — przed laty... Oczywiście, to mógł być zupełnie ktoś inny.
- Tak sądzę.
- Tak czy inaczej, gratuluję ci... Kiedy z powrotem ruszasz do Czerwonej Mekki?
- Wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.
- Lepiej byłoby, gdyby Chińczycy nie dowiedzieli się, że tak określasz to miejsce... Za trzy dni.
- Ja trochę później — powiedział. — Wolałbym się dać żywcem pogrzebać w ołowianej trumnie, niż tam pracować. Powiedz mi, co sądzisz o odwilży?

\* \* \*

Rozmawialiśmy dłużej, niż planowałem i kiedy zasiadłem w bibliotece, do lunchu zostało już niewiele czasu. Mimo to mogłem jeszcze naszkicować zarys mojej marszruty i zrobić kilka notatek. Wziąłem atlas i poszukałem map Ukrainy. Gdzie znajdowały się te miejsca, do których, jak sugerował Cole powinienem się udać — tzw. dorzecze Donu? Tak, to ma sens — był tam wielki kompleks przemysłowy. Będę mógł wpaść także do Odessy — port boryka się również z problemami. I do Kijowa — stolicy regionu. Powinienem odbyć podróż po kole... Wziąłem do ręki ołówek, siedziałem, bawiąc się nim przez chwilę. Patrzyłem na mapę zupełnie rozkojarzony. Coś nie dawało mi spokoju. Ta uwaga Jamesa o Raczinskim. Nie może być w Anglii ludzi o tym nazwisku. Być może, mimo wszystko, jego Raczinski — był tym samym właśnie, moim Raczinskim. W takim razie powinienem wiedzieć, cóż takiego się wydarzyło, że

zapadł w pamięć Jamesa. Wstałem i podszedłem do archiwum osobowego. Było świetnie prowadzone i gromadziło dane sprzed wielu lat. Odnalazłem półkę z literą „R” i począłem grzebać pośród skoroszytów. Zauważyłem, że jeden z nich oznaczony jest *Raczinski, Stefan Dr.* Był tak cienki, iż w pierwszym momencie pomyślałem, że musi być pusty, lecz kiedy go otworzyłem, wewnątrz znalazłem jeden żółty wycinek prasowy.

Pochodził z *Post*, cytował agencyjną informację z Moskwy. Data — 11 czerwca 1953 roku. Wiadomość brzmiała: *Moskiewska popołudniówka „Wieczernaja Moskwa” doniosła dzisiaj, że dr Stefan Raczinski został zaocznie skazany przez sąd specjalny na dziesięć lat więzienia za zbrodnie wojenne, jakie przypuszczalnie popełnił w obozie w Łodzi w 1944 roku. Jak informują źródła radzieckie, dr Raczinski jest aktualnie angielskim rezydentem i pracuje na Uniwersytecie w Londynie.*

Nad tekstem widniała fotografia ojca Maryi.

\* \* \*

Przeżyłem szok. Wlepiłem wzrok w akapit, nie byłem w stanie zebrać myśli; do głowy poczęły przychodzić mi najgorsze przypuszczenia. Zbrodnie wojenne... najohydniejsze ze zbrodni, popełnione w czasach zezwierzęcenia. Niczym w kalejdoskopie przesuwwały się w mej wyobraźni obrazy sadystycznych esesmanów, zboczonych naukowców, potworów w ludzkiej skórze. Myśl, że ojciec Maryi mógł być zamieszany w tego rodzaju sprawy — zatrwożyła mnie. Czułem też do siebie odrazę za to, że jestem w jakikolwiek sposób związany z tym człowiekiem.

Taka była moja pierwsza reakcja — bardzo emocjonalna. Wziąłem się w garść. Zacząłem, już na chłodno, analizować fakty. To nie mogła być prawda. Nie Raczinski. Nie ojciec Maryi. Widzieliśmy się krótko, ale czułem, że znam go na tyle dobrze, żeby nie wierzyć, iż zdolny jest do zarzucanych mu czynów. Musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie. Popełniona została pomyłka. Ktoś palnął gafę... Albo skłamał... Niepewne było źródło informacji o wyroku. Moskiewska gazeta. Ileż to prawdziwych wiadomości dociera z Moskwy?

W ten sposób uspokoiłem siebie. Wyrok został jednak wydany — a ja o tym wiedziałem. Przeczytałem tę cholerną notatkę. Uważałem, że nie powinienem jej zignorować. Zastanawiałem się, czy Marya wie o wszystkim. Zniknęła gdzieś cała moja radość. Jeżeli — a sądzę, że tak jest — o niczym nie wiedziała, jak przyjmie tę wiadomość?

Dlaczego Racziński nie mówił o tej sprawie? Nie mogłem powstrzymać wrażenia, że nie był w rozmowie ze mną całkowicie szczerzy. Oto właśnie powód, dla którego nie będzie w stanie powrócić kiedykolwiek do Lwowa...

Ponownie przeczytałem treść informacji. Przez dłuższą chwilę siedziałem zamyślony. W końcu wcisnąłem wycinek między kartki notatnika. Zmartwiony i niepewny wyszedłem, aby spotkać się z Maryą.

\* \* \*

Siedziała już przy stoliku w restauracji. Przed nią stał talerz. Nawet nie wiedziałem, jak bardzo byłem spóźniony. Wyglądała bardzo atrakcyjnie i była tylko trochę niezadowolona.

— Domyślam się, że miałeś bardzo pracowite przedpołudnie — powiedziała z uśmiechem. Zdjęła torebkę z krzesła, które zajęła dla mnie.

— Strasznie przepraszam — powiedziałem siadając. — Wpadłem do starego kumpla, Jamesa Gardnera i zagadaliśmy się. Musieliśmy odrobić zaległości. Co jesz?

— Co o tym sądzisz, kochanie? Szynka na zimno z sałatką... Nie wyglądasz najlepiej.

— Doprawdy?

— Tak. Czy coś się stało?

— Nic takiego...

— Och, daj spokój, powiedz.

Wziąłem głęboki oddech. Skoro zająłem się tą sprawą, powinienem być konsekwentny.

— Cóż, powiedziałem Jamesowi o nas. Znał twoje nazwisko — Racziński. Powiedział, że coś mu ono mówi, lecz nie pa-

miętał daczego. Przejrzałem więc redakcyjne archiwum i znalazłem idiotyczny wycinek z gazety.

— Wycinek? Czego dotyczący?

— Twojego ojca... Ale może wiesz o wszystkim?

Wyciągnąłem kawałek papieru i podałem jej.

Czytała powoli.

— To sprzed dziesięciu laty — powiedziałem na wypadek, gdyby nie zwróciła uwagi na datę.

Irytacja i niedowierzanie odmalowały się na jej twarzy.

— To straszne...!

— Nie wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową.

— Tata nigdy nic mi nie mówił na ten temat. Jak oni mogli?

— Rozumiesz, że nie mogłem odkładać wyjaśnienia tej sprawy.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Myślę, że mogłeś.

— Nie ja — odparłem łagodnie, chyba nazbyt łagodnie.

— Widać bardzo się przejąłeś.

— Cóż, najpierw doznałem szoku, zupełnie tak jak ty. Nie jest to jednak sprawa, z powodu której mielibyśmy się zadreżać. Rosjanie zawsze organizowali ludziom spreparowane procesy. Wiem coś o tym.

— To przerażające. — Milczała chwilę. — Tim, musimy o tym porozmawiać z tatą. Dzisiaj wieczorem.

Wzruszyłem ramionami.

— Jeśli tego chcesz, to oczywiście porozmawiamy.

— Tak, chcę. Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, pozwól, że wrócę do biura. Czy będziesz mógł przyjść po mnie o szóstej?

— Ależ kochanie, pierścionek...

— Nie jestem dzisiaj w nastroju, Tim. Przepraszam. Wybierzemy go kiedy indziej.

Wzięła torebkę, skinęła mi głową i wyszła. Było gorzej niż mogłem przypuszczać.

\* \* \*

Punktualnie o szóstej zadzwoniłem do Maryi i zatłoczonymi ulicami ruszyliśmy do Hampstead. Siedziała w wozie zamyślona i nie odzywała się. Rozumiałem jej nastrój, toteż skoncentrowałem się wyłącznie na prowadzeniu samochodu.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Raczińskiego nie było w domu. Zjawił się po pół godzinie. Ucisnęliśmy sobie dłonie, Marya ucałowała go czule i zapytała, jak minął dzień, zaserwowała ojcu tonik, a dla nas przygotowała coś mocniejszego i powiedziała:

— Wiesz, tato, Tim znalazł coś dzisiaj, w redakcyjnej bibliotece — i wręczyła mu wycinek.

Racziński przeczytał go wolno, po czym zwrócił się do mnie, smutno się uśmiechając:

— Widzę, że nie powinno się brać dziennikarza na ewentualnego zięcia. Zupełnie zapomniałem o tym zdarzeniu... — Wciąż się uśmiechał. — Czy mam wszystkiemu zaprzeczyć?

— Nie o to chodzi — powiedziałem. — Marya chciała z panem o wszystkim porozmawiać. — Lekko się uśmiechnąłem. — Nie znaczy to, że sam nie jestem ciekaw.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałeś, tato? — odezwała się Marya.

— Cóż, moja droga, kiedy to się stało, miałaś dopiero dwanaście lat, byłaś w internacie. Zupełnie nie było powodu, aby cię niepokoić, skoro cała sprawa właściwie nikogo nie interesowała. Niewiele pisano na ten temat w gazetach.

— Znalazłem tylko jedną notatkę — wtrąciłem. — Zdziwiłem się, że nikt nie starał się przeprowadzić z panem wywiadu.

— Och, jeden czy dwóch reporterów chciało się ze mną zobaczyć, ale nie miałem im nic do powiedzenia. Nie byłem nikim ważnym, a poza tym nie lubię rozgłosu. Nie przyszło mi nawet do głowy, Maryo, żeby ci później o wszystkim opowiedzieć. Wyrok był nonsensowny i wkrótce o nim zapomniałem...

— Tak, rozumiem — powiedziała Marya.

— Czy nie chciał pan wyjaśnić całej sprawy? — zapytałem.

— Nie powiem, żebym bardzo się starał, Tim. Zwróciłem się do Ministra Spraw Zagranicznych z pytaniem, czy mają jakieś informacje, ale wiedzieli tyle samo co ja. Wszystko wskazuje

na to, że wspomniane doniesienie ukazało się tylko w jednej moskiewskiej gazecie. Poza tym było dość enigmatyczne. Na rozprawie zeznawało dwóch świadków, których w ogóle nie znałem. Powiedzieli, że przełożonym obozu w Lodzie zdradziłem plany ucieczki, co kosztowało życie piętnastu ludzi...

— To nie może być prawda! — krzyknęła Marya.

— Rzecz jasna — wtrąciłem — MSZ poprosiło Rosjan o więcej szczegółów?

— Tak, Rosjanie obiecali je dostarczyć, nigdy jednak tego nie zrobili.

— Rozumiem. Co w opinii MSZ kryło się za całą tą sprawą? Kwestie propagandowe?

Raczinski przytaknął.

— Uważano, że to jeszcze jeden z elementów zimnej wojny. Zachód często oskarżał Rosjan o roztaczanie parasola ochronnego nad przestępcami wojennymi. W istocie byłych esesmanów w owym czasie wykorzystywano do różnych prac. Sąd nade mną potraktowano jako swego rodzaju odwet. Nie byłem pierwszym, który znalazł się w podobnej sytuacji. Dotychczas już kilkakrotnie brano na muszkę uchodźców — zwłaszcza tych, którym nieźle powodziło się w krajach osiedlenia — i oskarżano ich o zbrodnie wojenne. Wydano nawet kilka wyroków śmierci. Tak mniej więcej sądzono w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ich wyjaśnienia, choć rozsądne, nie były jednak, moim zdaniem, właściwe.

— Dlaczego? Według pana jakie były motywy?

Raczinski wzruszył ramionami.

— To mogła być pomyłka. Rosjanie mogli z kimś mnie pomylić.

— Sądzi pan, że inny więzień obozu zrobił to, o czym mówili świadkowie, którzy podali niewłaściwe nazwisko?

— To możliwe.

— Dowiedziawszy się zaś potem, że Stefan Raczinski, który był więźniem obozu w Lodzie, mieszka obecnie w Londynie, wszystko jemu właśnie przypisali.

— No właśnie... Niektóre szczegóły nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że popełniona została pomyłka. Proszę zo-



baczyć — najpierw zaatakowano mnie w *Radiu Moskwa*. Potem nagle wszystko ucichło. Proszono o szczegółowe opisanie skazańca, ale nie uczyniono tego i zrezygnowano ze wszystkiego. Prawdopodobnie uzmysłowili sobie, że została popełniona pomyłka. Oczywiście, nie musieli się do tego przyznawać... Tak czy inaczej mamy do czynienia z łamigłówką. Rosjanie, jak pan wie, są nieobliczalni.

— To prawda — powiedziałem i zamilkłem na chwilę. — Jestem jednak zdziwiony, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie przesłało pańskiej fotografii i nie zażądało stosownej identyfikacji.

Marya stawała się coraz bardziej poirytowana:

— Tato powiedział przecież, że nie był nikim ważnym, Tim...

— Wiem, ale to wszystko nie było niczym przyjemnym dla kogokolwiek, nawet dla osoby nic nie znaczącej. Sądzę, że wyjaśnienia trzeba było prowadzić w sposób bardziej stanowczy.

Raczinski znowu wzruszył ramionami.

— Nie zabiegałem o to, nie pragnąłem bronić się przed oskarżeniami sowieckiego sądu. Nie byłem w końcu niepokojony. Nie niepokojono z tego powodu również naszych władz. Te zaś były przekonane, że proces został sfingowany. A teraz proponuję, żebyśmy o wszystkim zapomnieli i czegoś się znowu napili...

\* \* \*

Raczinski umówiony był tego wieczoru na kolację i niebawem nas opuścił. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Marya spytała:

— Jesteś zadowolony?

— Z czego? — zdziwiłem się.

— Że ojciec tego nie zrobił.

— Nie bądź niemądra — powiedziałem. — Oczywiście, że tak.

— Byłeś bardzo zainteresowany w poznaniu wszystkich szczegółów...

— Interesuję się wszystkim, co robią Rosjanie. Oczywiście

nie mogłem powstrzymać się od zadawania pytań. Taki mam zawód.

Wyglądała na wyczerpaną.

— Problem w tym, że nie znasz taty tak dobrze jak ja. Wiem, że nie mógłby zrobić takich rzeczy.

— Kochanie — powiedziałem — starasz się wyważać otwarte drzwi, to oczywiście, że tego nie zrobił.

— Dlaczego tak uważasz?

— Cóż, myślałem o wszystkim, kiedy się wczoraj rozstaliśmy... Człowiek, który dopuściłby się czynów, o jakie oskarżony był twój ojciec, nie przejechałby całej Europy, posługując się własnym nazwiskiem, a on go nie zmienił. Z pewnością też nie rozgłaszałby faktu, że przebywał w obozie w Lodzie, wprost przeciwnie — milczałby na ten temat.

Marya stawała się jeszcze bardziej oschła.

— Cieszę się, że przemyślałeś wszystko, aby móc siebie samego przekonać.

— A cóż w tym złego?

— Jeżeli naprawdę byłbyś pewien, nie potrzebowałbyś myśleć o tej sprawie...

— Powiedziałem ci, że tak właśnie jest. Zgadzam się ze wszystkim, co powiedział twój ojciec.

— Zgadzasz się, tak? Ale czy jesteś pewien?

— Tak.

— Tak pewien jak tego, że tutaj stoję? Nie ma w twoim tonie nawet cienia wątpliwości?

Sądzę, że się zawahałem. Marya poblądła.

— Nie jesteś pewien — powiedziała. — I nigdy nie będziesz... Och, dlaczego odnalazłeś ten okropny wycinek?

\* \* \*

Zrobiłem wszystko, żeby rozproszyc wątpliwości. Imałem się wszelkich argumentów. Nie przekonałem jej jednak. Uczepiła się myśli, że nie ufam jej ojcu, tak mocno, iż nie mogła się od niej uwolnić. Nie pomagały miłosne zaklęcia, przekonywanie. W końcu rozstaliśmy się w smutku, ustalając tylko tyle, że zo-

baczmy się następnego wieczora. Przeżyłem straszną noc, wyrzucałem sobie wszystkie popełnione niezręczności. Od początku wiedziałem, że ten gazetowy wycinek może być niczym bomba — nie powinienem wspominać o nim, nie przemyślawszy jakie to może mieć skutki. Teraz wiedziałem, że postąpiłem niezbyt mądrze, w dobrej wierze przytaczając argumenty na obronę Raczyńskiego. Cóż, stało się...

Próbowałem telefonicznie porozumieć się z Maryą. Rano zadzwoniłem do jej mieszkania, ale nikt nie odbierał, widać bardzo wcześnie musiała wyjść z domu. Zadzwoniłem do jej biura, gdzie powiedziano mi, że jest na rozmowie w sprawach służbowych z Antonem. Sądziłem, że wróci po południu. Powiedziałem, że jeszcze zadzwonię.

Tego dnia umówiony byłem na lunch z Johnem Colem, tak więc na kilka godzin mogłem wyrzucić z pamięci moje problemy osobiste i skupić się na analizie sytuacji międzynarodowej i sprawach zawodowych. Cole raz jeszcze powiedział, że bardzo cieszy się z mojej wyprawy na Ukrainę. Odparłem, iż również jestem zadowolony, co nie do końca było prawdą. Swoje wątpliwości skrywałem, mówiąc o stratach żywności i zniszczeniach maszyn. Wymieniłem kilka miejsc, jakie chcę odwiedzić. Szef wydawał się zadowolony. Zapytał, kiedy ruszam i stwierdził, że będzie niecierpliwie oczekiwał korespondencji z Moskwy. Wprost nie może się doczekać, kiedy znowu zacznę pracować.

Wróciłem do hotelu kilka minut po trzeciej. Tam czekał na mnie list od Maryi. Dostarczyła go osobiście. Rozerwałem kopertę, modląc się, aby odmieniło się jej serce. Pisała:

*Drogi Timie. Przykro mi pisać tobie o tym, ale po tym, co się stało, nie wiem jak mogłabym wyjść za ciebie. Sądzę, że lepiej uczynimy odwołując wszystko. Wydać się to może absurdem — skoro tak bardzo się kochamy, lecz obawiam się, że ten cień zawsze będzie stał między nami. Dla twego, i również własnego dobra, nie powinniśmy ryzykować. Mogło być inaczej, gdybyś mógł dowieść przed samym sobą, że wszystko jest prawdą. Jako że jest inaczej, nigdy nie zaznam chwili spokoju. Zawsze będę wyobrażała sobie,*

*że mnie obserwujesz i dziwisz się, że po tym wszystkim, co odkryłeś, ktoś taki wszedł do twojej rodziny. Nie zniosłabym tego.*

*Byłam z tobą taka szczęśliwa, kochanie. Tak bardzo chciałam zostać twoją żoną. Trudno mi uwierzyć w to, że wszystko między nami skończone. Jestem z tego powodu tak samo nieszczęśliwa jak i ty. Naprawdę jednak myślę, że to najlepsze rozwiązanie.*

*Wyjeżdżam na kilka dni, ponieważ przynajmniej na razie — naprawdę nie ma o czym mówić. Sądzę, że łatwiej nam będzie nie widzieć się do czasu twojego wyjazdu. Mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał. Naprawdę bardzo cię kocham.*

*Marya.*

Zadzwoiłem do jej biura, lecz tam chyba działano według jej poleceń. Marya nie czuła się najlepiej — powiedziano mi — i wzięła kilka dni urlopu. Jeśli nie ma jej w domu, nie wiedzą, gdzie mogę ją znaleźć. Zadzwoiłem do Tiny Howell mając nadzieję, że Marya zaszła się u niej w Richmond, lecz Tina powiedziała, że nic takiego nie ma miejsca. Poczekalem do za kwadrans siódma i wówczas zadzwoniłem do Hampstead, do doktora Raczinskiego.

Zdawał się być bardzo zaniepokojony.

— Właśnie chciałem zadzwonić do ciebie — powiedział. — Czy miałaś jakieś wiadomości od Maryi?

— Tak, otrzymałem list. Gdzie ona jest?

— Nie mam pojęcia. Długo rozmawialiśmy wczoraj w nocy, a dzisiaj rano zostawiła list również dla mnie. Nie powiedziała, dokąd się wybiera. To musiał być dla niej poważny wstrząs.

To o to chodzi!

— Nie muszę ci mówić, Tim, jak jest mi przykro z powodu tego, co się stało. Sądzę, że Marya nie ma racji. Wszystko sobie wmówiła. Powiedziałem jej to. Próbowaliśmy ją przekonać. Powiedziałem, że gdybym znalazł się na twoim miejscu, nie mając w ręku dowodów, nie mając odporu na zarzuty, również nie miałbym pewności. Wyjaśniłem, że dziennikarz opiera się na fak-

tach, nie na wierze, a moim zdaniem uznajesz tylko fakty. Na nic zdały się jednak moje słowa. Jest bardzo dumna, jest osobą o silnej woli... Za wszystkim stoi jej duma.

Nie czułem się na siłach rozmawiać o niej.

— Tak czy inaczej — powiedziałem — nie przyjmuję do wiadomości jej decyzji. Czy może pan jej to powiedzieć? Sam zresztą do niej napiszę.

— Tak, napisz proszę... Tim, jestem pewien, że to wcale nie koniec — jeśli tylko będziesz cierpliwy. Marya kocha cię i potrzebuje. Z czasem się opamięta. Przekona się, że robi z igły widły. Wszystko to minie, musi minąć. Zrobię wszystko, żeby tak się stało, dlatego, że cała ta sytuacja i mnie napełnia wielkim smutkiem.

— Dziękuję panu — powiedziałem. — Do widzenia, doktorze Raczinski.

\* \* \*

Czterdzieści osiem godzin później odleciałem do Moskwy.

## ROZDZIAŁ 2

Wszystko w stolicy Rosji w to grudniowe popołudnie zdawało się współgrać z moim ponurym nastrojem.

Było bezwietrznie. Z nieba, spowitego ciężkimi, ołowianymi chmurami, wolno spadały drobne płatki śniegu. Ludzie w zabudowaniach dworca lotniczego, opatuleni w zimowe palta, wyglądali bezkształtnie i posepnie. Z asfaltu unosił się, drażniący nozdrza, zapach źle wydestylowanej benzyny; w bufecie i hallu głównym czuć było równie nieprzyjemny zapach zestarzałego kurzu i potu. Czekałem prawie pół godziny na taksówkę, a kiedy do niej wsiadłem, okazała się starym gruchotem, w którym nie działało ogrzewanie. W swym lekkim, jesiennym płaszczu siedziałem i marzłem.

Widok, jaki rozciągał się za oknami samochodu, kiedy przemierzałem drogę do centrum miasta, był równie mrozący krew w żyłach jak temperatura powietrza. Wszędzie zalegały, nie uprzątnięte od wielu dni, zwały brudnego śniegu. Domy nie wyróżniały się niczym szczególnym, pozbawione były jakiegokolwiek czaru. Z frontonów wielkich mrówkowców wznoszących się wzdłuż szosy, jeszcze stosunkowo nowych, już odpadły tynki. Wzdłuż pełnych dziur chodników ciągnęły się obrzydliwe czynszowe kamienice z czerwonej cegły. Witryny znajdujących się w nich sklepów były ciemne i mało atrakcyjne. Co kilkaset metrów mijaliśmy grupy opatulonych sprzątaczy, w większości kobiet, próbujących przy pomocy kilofów, łopat i oskardów uporać się z kupkami zlodowaciałego śniegu. Ulicami, robiąc wiele hałasu, sunęły tramwaje złożone z dwóch lub trzech wagonów. Do niektórych przyłączono wagony towarowe. Na przystankach

tramwaje atakowane były wprost przez zwarty tłum, który rozpaczliwie popychając się wciskał się do środka, niczym muchy leące do lepu. Wszędzie — ponure, wielkie wolne przestrzenie „urozmaicone” jedynie jakimiś sagami drewna i kupami zszarzałego śniegu, czekającego na usunięcie.

Nigdzie żadnych reklam, żadnych neonów. Żałowałem, że zgodziłem się powrócić do tego brzydkiego, ogromnego miasta, które zdawało się stawać z tygodnia na tydzień coraz bardziej odrażające.

Mój zły nastrój prysnął, kiedy tylko ukazały się na horyzoncie wieżyczki Kremla, a taksówka wjechała między starą zabudowę Arbatu. Ulice były tutaj wysadzone drzewami i spokojne. Wciąż miały w sobie jakiś urok. Dom, w którym mieszkałem — dawniej własność moskiewskiego kupca — był okazały i wygodny. Dzieliłem go z trzema innymi dziennikarzami — Georgem Milesem z londyńskiego *Dispatch* i dwoma Amerykanami, Slatteryem i Loganem. Budynek, który wynajmowaliśmy, był oczywiście umeblowany. Pełno w nim było mebli obitych pluszem bądź obciążonych pokrowcami, kwiatów doniczkowych i dziewiętnastowiecznych bibelotów. W obszernym pomieszczeniu było ciepło, ponieważ dom miał podwójne drzwi wejściowe i typowe dla Moskwy podwójne okna, które na dodatek uszczelniono papierową taśmą, aby nie wpuszczać zimnego powietrza. Do wietrzenia służyły, znajdujące się w każdym pokoju, niewielkie lufciki, zwane fartuszkami. Jako miejsce zamieszkania ten dom był o niebo wygodniejszy niż hotel; poza tym wielkim udogodnieniem było to, że nie musieliśmy tracić czasu na codzienne sprzątanie. Każdy z nas miał własny pokój, wspólne zaś były pokój gościnny i jadalnia. Doglądała nas hoża czterdziestokilkuletnia kobieta o imieniu Katia, która sumiennie sprzątała, świetnie gotowała i tylko od czasu do czasu przywłaszczała sobie albo nasze koszule, albo krem do golenia, albo... Przemykaliśmy na to oko.

Kiedy przybyłem, zastałem jedynie Slattery'ego. Był szczupłym, ale atletycznie zbudowanym facetem po trzydziestce, pochodził z New Jersey i pracował dla tamtejszej lokalnej korporacji.

— O rany, nie ma dwóch zdań, Senator! — wykrzyknął uśmiechając się na powitanie. — Sądziliśmy, że zjawisz się dopiero jutro.

— Załapałem się na wcześniejszy samolot — odparłem. — Nie mogłem dłużej opierać się magnetycznej sile tego miejsca...

— No pewnie...! Cieszę się, że cię znowu widzę, Tim. Urlop się udał?

— Było świetnie — skłamałem. Może kiedyś będę chciał z kimś porozmawiać o Maryi, ale nie teraz. Usiadłem w głębokim fotelu, oparłem się o poręcz, odpoczywałem.

— Powiedz, co nowego, Joe?

— Nic, o czym byś nie wiedział... Może poza tym, że mamy mysz.

— Nie!

— To fakt. Katia wysypała jakąś truciznę, ale mysz ją spałaszowała i przysłała prosić o więcej... Och, może zaciekawi cię to, że studenci z Ghany demonstrowali na Placu Czerwonym, na znak protestu przeciwko temu, w jaki sposób są traktowani. Myślałem, że w tym mieście jesteśmy jedynymi facetami, którzy potrafią się postawić, a okazało się, że i tamci potrafią. Chłopie, ale była rozróbka!...

— Tak, czytałem o tym. Powiedz mi, jak tam Pawłow?

Rodion Pawłow był kierownikiem Departamentu Prasy Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR i z nim zawsze kontaktowaliśmy się w sprawach zawodowych.

— Jest teraz bardzo uprzejmy. Domyślałem się, że przejął się ideami odwilży.

— To świetnie... będę starał się wyprosić u niego pozwolenie na zimową wycieczkę... Mój wydawca zapragnął serii reportaży.

— Może będziesz miał szczęście... Teraz robią wszystko, żeby się przypodobać... Gdzie chcesz się wybrać?

— Na Ukrainę.

— Hm... wygląda na to, że trochę poczekaś na zgodę... Dlaczego nie miałbyś wybrać się ze mną i Cy na narty, zanim wszystko nie zostanie załatwione?



Cy nazywaliśmy Logana — korespondenta *New York Star*.  
— Na dwa tygodnie jedziemy w Karpaty. W górach spędzimy Boże Narodzenie.

— Świetnie — powiedziałem. — Tylko pamiętaj, że nie mieliście sześciu tygodni urlopu. Święta spędzę z pewnością w Narku.

Nark to było nasze określenie sowieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przed laty określano je jako *Narkomindiel*, co było rosyjskim skrótem nazwy Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych. Nark — nie kojarzyło się to najlepiej, ale nazwa przetrwała.

Sięgnąłem po walizkę.

— Sądzę, że powinienem się rozpakować...

— Przywiozłeś trochę whisky, Senatorku?

— Trzy butelki.

— Rewelacja! Będzie mała uroczystość!

— Na pewno — zgodziłem się z nim, ale pomyślałem, że chciałbym mieć coś, co mógłbym uczcić tego wieczoru.

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem następnego dnia, był telefon do Narku i prośba o spotkanie z Pawłowem. Sekretarka, Nina Aleksandrowna, była miła, ale udzielała wymijających odpowiedzi.

— Powiadomię pana, Lordzie Quainton, kiedy szef będzie mógł pana przyjąć. Sądzę, że może to nastąpić jutro.

Odpowiadało mi to. Rzuciłem okiem na poranne gazety, aby sprawdzić, czy nic sensacyjnego nie wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin. Naciągnąwszy na głowę astrachański i czarny kapelusz, włożywszy rosyjskie palto z astrachańskim futrzanym kołnierzem, wzięwszy lśniącą rosyjską teczkę, w rosyjskich butach, na które wciągnąłem kalosze — piechotą ruszyłem do Biblioteki im. Lenina przy ulicy Mokowej. Tak właśnie ubrany wyglądałem niczym sowiecki aparatczyk, nie zaś jak obcokra-

jowiec. Doświadczyłem nie raz, że takie przebranie może być pomocne, gdy chciałem załatwić jakieś sprawy.

Chodniki pokryte były lodem, więc spacer nie należał do najbezpieczniejszych, ale wkrótce przypomniałem sobie ostrożny, posuwisty krok, którego uczyłem się przez lata, i to z całkiem dobrymi rezultatami. Na ulicach było sporo ludzi — kobiety zmierzały do GUM-u ciągnąc na saneczkach koszyki na zakupy; mężczyźni nieśli jakieś pakunki albo teczki odbywając swe niekończące się podróże z biura do biura; milicjanci z nonszalancją palili papierosy, od czasu do czasu gwizdząc na tych, którzy nieprawidłowo przechodzili przez ulicę. Prawie wszyscy przechodnie mieli twarze bez wyrazu, a w ich oczach malowała się beznadziejność. Te puste twarze ulicy nigdy jednak nie były w stanie zwieść mnie. Patrząc na nie trudno było jednak uwierzyć, że Rosjanie, w prywatnych kontaktach, to najprawdopodobniej najbardziej witalni ludzie na świecie.

Niebo rozjaśniło się i przechadzka stała się przyjemniejsza, szczególnie kiedy wkroczyłem do jednego z najbardziej malowniczych rejonów Moskwy. Na wprost znajdowało się kamienne zakole rzeki Moskwy, teraz zamarznętej; Kreml ze swymi delikatnie różowymi murami, zielonymi dachami wieżyczek i złotymi kopułami; oryginalne, pomalowane w pasy wieże cerkwi św. Bazylego i wreszcie Plac Czerwony, przecięty linią pielgrzymów oczekujących w kolejce do mauzoleum Lenina. To był iście pocztówkowy widok, lecz zawsze mnie urzekał. Przyjrzałem się wszystkiemu z uznaniem, po czym skręciłem w ulicę Mokową. Zatrzymałem się na chwilę, aby przepuścić oddział piersiastych dziewcząt z Armii Radzieckiej; następnie skierowałem się na obszerny plac o dwunastu pasmach ruchu, na którym nie było ani jednej wysepki dla pieszych. Plac wypełniony płynącym z głośników ochryplym głosem, nawołującym do kupowania obligacji państwowych. Przejście na drugą stronę nie było jednak samobójczą podróżą, jakby mogło się wydawać, bowiem samochody zapełniały zaledwie dwa pasma ruchu. Niebezpieczeństwo zdawało się grozić jedynie grupie małych chłopców, którzy ciągnęli do domu wielki pień drzewa na opał.

Po dwudziestu minutach dotarłem do Biblioteki im. Lenina —

szerokiego budynku o prostokątnej fasadzie, ogołoczonej z szeregu posągów, które służyły kiedyś prawdopodobnie jako tarcze strzelnicze dla snajperów. W tej bibliotece byłem już kilkakrotnie, ponieważ było to jedno z niewielu miejsc w Moskwie, gdzie można było dostać właściwie każdą żadaną książkę, znałem więc rozplanowanie księgozbiorów. Nie wiedziałem jednak, czy mają tu archiwum gazetowe. Okazało się, że owszem, ale bibliotekarka nie potrafiła udzielić mi odpowiedzi, sprzed ilu lat są roczniki *Wieziernoj Moskwy*. Rozumiałem jej rozterki, bowiem nie była to gazeta o wielkim znaczeniu ani też opiniotwórcza. Tym bardziej było dziwne, że jedynie w niej zamieszczono wzmiankę o procesie Raczinskiego.

Wypisałem biblioteczną fiszkę i usiadłem. Czekałem. Czekałem, jak się okazało, nieco ponad pół godziny. Kiedy dziewczyna pojawiła się znowu, była zakurzona, lecz tryumfująca. Położyła przede mną roczniki gazety. Podziękowałem jej i odnalazłem numer z 11 czerwca 1953 roku. Nie spodziewałem się, że znajdę jakiegokolwiek informacje o obozie w Łodzie. Chciałem jedynie znaleźć coś o procesie Raczinskiego.

Wkrótce znalazłem notatkę, której szukałem. Ozdobiona była dużym tytułem — *Trzej kolejni przestępcy wojenni stanęli przed sądem!* Treść artykułu była przykładem typowo sowieckiego sposobu narracji prasowej — masa nic nie znaczących słów, a wśród nich tylko kilka zagubionych faktów. Wynikało z nich, że sąd specjalny — o jego składzie nie podano żadnych szczegółów, nawet nie podano daty rozprawy — sądził obok kogoś o nazwisku Raczinski jeszcze dwóch ludzi — Rosjanina i Ukraińca. Obaj zostali skazani na karę śmierci za to, że znęcali się nad więźniami obozu w Łodzie.

Świadcami oskarżenia wobec Raczinskiego było dwóch Rosjan, którzy twierdzili, że razem z nim przebywali w obozie. Jeden nazywał się Iwan Filipowicz Lutkin, drugi — Paweł Aleksandrowicz Skaliga. Jak wynikało z ich oświadczeń, obaj słyszeli, jak Raczinski zdradzał straży obozowej plany ucieczki więźniów. W rezultacie tej zdrady wszyscy ludzie, którzy mieli związek z tą akcją, zostali zgładzeni. Można było odnieść wrażenie, że nikt nie zadawał obu świadkom żadnych pytań, nie

sprawdzono także ich prawdopodobności. Od razu wydano wyrok.

Wszystko — tylko tyle... Nie uważałem jednak, żeby moja wyprawa do biblioteki była jedynie stratą czasu.

\* \* \*

Popołudnie spędziłem w swoim biurze przy Arbacie, chcąc dokończyć kreślenie mapy, którą zacząłem rysować w redakcji w Londynie owego dnia, kiedy znalazłem wycinek. Chciałem wytyczyć przynajmniej prowizoryczną trasę podróży po Ukrainie, aby przedstawić coś Pawłowskiemu. Zaznaczyłem miejsca, jakie zamierzałem odwiedzić — wspomniałem o nich Cole'owi — dołączając informację o tym, co zamierzam tam robić oraz jak długo planuję tam przebywać. Pawłowski — nie ulegało to wątpliwości — z pewnością skoryguje moje plany, ale w każdym razie będzie miał nad czym się zastanawiać. Na maszynie napisałem również formalną prośbę o wyjazd. Uczyniłem to na firmowym papierze *Sunday Recorder*. Przyłożyłem pieczętkę i podpisałem list. Bez pieczętki nigdzie w Rosji się nie dostaniesz. Późnym popołudniem zadzwoniła do mnie Nina Aleksandrowna, aby powiedzieć, iż mam się stawić nazajutrz o godzinie dziesiątej rano.

\* \* \*

Następnego dnia przybyłem punktualnie do siedziby Narku — błyszczącego nowością budynku przy Sadowym Kolcu. Dawniej Ministerstwo Spraw Zagranicznych mieściło się na Bolszaj Łubiance, nieopodal głównej kwatery policji politycznej i tylko o rzut kamieniem od więzienia na Łubiance. Taki układ zabudowy był zapewne najkorzystniejszy w czasach stalinowskich czystek, kiedy to sowieccy dyplomaci znikali niczym śnieg na wiosnę. Teraz wszystko zbudowane z chromu i niklu, było nowoczesne i sprawiało wrażenie cywilizowanego. Przy wejściu Pokazałem swój paszport, zaś płaszcz, kapelusz, szalik i kalosze zostawiłem w szatni na korytarzu. Wchodzenie do zamkniętych pomieszczeń w wierzchnich okryciach jest traktowane w

Rosji jako szczyt złych manier, tak samo jak gwizdanie. Następnie wszedłem do sekretariatu, gdzie urzędowała Nina. Była ciemnowłosa, przystojną, blisko trzydziestoletnią dziewczyną — jedną z niewielu kobiet, jakie widziałem w Rosji, które naprawdę dobrze się ubierały. Pochodziła z Leningradu. Miała miłe usposobienie i zawsze gotowa była służyć pomocą.

Przywitała mnie uśmiechem i powiedziała, że towarzysz Pawłow niebawem mnie przyjmie. W istocie czekałem tylko dwadzieścia minut, co doprawdy było swoistym rekordem. Kiedy na biurku odezwał się dzwonek, poprosiła, abym wszedł.

Rodion Pawłow był przystojnym, bardzo inteligentnym mężczyzną około czterdziestki, z którym zawsze miałem dobre kontakty na gruncie prywatnym. Wysoki, o wytwornych manierach, ubrany był w nienagannie skrojony czarny garnitur i spodnie w prążki. Zawsze zachowywał się z niebywałą kurtuazją. Spotkania z nim mogły przekształcić się w swoistą szermierkę słowną. Często też tak się działo, ale jeśli zdarzało mu się być niezbyt miłym, czynił to zawsze w sposób bardzo subtelny. Zdawał się mierzyć ku najwyższym stanowiskom w hierarchii dyplomatycznej Sowietów i miałem wrażenie, że dzięki takiemu właśnie postępowaniu i zachowaniu już wywierał znaczący wpływ na wiele spraw.

Kiedy wszedłem, wstał z obitego skórą fotela i powitał mnie serdecznym uściskiem dłoni.

— Witam znowu, Lordzie Quainton. Mam nadzieję, że urlop się udał.

Odparłem, że owszem.

— Świetnie. — Poczęstował mnie papierosem, za który grzecznie podziękowałem. Rosyjski papieros składa się z odrobiny tytoniu oraz długiego, kartonowego munsztuka. Oba elementy mają podobny smak. — A więc chce pan być z nami jeszcze przez co najmniej rok?

— Na to wygląda.

Roześmiał się.

— Wciąż pan przedkłada dziennikarstwo nad miejsce w Izbie Lordów i wygłaszanie tam przemówień?

— Sądzę, że tak. Przynajmniej na razie.

— Cóż, to co traci pański parlament, my zyskujemy. — Wskazał mi krzesło, sam zaś usiadł na swoim miejscu. — Jakie ma pan plany? Czy jest coś, w czym mogę być panu pomocny?

— Owszem, tak — odparłem.

Opowiedziałem o podróży, jaką zamierzałem odbyć. Podkreśliłem, że *Recorder* chce szeroko relacjonować moją wyprawę. Wyjawiłem wszelkie szczegóły, zdając sobie sprawę, że tajnienie czegokolwiek może mi w przyszłości tylko zaszkodzić.

— Chodzi o problem wydajności pracy w zimie — powiedziałem. — Oczywiście, nie możemy w tej sprawie oczekiwać cudów. Pan i ja wiemy, że wówczas ma miejsce pewien zastój, pewne straty, spowodowane właśnie przez warunki pogodowe. Podobnie jest i w Anglii, kiedy mamy do czynienia z przymrozkami. Trzeba więc wprowadzić u was wiele nowych rozwiązań technicznych, wiele nowych metod działania. Moim zadaniem będzie zaprezentowanie rzeczywistego, wyważonego raportu o wszystkim, co zobaczę.

— W taki właśnie sposób zawsze pan pisze, Lordzie Quainton. Jak pan wie, jako reportera darzymy pana najwyższym szacunkiem. — Zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad tym, co powiedziałem. — Jakie tereny chciałby pan zwiedzić?

Podsunałem mu szkic, który wykreśliłem; przyjrzał mu się uważnie.

— Tak, widzę... Raczej ambitna podróż... Zajmie panu, jak sądzę, około miesiąca.

— Około... Możliwe, że sześć tygodni.

— W środku zimy taka podróż powinna być przygotowana z należytą starannością, w przeciwnym bowiem razie może być bardzo niewygodna. Przejazdy, miejsca postojowe, zezwolenia — musimy przygotować wszystko, co może być panu pomocne w podróży.

— Zawsze był pan w tym najlepszy — stwierdziłem.

Jego oczy rozbłyły.

— Od pana kolegów słyszałem zazwyczaj mniej życzliwe opinie, Lordzie Quainton. Nie ulega jednak wątpliwości, że coś przygotujemy. Zobaczę, co się da zrobić i dam panu znać.

Na to właśnie liczyłem. Podziękowałem.

— Jest jeszcze jedna sprawa... — zacząłem. — To sprawa osobista, raczej delikatnej natury.

Schylił głowę.

— Potrafię być bardzo dyskretny.

— Nie proszę jednak pana, panie Pawłowie, o dyskrecję, lecz o pomoc... Będąc na urlopie, spotkałem dziewczynę, z którą mam zamiar się ożenić.

— Doprawdy... Moje gratulacje.

— Nazywa się Marya Racziński.

— Jest Rosjanka?

— Nie, ma obywatelstwo brytyjskie, z pochodzenia jest Polką. Wszystko między nami świetnie się układało. Jednak kilka dni temu odkryłem, że jej ojciec — Stefan Racziński, został zaocznie skazany przez radziecki sąd pod zarzutem zbrodni wojennych.

Pawłowowi zrzęda mina.

— Drogi panie — powiedział — jakże przykro mi o tym słyszeć. Naprawdę bardzo mi przykro. Kiedy miało to miejsce — ten wyrok?

— W 1953 roku. — Przedstawiłem wszystkie znane mi fakty. Słuchał nie przerywając mi.

— Co za nieszczęście... Co za nieszczęście dla pana, musiał pan przeżyć wstrząs. Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia... Lecz w jaki sposób ja mogę panu pomóc?

Dobierałem słowa z wielką ostrożnością, wierząc, że jakieś nieprzemyślane zdanie może natychmiast położyć kres naszej rozmowie.

— Oczywiście — wyjaśniłem — nie mam zamiaru podważać w tej chwili wyroku sądu wydanego na człowieka, który uznany został za winnego. Chcę jedynie upewnić się, czy przez przypadek nie została popełniona pomyłka, gdy chodzi o identyfikację. Pomyłka chociażby w nazwisku albo też pomyłka w identyfikacji samego Raczińskiego. Wszystko to robię z dobrymi intencjami.

Pawłow przyjrzał mi się uważnie.

— Czy ma pan jakiś powód, aby myśleć, że tego rodzaju pomyłka mogła zostać popełniona?

— Cóż, przede wszystkim spotkałem się z Raczińskim. Nie znam go nazbyt dobrze, lecz nie wygląda na kogoś, kto byłby w stanie zdradzić współwięźniów. Oczywiście wiem, że są wyjątki potwierdzające regułę, ale jak sądzę, zasada ta nie ma zastosowania w tym przypadku.

— Oczywiście to pańska subiektywna ocena — powiedział Pawłow. — Jeśli zamierza pan ożenić się z jego córką, rzecz jasna, życzy pan temu człowiekowi jak najlepiej.

— Zgadza się. Jest jeszcze inna sprawa. Czytając artykuł zamieszczony w *Wieczerniej Moskwie* zauważyłem, że dwaj świadkowie, którzy zeznawali przeciwko Raczińskiemu, nie zidentyfikowali jego osoby. Tak więc mogli popełnić błąd co do osoby... Poza tym Stefan Racziński nie podjął żadnych starań, aby zmienić nazwisko ani też ukryć fakt, iż przebywał w Łodzi. Według mnie, świadczy to o czystym sumieniu, nie o winie.

— Równie dobrze świadczyć to może o jego wyjątkowej przebiegłości, Lordzie Quainton. Jeśliby zmienił nazwisko i nie wspominał o Łodzi, a potem przez przypadek spotkał w Anglii, kogoś kto był w tym obozie i pamiętał go — wszystko to mógł przecież z łatwością uczynić — o wiele trudniej byłoby mu uciec przed sądem. Możliwe, że uznał, iż mniejsze ryzyko niesie po prostu szczerłość.

To była sprawa, o której wcześniej pomyślałem i poczułem się w tym momencie, jakby przestał wiać wiatr w moje żagle.

— Tak czy inaczej sądzę, że możliwe było popełnienie błędu — powiedziałem.

Pawłow lekko wzruszył ramionami.

— Każdy może popełnić pomyłkę — jesteśmy tylko ludźmi. Trudno mi cokolwiek powiedzieć, przecież nie znam szczegółów całej sprawy. A o co konkretnie chciałby mnie pan prosić?

— Prosiłbym, aby w imię naszej znajomości umożliwił mi pan zbadanie całej sprawy. Znam nazwiska obu świadków. Jeśli można by ich odnaleźć, można także poprosić, aby opisali Raczińskiego. Mam jego fotografię. Może się zdarzyć, iż zaprzeczą, że to właśnie był ten człowiek. Wiem, że proszę o wielką przysługę — nie ma ona jednak na celu niczego więcej, jak tylko szczęście jednego czy dwojga ludzi.



— Szczęście to wcale nie jest rzecz nieważna, Lordzie Quainton. Podobnie jest i ze sprawiedliwością. Musimy być jednak rozsądni. Wszystko, o czym pan mówi, zdarzyło się przed dziesięcioma laty. Świadkowie równie dobrze mogą już nie żyć. Nawet, jeśli żyją, to mieszkają gdzieś tutaj, a przecież Związek Radziecki to ogromny kraj. Trudno będzie ich znaleźć.

— Biorąc pod uwagę pańskie doświadczenie myślę, że nie będzie żadnych kłopotów.

Pawłow pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Nasze służby mają co prawda swoje sposoby... Ale jeśli odnajdziemy świadków, to zdaje mi się, że człowiek, którego opiszą, okaże się pańskim Stefanem Raczinskim. Co pan wtedy zrobi?

— Jestem gotów na wszystko — odparłem. — Chcę jedynie poznać prawdę — jaka by ona nie była.

— Rozumiem. Cóż, poczynię pewne kroki. Rzecz jasna, niczego nie przyrzekam, ale chcę, aby poczuł się pan usatysfakcjonowany. Jak to ujął wasz wielki prawnik: *Sprawiedliwość nie tylko musi być wypełniona — trzeba wiedzieć o tym, że została wypełniona.*

Gdybym tak rozpaczliwie nie potrzebował pomocy Pawłowa, przyjąłbym jego ostatnie słowa wybuchem śmiechu. Wypowiedziane przez urzędnika bezlitosnego państwa policyjnego, zasługiwały bez wątpienia na miano dowcipu roku... W mojej sytuacji pozostawało tylko uśmiechnąć się lekko i tak też uczyniłem.

\* \* \*

Dochodzenie prowadziłem w jedyny dostępny mi sposób, lecz nie miałem złudzeń co do tego, że poczynię wielkie postępy. Jeżeli Raczinski był czysty, a Rosjanie popełnili pomyłkę i wiedzieli o tym, wcale nie będą mieli ochoty na ponowne rozpatrzenie całej sprawy — ukręcą jej łeb. Jeśli zaś uważają, że pomyłki nie popełnili, to wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby dla mojej przyjemności wracali do przeszłości — obojętne czy była odwilż, czy też nie. Sympatia Pawłowa dla mnie

wcale nie oznaczała, że podjęte zostaną jakiekolwiek działania, bo przecież to nie on podejmował ostateczne decyzje. Jednak Rosjanie są nieobliczalni. Czasami z najbardziej tajemniczych motywów czynią najbardziej zaskakujące gesty. Za wcześnie, abym porzucił nadzieję...

Tej nocy napisałem do Maryi. Nie było to łatwe, kilka razy zaczynałem ten list. Nie miałem złudzeń, że wzruszą ją moje uczucia. Wątpiłem też, czy przemówią do niej rzeczowe argumenty. Nie miałem wyboru. Oto co między innymi jej napisałem:

*Zdziwiłbym się, gdybyś powtórnie nie przemyślała, wszystkiego, co nas dotyczy. Jakkolwiek jestem zaniepokojony — mówiłem o tym Twojemu ojcu zanim wyjechałem — po prostu nie dopuszczam do siebie myśli, iż cokolwiek mogłoby się zmienić. Mówiąc językiem dyplomatów — odrzucam Twoje postanie. Rozumiem, dlaczego wszystko to napisałaś, lecz przypisujesz mi uczucia, jakich nie żywię. Nie chcę do tego wracać, ponieważ wiem, że jeśli nie przekonałem Cię, kiedy byłaś tuż obok, to nie sposób przekonać Cię listem. Mam nadzieję, że wiem, że ta mnie nie opuści, że czas złagodzi Twoje ekstremalne nastawienia. Po prostu nie potrafię zaakceptować myśli, że skoro łączy nas tak głęboka miłość i zrozumienie, nie było konieczne i właściwe tak brutalne zrywanie naszego związku. Mam nadzieję, że nie będziesz tak zapalczywa jak dotychczas. W końcu jesteśmy przecież ludźmi inteligentnymi i wrażliwymi, a dialog — nawet jeśli zdaje się, że obecnie do niczego nie prowadzi — raczej przypomina budowanie mostu niż separację. Powiedziałaś, iż masz nadzieję, że nie będę się gniewał — lecz jest inaczej i sądzę, że mam do tego prawo. Nade wszystko jednak chcę Ci powiedzieć, że moje uczucia się nie zmieniły i wciąż planuję wrócić na Wielkanoc i posłubić Cię.*

*Jeśli zaś chodzi o Twojego ojca, rozpoczęłem zbieranie informacji w jego sprawie. Spieszę dodać, że czynię to wszystko nie dlatego, iż pragnę rozwiązać jakiekolwiek wąt-*

*pliwości — bowiem, jak Ci powiedziałem, takich we mnie nie ma — lecz dlatego, że powinnaś o tym wiedzieć. Szczerze powiedziawszy, nie mogą stwierdzić abym poczynił wielkie postępy, ale coś tam zrobiłem, a teraz jest szansa, iż będę w stanie udowodnić, że popełniona została pomyłka. Zawiadomię Cię, kiedy otrzymam jakiegokolwiek informacji w tej sprawie.*

*Proszę, Maryo, napisz do mnie. Wciąż o Tobie myślę i strasznie mi Ciebie brak. Myśl o tym, że mógłbym Cię utracić tak bez powodu, jest wprost nie do zniesienia. Zupełnym wariactwem jest to, że skazaliśmy siebie na tyle cierpień, aby uniknąć przyszłych problemów, które najprawdopodobniej nigdy nie zaistnieją, a które jedynie obecne są w Twojej wyobraźni.*

W tej chwili to było wszystko, co mogłem zrobić w sprawie Maryi. Nadeszły dni, w czasie których zacząłem znowu przyzwyczajać się do moskiewskiego życia i próbowałem być jak najlepszym korespondentem. A to wcale nie jest takie łatwe w kraju, gdzie stawianie nieszablonowych pytań, dotyczących nawet czegoś mało istotnego, było uznawane za formę szpiegostwa. Oficjalnie trwała oczywiście odwilż, ale to wcale nie usuwało trudności w wykonywaniu zawodu. Ów wiatr zmian, który mógł powiać nad Rosją, doprowadzić do złagodzenia restrykcji i uwolnienia ludzi od strachu, okazywał się jedynie leciutkim podmuchem. Było to doskonale widać, kiedy dziennikarz próbował nawiązać życzliwy, bezpośredni kontakt ze zwykłymi ludźmi. Być może prawdą było to, iż nie pakowano ich do pudła za kontakty z obcokrajowcami, lecz większość wołała nie ryzykować, aby nikt nie mógł ich o nie obwiniać.

Z powodu braku normalnych kontaktów z ludźmi, większość czasu zajmowały mi rutynowe czynności. Trzeba było każdego ranka przejrzeć prasę, mając nadzieję znalezienia czegoś interesującego; przeczytać i wyrzucić do kosza propagandowe biuletyny Narku; trzeba było uporać się z serwisem nadsyłanym z Londynu; pójść na przyjęcia dyplomatyczne. Od czasu do czasu tylko trafiali się amerykańscy lub brytyjscy dyplomaci,

z którymi można było przeprowadzić wywiad; czasami wpadała jakaś delegacja, której pobyt trzeba było obsłużyć. Zdarzały się też zaaranżowane spotkania z sowieckimi osobistościami, o rozpowszechnienie dokonań których zabiegały władze; do rzadkości należały odwiedziny w radzieckich instytucjach; bardzo nieregularnie organizowane były konferencje prasowe.

Moje zajęcia nie należały więc do uciążliwych, a czas nie raz włókł się niemiłosiernie. Wieczorami przesiadywaliśmy ze Slatterym, Loganem i Milesem grywając w remika. Popijaliśmy wtedy to, co akurat można było dostać i bez końca głądziliśmy o tym, co dzieje się w Rosji. Nie konkurowaliśmy ze sobą, tak więc ilekroć któremuś z nas udało się zdobyć jakąś wystrzałową informację, rzadko trzymaliśmy ją wyłącznie dla siebie. Było kilka sensacyjnych informacji o tym, co dzieje się w Moskwie, i trudno je było uznać za wymysły jakiegoś kłamcy.

Często kłóciliśmy się, szczególnie kiedy chodziło o pojmowanie polityki przez Amerykanów i przez Anglików, lecz nigdy nie dochodziło do awantur. Znakomicie wyczuwaliśmy, że znajdujemy się we wrogim kraju, a wiedza o tym zbliżała nas do siebie. Wiedliśmy przedziwny żywot — psychicznie wygodny, zawodowo często frustrujący — mając jednocześnie świadomość, że w każdej chwili możemy znaleźć się w centrum następnego trzęsienia ziemi o światowym zasięgu.

\* \* \*

Dni mijały, a o mojej wyprawie na Ukrainę wciąż było głucho. Sądziłem, że albo Pawłow przygotowuje ją z najwyższą starannością, albo też nie czyni w tej sprawie nic. Po tygodniu postanowiłem, że przypomnę się mu podrzuciwszy liścik albo też poproszę go o następną rozmowę. Nic by to nie dało, gdyby zapadły jakieś niekorzystne decyzje natury politycznej. Wtedy lepiej byłoby po prostu przejść się na spektakl baletowy, albo pojeździć na łyżwach w Parku Sokolnickim, niżli pisać odwołania...

Nagle, w niewiele ponad tydzień po moim powrocie, zadzwoniła do mnie Nina prosząc, abym natychmiast przyszedł do

siedziby Narku na spotkanie z Pawłowem. Jej ponaglący ton był czymś tak niespotykanym, że byłem pewien, iż chodzi o mój wyjazd. Pomyliłem się. Chodziło o świadków.

— Zdaje się, że miał pan rację, gdy chodzi o sprawność naszych służb, Lordzie Quainton — z uśmiechem powiedział Pawłow, gdy już wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości. — Rzecz jasna, zmienili adresy zamieszkania, lecz odnalezienie ich obu okazało się mniej trudne, niż sądziłem... Czy wciąż pewien pan jest, że chce podjąć ryzyko?

— Oczywiście — odparłem.

— Bardzo dobrze... Świadek Skaliga, obawiam się, niewiele panu będzie mógł pomóc — dowiedziałem się, że właśnie został zwolniony ze szpitala odwykowego w Moskwie i nie jest w stanie opisać czegokolwiek — może z wyjątkiem koła! Lecz drugi z mężczyzn, Lutkin, jest zdrowy i cały. Pracuje w Tule.

— W Tule? — To było tylko pół dnia podróży na południe od Moskwy. — Może więc pojedę się z nim zobaczyć?

— Zważywszy na okoliczności — powiedział Pawłow — jesteśmy w stanie sprowadzić go do Moskwy. Będzie wam łatwiej porozumieć się. Proszę wszystko traktować jako wyraz naszego uznania i szacunku dla pana.

Wyglądało na to, że mam do czynienia z nadzwyczajnym gestem dobrej woli, lecz byłem tak podniecony tym, co mnie czeka, że nie bardzo obchodziły mnie motywy ich działania.

— Dziękuję bardzo, panie Pawłow. Jestem niezmiernie wdzięczny.

— Czy odpowiada panu godzina trzecia jutro po południu? Czy zechce pan rozmawiać z nim w moim biurze?

— Znakomicie.

— Więc postanowione. Do jutra, Lordzie Quainton.

\* \* \*

Kiedy następnego dnia, punktualnie o trzeciej znowu znalazłem się w siedzibie Narku, przepełniało mnie uczucie nadziei. Wyczuwałem jednak niepokojący brak życia w tym miejscu i nie byłem zaskoczony, kiedy powitała mnie Nina i prze-

prosiła w imieniu Pawłowa wyjaśniając, że pociąg z Tuły spóźni się nieco. Na dworzec posłany został samochód, który przywiezie Lutkina do ministerstwa. Czy będę łaskaw zaczekać?

Miałem ze sobą książkę, usiadłem i zacząłem czytać. W siedzibie Narku miałem okazję przeczytać nie jedno... Nic nie działo się przez blisko godzinę. Nagle usłyszałem na korytarzu kroki, a po chwili pojawił się niewysoki mężczyzna, z teczką w rękę i zdyszany głosem powiedział, że nazywa się Lutkin. Miał około pięćdziesiątki, okulary o grubych szklach, wyglądał na urzędnika piastującego jakieś mało ważne stanowisko. Nina podniosła słuchawkę telefonu i po chwili zjawił się Pawłow. Ucisnął moją dłoń, przepraszając za zwłokę; ucisnął rękę Lutkina i zaprosił nas do gabinetu, gdzie wszyscy usiedliśmy.

W ciszy, Pawłow i ja przyglądaliśmy się Lutkinowi. Następnie Pawłow zapytał:

— To wy jesteście Iwan Filipowicz Lutkin?

Lutkin przytaknął.

— To jest Lord Quainton, korespondent brytyjskiej gazety.

Lutkin ponownie, tym razem w moim kierunku, skinął głową. Mocno przycisnął teczkę do brzucha i wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

Pawłow ponownie zwrócił się do niego.

— To prawda, towarzyszu Lutkin, że byliście więzieni w obozie w Łodzi? Czy w 1953 roku zeznawaliście przed sądem w Moskwie, wraz z Pawłem Aleksandrowiczem Skalią, przeciwko człowiekowi o nazwisku Raczinski, który nie był obecny na rozprawie?

— Tak jest — powiedział Lutkin.

— Cóż... Teraz Lord Quainton chce zadać wam kilka pytań. Proszę odpowiedzieć na nie w miarę swych możliwości. — Pawłow wskazał na mnie. — Pańska kolej, Lordzie Quainton. Proszę pytać o wszystko, co pana interesuje.

— Panie Lutkin, jak długo przebywał pan w obozie w Łodzi? — zacząłem.

— Około trzech miesięcy.

— Czy ten człowiek, przeciwko któremu pan zeznawał, również przebywał tam przez cały ten czas?

— Nie, tylko przez ostatnie trzy czy cztery tygodnie... Przywieziono go krótko przed tym, jak wyzwolony został obóz przez oddziały naszej niezwyciężonej Armii Czerwonej.

— Jako więźnia?

— Tak.

— Gdzie dokładnie spotkał się pan z nim?

— Mieszkał w tym samym baraku, co Skaliga i ja.

— Rozumiem. Proszę mi teraz powiedzieć, jak to się stało, że podsłuchał pan jego rozmowę z niemieckim strażnikiem?

— Skaliga i ja szliśmy do latryny. Kiedy stanęliśmy przed jej drzwiami, z wewnątrz dobiegły nas głosy. Ktoś mówił o planach ucieczki z naszego baraku. Zamilkł, kiedy weszliśmy do środka. To był Racziński. Ten drugi był strażnikiem. Niebawem piętnastu ludzi zostało zabranych z naszego baraku i rozstrzelanych.

— Czy Racziński wrócił do baraku?

— Nie, nie widziałem go więcej. Nie ma wątpliwości, że został przeniesiony gdzie indziej.

— Czy wiedział pan o tym planie ucieczki?

— Nie, nie byłem wtajemniczony.

— Czy ten plan istniał?

— Tak, był. Dowiedziałem się o nim później.

— W jakim języku mówił Racziński, kiedy pan go podsłuchał?

Lutkin zmarszczył czoło.

— Sądzę, że po niemiecku.

— Pan rozumie język niemiecki?

— Tak, całkiem nieźle...

— A teraz proszę mi powiedzieć, w jaki sposób dowiedział się pan, że nazwisko tego człowieka brzmi Racziński?

— Przedstawił się nam.

— Czy wtedy kiedy pierwszy raz przyszedł do baraku?

— Tak.

— Czy słyszał pan jego imię?

— Tak — Stefan.

— Czy zwracał się pan do niego po nazwisku, czy po imieniu?

Lutkin spojrzał na mnie mrużąc oczy.

— Ani tak, ani tak. Niewiele z nim rozmawiałem. Podobnie było z innymi. Nie cieszył się zbytnią sympatią. Coś w nim było takiego...

— W takim razie — powiedziałem — mógł pan tylko raz albo dwa słyszeć jego nazwisko, w czasie tych trzech tygodni, kiedy razem przebywaliście?

— To możliwe.

— Jest pan jednak przekonany, że jego nazwisko brzmiało Racziński?

— Tak się przedstawił.

— Czy widział pan to nazwisko na piśmie?

— Nie.

— Słyszał je pan tylko jeden lub dwa razy... Czy nie przekreślił pan nazwiska? Czy nie mogło ono brzmieć np. Rawiński czy Radecki?

Lutkin zawahał się.

— Myślę, że brzmiało: Racziński.

Pawłowi który w skupieniu przysłuchiwał się naszej rozmowie, przerwał ostro:

— To bardzo ważne, towarzyszu Lutkin. Nie wystarczy myśleć. Jesteście pewni, że to było to nazwisko — czy też nie jesteście?

Lutkin cały się skurczył.

— To było dawno temu, towarzyszu Pawłowi. Przed dwudziestoma laty. Pewien jestem tego, co się stało — te zdarzenia na zawsze zapadły w moją świadomość. Ale samo nazwisko, różnice wymowy, to co innego.

Po raz pierwszy widziałem, żeby Pawłowi stracił panowanie nad sobą:

— Rozumiem... Proszę kontynuować, Lordzie Quainton.

Ponownie zwróciłem się do Lutkina:

— Ten człowiek — powiedziałem — ten Radecki czy Rawiński czy Racziński... Czy może pan powiedzieć jak wyglądał?

Lutkin wbił wzrok w podłogę:

— Spróbuję. Był raczej wysoki, jak sędzę. Chociaż — może średniego wzrostu... Szczupły. Młody.



— Ile mógł mieć lat?  
— Trudno powiedzieć. Ze trzydzieści, może trochę mniej.  
— Jaką miał twarz? Czy była to twarz nalana, szczupła, brzydka, w szramach? Czy pamięta pan jakieś szczegóły tej twarzy?

— Nie mam pamięci do twarzy, *gospodin*, i było to tak dawno temu... Wiem, że był człowiekiem przystojnym.

— A głowa? Czy było coś charakterystycznego w jej kształcie?

— Przypominam sobie, że miał raczej dużą głowę.

Pawłow znowu włączył się do naszego dialogu.

— Musicie spróbować być bardziej dokładni, towarzyszu Lutkin. Czy twarz była pociągła — czy owalna?

Lutkin drżał.

— Chyba duża... Przepraszam, towarzyszu Pawłowie, za to, że nie pamiętam takich rzeczy. W czasie rozprawy nikt nie pytał mnie o takie rzeczy.

Wyjąłem zdjęcie Raczinskiego i podsunąłem je Lutkinowi.

— Czy to ten człowiek?

Zbliżył je do twarzy i przyglądał się fotografii zza swych grubych jak bulwy soczewek. Długo trwała cisza.

— Tak — przytaknął wreszcie. — Myślę... — Przerwał. — Wówczas był oczywiście młodszy. Możliwe. — Wolno pokręcił głową. — Szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

— Proszę pozwolić, że spojrzę — powiedział Pawłow. Wziął do ręki zdjęcie i począł się mu przyglądać. Po chwili rzucił do Lutkina: — Nie sądzę, żeby to była twarz, którą łatwo można zapomnieć, nie raz ją przecież widzieliście. Niespotykana jest, chociażby, wysokość czoła.

— To było tak dawno — odparł Lutkin — a ja nie mam pamięci do ludzi.

Od Pawłowa powiało chłodem.

— Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, Lordzie Quinton?

Pokręciłem głową.

— Możecie już odejść, towarzyszu Lutkin. Samochód, którym przyjechaliście, odwiezie was na dworzec.

Lutkin wstał, teczka wypadła mu z ręki, schylił się, aby ją podnieść. Wyglądał na bardzo zmieszanego.

— Czy coś nie tak, towarzyszu Lutkin?

— Wszystko, co powiedziałem przed sądem, to była prawda...

— W porządku — odparł Pawłow. — Zrobiliście wszystko, co w waszej mocy. Dziękuję, żeście się zjawili.

Otworzył drzwi, Lutkin wyszedł. Kiedy wrócił, miał uroczystą twarz.

— Cóż, to była jedna z najbardziej irytujących rozmów, jakich byłem świadkiem, Lordzie Quainton.

— Dla mnie była jedną z najbardziej interesujących — powiedziałem.

— Zaskakująca i bardzo niejasna. Co za szkoda, że ten pański Racziński sam nie stawił się na identyfikację.

— Przed procesem — powiedziałem — nic o nim nie wiedział. Po procesie został skazany na dziesięć lat więzienia. Czy pan zdecydowałby się na przyjazd?

Pawłow uśmiechnął się chłodno.

— Możliwe, że nie jest osobą mało realnie patrzącą na życie. Tak czy inaczej, jak pan, Lordzie Quainton, teraz się czuje?

— Oczywiście, coraz bardziej jestem przekonany o tym, że popełniono pomyłkę.

— Tak, jestem w stanie zrozumieć pański punkt widzenia. To w istocie mogło się zdarzyć. Ale przeczenia Lutkina, jego luki w pamięci, niczego jeszcze nie dowodzą. Wciąż istnieje i ta druga możliwość. Mówiąc otwarcie, nie jestem przekonany, czy uda się znowu wszcząć proces.

— Wcale tego nie oczekuję.

— Czy znaczy to, że jest pan już usatysfakcjonowany?

— Naprawdę nie mam zamiaru rzucać się z motyką na słońce. Niby po co? Racziński nic sobie nie robi z całej sprawy — zawsze uważał, że pomyłono go z kimś innym. Ja też tak myślałem. Trudno mi tylko było przekonać jego córkę, że tak właśnie sądzę. Teraz mam nadzieję to uczynić.

Pawłow wyglądał na odprężonego.

— Cóż, na pewno panu się powiedzie, Lordzie Quainton. Na pewno.

— Dziękuję — powiedziałem. — Jestem panu niezmiernie zobowiązany za wszystko, co pan uczynił.

— Nie sądziłem, że tak to się skończy. Byłem przekonany, że rozmowa wykaże co innego... Ale cieszę się, że tak się nie stało. Czy jest jeszcze coś, w czym mogę być pomocny?

— A co z wyprawą? — zapytałem.

— Wyprawa — ach tak. Pracuję nad tą sprawą i wkrótce się odezwę... Do widzenia, Lordzie Quainton.

Wychodziłem z siedziby Narku lekko oszołomiony. Wszystko było zbyt piękne, aby mogło być prawdą.

\* \* \*

Wraciałem z Arbatu czując się odprężony i zadowolony po raz pierwszy, od kiedy zaczęła się sprawa Raczińskiego. Naprawdę wyglądało na to, że wbrew wszelkim oczekiwaniom byłem bliski udowodnienia, iż w procesie skazano niewłaściwego człowieka. Tak więc nawet nadwrażliwa Marya nie będzie miała powodów, żeby dłużej się zamartwiać. Domagała się pewności i ja byłem pewien. Wszystko, co mogłem zrobić, to napisać teraz do niej i opowiedzieć o rozmowie z Lutkinem. W ten sposób skończą się nasze kłopoty.

Kiedy zacząłem układać w myślach treść listu, który zamierzałem wysłać, poczułem niedosyt rozmowy, jaką przeprowadziłem. Marya z pewnością będzie chciała dokładnie wiedzieć, co Lutkin powiedział. Ma nadzieję, że szczerze jej o tym powiem. Mogłem stwierdzić, że w dwóch kwestiach — chodziło o dużą głowę i to, że był przystojny — opis Lutkina pasował do Raczińskiego; w jednej zaś kwestii — raczej wysoki — zastosować można było szeroki margines interpretacji. Z innej strony — jak powiedział Pawłow — Lutkin nie był pewny, płatał się w zeznaniach. Czy to, co mówił, było przekonującym świadectwem? Najlepiej byłoby, gdyby Lutkin opisał szczegółowo zupełnie innego człowieka albo gdyby zaprzeczył, że zna człowieka z fotografii. A on po prostu nie miał pewności...

Ale dlaczego? Cóż, po pierwsze pewnie dlatego, że był strasznie zdenerwowany, gdy musiał odpowiadać na stawiane mu pytania w obecności wysokiego urzędnika państwowego. Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać z nim w cztery oczy, nieoficjalnie. Wezmę go w jakieś ciche miejsce i w końcu uda mi się na pewno wyciągnąć z niego o wiele więcej informacji... Po drugie — jego oczy. Wyglądał na kogoś, kto jest prawie niewidomy. Tak więc prawdopodobnie nigdy nie widział dokładnie twarzy, która miałaby należeć do Raczińskiego. Jeżeli od dawna miał kłopoty ze wzrokiem, to nic dziwnego, że — jak mówił — nie miał pamięci do ludzi... Zadowolony i uspokojony wymową wywiadu — czułem, że wykonałem tylko połowę roboty.

Z kolei zacząłem myśleć o drugim ze świadków — o Skolidze. Świadek nałogowego alkoholika może mieć taką samą wartość jak krótkowidza, kiedy przyszedłoby do opisanie postaci — ale przecież pijacy mają i chwile trzeźwości. Jeśli więc uda mi się z nim spotkać — wolałbym spotkanie sam na sam — i okaże się, że będzie w normalnym stanie i nie rozpozna osoby na zdjęciu, to wnioski będą oczywiste... Lecz jakie mam szanse, aby go znaleźć, skoro nie mam zamiaru zwracać się w tej sprawie do władz, co skończy się jeszcze jednym służbowym przesłuchaniem?

Rozmyślając o wszystkim, znalazłem się w domu. Tam, na chwilę, inne sprawy zaprzętnęły moją uwagę. Przerażający hałas dochodził z bawialni — słychać było niespotykane nigdy o tej porze pijackie wrzaski. Slattery, Logan i Miles, wszyscy pili wódkę. Logan leżał rozciągnięty na sofie — w pozycji, w jakiej nigdy nie znajdował się za dnia, jeśli nie było przy nim żadnej blondynki. Był potężnym, wielkim mężczyzną, amatorskim bokserem wagi ciężkiej. Stojąc w drzwiach, ujrzałem najpierw jego kędzierzawe włosy i mocno spłaszczony nos, a potem kieliszek, którym — wznosząc go — powitał mnie.

— Cóż to znaczy? — spytałem. — Jakaś uroczystość?

— Nie, pijemy na twoją cześć, Senatorku — odparł Logan. — To stypa.

— Stypa? Ktoś zmarł?

— Tak, moja noga! — Podniósł zabandażowaną kończynę.

— O Boże! — wykrzyknąłem. — Czy to coś poważnego?  
— Mówią, że nie. Wystarczy jednak, żeby ci spieprzyć życie do końca zimy. Opijamy nasze smutki.

Spojrzałem na Slattery'ego.

— Nici z nart, co?

— Cy na pewno nie pojedzie. Jest szansa, że może wybierze się ze mną Ed Schwartz.

— Jak to się stało, Cy?

— Potknąłem się na jednym z lodowisk, które tutaj nazywają się ulicami. — Podniósł kieliszek. — Nalej mi, proszę, Senatorku.

Sobie i jemu nalałem po potężnej lufie.

— Czy ktoś z was wie cokolwiek o moskiewskich lecznicach dla alkoholików? — zapytałem.

— Nie, daj spokój! — zaczął Cy.

— Nie o ciebie chodzi — przerwałem uśmiechając się. — To jest inna sprawa. Chcę zobaczyć się z człowiekiem, który właśnie opuścił taki zakład.

— Szukanie igły w stogu siana — rzucił chichocząc Miles.

Miles był miłym spokojnym człowiekiem, który na tego rodzaju głupie odzywki pozwalał sobie tylko, będąc na rauszu.

— Jak nazywa się ten facet? — zapytał Slattery.

— Skaliga.

Slattery powtórzył nazwisko.

— Nigdy takiego nie słyszałem. Nie sądzę, aby wielu ludzi w mieście nosiło takie nazwisko.

— Też tak sądzę — zgodziłem się. — Na niewiele się to jednak zda.

W każdym normalnym mieście najpierw starałbym się znaleźć gościa w książce telefonicznej, ale Moskwa nie miała swojej książki telefonicznej — przynajmniej nie została opublikowana. To był jeden ze sposobów — jak sądziłem, aby wszystkich biurokratów uczynić jeszcze bardziej niedostępnymi dla ludzi. Oczywiście zawsze można było zadzwonić do informacji, ale jeśli chciało się zachować dyskrecję, lepiej było tego nie robić.

— Skąd wiesz, że ten facet jest w domu? — zapytał Slattery.

- Powiedziano mi.
- Wiadomość pochodzi z pewnego źródła?
- Nie bardzo.

Włączył się Miles: — Mam pewne poufne biuletyny, które udało mi się dostać w ubiegłym roku w Ministerstwie Zdrowia — może tam coś znajdziesz. Chwila — moment, zaraz wracam.

Poszedł na górę. Po kilku minutach był z powrotem, niosąc gruby, powielony maszynopis.

— Proszę, poczęstuj się — tysiące smakowitych słów o tym jak to dba się o cielesną formę w robotniczym raj. Poczytaj sobie.

— Dzięki — powiedziałem — naprawdę kumpel z ciebie. Usiadłem przy stoliku, gdzie stał telefon i zacząłem wertować skrypt. Było to czysto propagandowe wydawnictwo, ale przynosiło co nieco podstawowych informacji. Rzecz jasna, był i rozdział poświęcony *Walce z Alkoholizmem*, w którym wspomniane były trzy moskiewskie „centra lecznicze”.

Miałem już punkt zaczepienia. Miles znalazł w swoim notatniku telefon do Ministerstwa Zdrowia, gdzie zadzwoniłem. Powiedziałem, że jestem autorem, który pragnie pisać o *Walce z Alkoholizmem*. Zapytałem, czy mogliby mi podać numery telefonów do wspomnianych w ich wydawnictwie trzech ośrodków leczniczych, abym mógł telefonicznie umówić się na ich zwiedzanie. Zamierzałem od razu się rozłączyć, jeśli okazano by cień zainteresowania moją osobą, lecz nic takiego nie nastąpiło. Po prostu dano mi te numery.

Zadzwoniłem pod pierwszy z nich i poprosiłem z sekretariatem.

— Nazywam się Leon Popow — powiedziałem, próbując wzrokiem zdusić rechot Cy. — Doktor Popow. Właśnie przyjechałem ze szpitala im. Lenina w Ałma Acie i szukam kontaktu z moim dawnym pacjentem o nazwisku Paweł Aleksandrowicz Skaliga. Wiem, że niedawno został wypasany z waszej placówki, lecz nie mieszka już pod znanym mi adresem. Czy moglibyście, proszę, powiedzieć, gdzie teraz jest zameldowany?

Spudłowałem — nie słyszeli o nikim takim. Powiedziałem, że

widocznie musiałem zostać źle poinformowany o miejscu, w którym leczono mojego pacjenta, i odwiesiłem słuchawkę. Następnie dwukrotnie pod rząd źle wybrane zostały numery — poprzeczając się więc z operatorem. Telefoniczne systemy łączności zawsze doprowadzić mogą do wściekłości — ale ten, jakim dysponuje Moskwa, jest nie do pobicia. W końcu dodzwoniłem się do miejsca, które było drugie na mojej liście. Znalaziono nazwisko. Jeszcze w siedzibie MSZ zastanawiałem się, czy pijaństwo może usprawiedliwić niechęć do rozmów z nim. Skalliga został wypisany — poinformowano mnie — przed około dwoma tygodniami. Adres, jaki podał, brzmiał: mieszkanie numer sześć, dom numer cztery, Mały Piereułek. Powtórzyłem dane i odłożyłem słuchawkę z uczuciem dokonania rzeczy wielkiej.

— Wybierasz się na zwiedzanie slumsów, co? — odezwał się Miles. — Byłem w Małym Piereułku — to straszne miejsce.

— Wiecie co, panowie — powiedział Slattery, zwracając się jakby do nas wszystkich — jak na szanownego lorda, to ten facet ma niesamowite metody. *Nazywam się Popow. Doktor Popow... Przyleciałem właśnie z Ałma-Aty...* — Nawet po rosyjsku, świetnie potrafi naśladować brzmienie cudzego głosu. — Co o tym myśleć? Taki niby przyzwoity człowiek...

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

— Wiesz, jak mówią: *Miłość zawsze znajdzie drogę.*

— A to co ma znaczyć?

— Kiedyś ci wyjaśnię.

Cy znowu podniósł kieliszek.

— Skończysz na Łubiance, stary... Skoro jednak wciąż jesteś na wolności, to nalej mi.

\* \* \*

Od razu po kolacji przebrałem się w znoszony waciak i wutowane spodnie, które zakładałem czasami wybierając się w teren; do bocznych kieszeni wsunąłem dwie półlitrowe butelki wódki i ruszyłem do Małego Piereułka, który leżał na wschodnich obrzeżach miasta. Na głowie miałem czarną, skórzaną czap-

kę z nausznikami, na nogach filcowe walonki. W takim stroju nie mogłem zwrócić uwagi dozorczy posesji, gdyby przyszło nam się spotkać. Przez całe miasto jechałem trolejbusem. Wieczorem pojazd był stosunkowo luźny — to znaczy, że nikt nie był zmuszony do jazdy na stopniach. Wewnątrz panował tłok, ale wiedziałem jak sobie poradzić. Wsiadłem tylnymi drzwiami, od razu rozpychając się, ruszyłem do przodu, gdzie było wyjście. Jednemu z towarzyszy podróży dałem pieniądze, żeby kupił mi u konduktora bilet, którego zresztą nie otrzymałem. Na jakimś skrzyżowaniu spadł pałak tramwaju. Kierująca pojazdem dziewczyna próbowała naprawić defekt, ale jedyne co jej się udało, to wywołać kolejne spięcie. Dalsza podróż okazała się niemożliwa.

Z mapy miasta odczytałem, że jestem o kilkaset metrów od Małego Piereułka, gdzie trolejbus kończył swoją trasę. Było tak, jak mówił Miles — obskurna dzielnica. Wzdłuż ponurej, źle oświetlonej głównej ulicy i pełnych dziur chodników ciągnęły się rzędy zniszczonych i zaniedbanych kamienic. Mały Piereułek okazał się jedną z najciemniejszych uliczek, ponieważ żadna z tamtejszych latarni nie miała żarówki. Z ledwością udało mi się uniknąć wpadnięcia do odkrytej studzienki kanału ściekowego. Przeklinałem siebie za to, że nie pomyślałem o tym, aby wziąć latarkę. Trochę czasu zajęło mi znalezienie domu oznaczonego numerem cztery. Kiedy wreszcie udało mi się to, popchnąwszy odrapane drzwi, po niczym nie wyłożonych betonowych schodach, szybko — jakbym był jednym z mieszkańców — ruszyłem w górę. Dozorcy ani śladu. W powietrzu unosił się zapach brudnej i starej odzieży, nie sprzątanых toalet i podłego tytoniu. Jak dobrze znany był mi ten straszny nastrój...

Mieszkanie numer sześć było na trzecim piętrze. Zapukałem. Najbardziej bałem się tego, że Skaligi nie ma w domu, i że będę musiał ponownie odbyć tę podróż. Zza drzwi doszły mnie jednak jakieś odgłosy. Znowu zapukałem. Otworzyła mi rozczochrana kobieta.

— Czy zastałem Pawła Aleksandrowicza? — zapytałem jakbym go dobrze znał. Zaskrzeczała coś, odwróciwszy się w głąb



mieszkania, po czym przytaknęła i wpuściła mnie do korytarza.

— To jego pokój — wyjaśniła wskazując na drzwi, z których oblaźła farba. Zapukałem. Ktoś się wewnątrz poruszył i warknął:

— Wejść. — Wszedłem.

Pokój miał jakieś dziesięć na dwanaście stóp. Stały w nim trzy metalowe łóżka, dwa drewniane krzesła, w rogu spłuwaczka... i to było właściwie całe umeblowanie. Na jednym z łóżek leżał mężczyzna w spodniach i podkoszulku. Kiedy wszedłem, uniósł się i ciężko wsparł na łokciu. Był zwałistym, otyłym pięćdziesięciolatkiem o ziemistej, nalanej twarzy i kaprawych oczkach. Obok łóżka, na drewnianej skrzynce stał pusty kieliszek; czuć było wódkę, ale nie dostrzegłem żadnej butelki.

— Kim pan jest? — spytał głosem pełnym agresji.

Nie był pijany, ale nie można było też powiedzieć, że był trzeźwy. Nadawał się zapewne do tego, żeby zostać wypisany z zakładu, ale widać było, że nie został wypisany jako osoba wyleczona.

— Nazywam się Quainton — powiedziałem. — Jestem korespondentem angielskiej gazety. Czy pan jest Paweł Aleksandrowicz Skaliga?

— Tak — odparł.

— Otóż, chciałbym porozmawiać z panem o tym, co przed dwudziestoma laty zdarzyło się w obozie w Łodzie.

Opadł na poduszkę.

— Nie mam ci nic do powiedzenia. Wynocha!

— Dzisiaj po południu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych rozmawiałem z Iwanem Filipowiczem Lutkinem — ciągnąłem nie zrażony. — Wszystko odbyło się w majestacie prawa. Nie ma powodu, aby pan ze mną nie rozmawiał.

Był nieźle pijany, ale to co mówiłem, zainteresowało go. Spojrzał jednak na mnie z powątpiewaniem.

— Przejechałem całe miasto — wyjaśniałem — a wieczór jest mroźny. Piętnaście stopni... Może się napijemy?

Wyjąłem obie butelki wódki. Zakładałem, że kiedy je zoba-

czy, nie będzie w stanie oprzeć się chęci sięgnięcia po flaszkę. Jednak nic z tego.

— Nie wyglądasz na korespondenta — powiedział.

Jego słowa, nawet zważywszy, że bełkotał, wskazywały, iż był człowiekiem wykształconym. Życiowy rozbitek kiedyś miał chyba lepsze dni.

— Zapewniam pana, że naprawdę jestem dziennikarzem — powiedziałem. Pokazałem mu legitymację prasową, na której było moje zdjęcie. Spojrzał na nią i oddał mi.

— Nie zaszkodzi się napić — stwierdził.

Podniósł się z łóżka i przyniósł drugi kieliszek. Postawił go obok swojego. Uderzeniem pięści odbił jedną z butelek, nalał do kieliszków i wskazał mi drewniany taboret. Z kredensu wyjął kawałek czarnego chleba, który przełamał na pół.

— Zdrowie — rzucił.

Stuknęliśmy się kieliszkami, wypiliśmy. Urwał kęs chleba, zakąsił. Zrobiłem to samo.

— Pijesz jak rodowity Rosjanin — zauważył.

— Mieszkam tutaj dostatecznie długo.

Znowu nalał.

— O co chciałbyś mnie zapytać?

— O człowieka nazwiskiem Rawiński czy Radecki, który był z panem w obozie. Przeciwno niemu zeznawał pan podczas procesu w 1953 roku.

— Ma pan na myśli Raczińskiego? O tego skurwiela chodzi?

Nie spodziewałem się, że tak szybko przypomni sobie nazwisko. Pijany czy nie, był bardziej rzeczowy niż Lutkin.

— Czy jest pan pewien, że takie właśnie było jego nazwisko — Racziński?

— Daję głowę. Z moją pamięcią wszystko jest w porządku. — Uśmiechnął się. — Ale nie wtedy, kiedy jestem trzeźwy.

— Czy może pan opisać tego człowieka?

— Oczywiście, że mogę go opisać. — Znowu podniósł swój kieliszek. — Twoje zdrowie!

Wchodził na orbitę. Nic dziwnego, że poblądł. Też poczułem się trochę ogłuszony, a mój gospodarz ponownie napełnił kieliszki. Nie ma dwóch zdań — muszę się spieszyć.

— Proszę więc go opisać — zaproponowałem.  
— Był niskim, krępyim człowiekiem o dużej głowie... Miał wysokie czoło.

O mało nie spadłem z krzesła.

— Miał przestrzelone kolano...

Spojrzałem na niego niedowierzająco.

— Przestrzelone kolano?

— Tak, postrzelony był w tył nogi. — Pokazał, gdzie była rana — zupełnie tak, jak zrobił to Raczinski. — Pocisk minął kość i przez muskuł przeszedł na wylot. Szkoda, że nie trafili go w łeb.

— Ale... Rozumiem, że został postrzelony już po wyjściu z obozu.

— Nie, *gospodin*, przedtem. Widziałem.

— Chce pan powiedzieć, że pokazał panu blizny? Lutkin mówił, że Raczinski nie cieszył się sympatią i że niechętnie się do niego odzywano.

— Zgadza się, ale to on odzywał się do mnie. Robił wszystko, abym uwierzył, że został ranny w czasie obrony Warszawy przed Niemcami we wrześniu 1939 roku. Chciał uchodzić za polskiego patriotę. Bydlę!

Pokazałem mu fotografię, będąc przekonany, że to już zupełnie niepotrzebne.

— Czy to ten człowiek?

Rzucił okiem na zdjęcie.

— To jest Raczinski. Tylko, że wtedy wyglądał młodziej... Widzisz to wysokie czoło? — Spojrzał na mnie podejrzliwie. — Znasz go?

— Spotkaliśmy się.

— Gdybym go spotkał — powiedział Skaliga — skrzyłbym mu kark. Pewien jesteś, że nie jest twoim przyjacielem?

— Nie mogę nazwać go przyjacielem.

— To dobrze. W takim razie, twoje zdrowie! Do *kanca!*

Jeszcze raz opróżniliśmy kieliszki. Skaliga otworzył drugą butelkę. Znowu rozlał wódkę. Dwoiło mi się w oczach.

— Wiesz, co on zrobił?

Spróbowałem zebrać myśli.

— Lutkin powiedział, że zdradził plan ucieczki z obozu. Podśluchaliście, jak mówił o tym strażnikowi?

— Tak, w ustępie.

— W jakim języku odbywała się rozmowa?

— Niemieckim, *gospodin*, niemieckim.

— Pan zna niemiecki?

— Nieźle. Patrząc na mnie może się to wydawać dziwne, ale chodziłem na uniwersytet. Mówili szybko, ale rozumiałem.

— Czy znaczy to, że ten człowiek biegle mówił po niemiecku?

— Mówił jak rodowity Niemiec. Sądzę, że był Niemcem. Szpiegiem, przysłanym do obozu, żeby podsłuchiwać. Widziałem go później, jak śmiał się i żartował ze strażnikami. To było po tym, jak rozstrzelano ludzi.

— Mnie powiedział, że jest Polakiem.

— Nie wierz ani jednemu słowu tego skurwiela. Głowę daję, że był Niemcem. — Skaliga sięgnął po swój kieliszek, chwycił go mocno. — Twoje zdrowie, *gospodin*.

Wypiłem, po czym wstałem.

— Muszę już iść.

Nagle znowu stał się agresywny.

— Poczekaj. Mamy jeszcze trochę we flaszcze...

Chwiejnym krokiem doszedłem do drzwi, potem przez hall do schodów. Kręciło mi się w głowie, wirowały moje myśli. Na ulicy poczułem, że już ledwo żyję.

\* \* \*

Do dzisiaj nie wiem, w jaki sposób udało mi się dotrzeć do domu. Sądzę, że szedłem na piechotę. Pamiętałem tylko, że zważyłem się na łóżko i od razu straciłem świadomość. Rano czułem się fatalnie. Byłem wykończony. Woda, którą wlałem do mojego odwodnionego organizmu, sprawiła, iż znowu poczułem, że jestem zalany. Głowa mi pękała, nie byłem w stanie unieść powiek. Nie mogłem zebrać myśli. Wiedziałem, że wydarzyło się coś ważnego, ale nie mogłem ustalić co. Tak było do późnego

popołudnia. Czując, że wysuszony jestem niby wiór, zacząłem wreszcie przypominać sobie szczegóły rozmowy ze Skaliga.

Nasuwało się kilka wniosków po tym okropnym spotkaniu, ale żaden z nich nie przypadał mi specjalnie do gustu.

Po pierwsze, nie można było już dłużej wierzyć, że Stefan Racziński był ofiarą pomyłki, jaką popełniono co do jego osoby. W przeciwieństwie do Lutkina, Skaliga opisał bardzo dokładnie jego wygląd, tak iż nie było wątpliwości, że mówił właśnie o ojcu Maryi.

Oczywiście zawsze istniała alternatywa, że proces przeciwko Raczińskiemu został rozmyślnie sprokurowany, że Lutkin i Skaliga zostali zmuszeni do złożenia fałszywych zeznań, na użytek propagandowej rozprawy. Ale czy wówczas Pawłow zadawałby sobie trud przedstawienia mi Lutkina? Albo raz przedstawiwszy, czy pozwoliłby mu na dawanie tak żałosnego popisu braku pewności co do Raczińskiego? Czyż nie zostałyby uprzednio wuczony, jak ten człowiek wyglądał? To było więcej niż prawdopodobne.

Pozostawała jeszcze rana nogi. Ta sprawa najbardziej mnie niepokoiła. Skaliga był absolutnie przekonany, że widział ją — a trzeba mu wierzyć, bo kiedy o tym mówił, już był — jak to się mówi — w stanie wskazującym na spożycie. *In vino veritas...* Poza tym bezbłędnie opisał fizjonomię... Doskonale pamiętałem, że Marya powiedziała mi, iż ojciec został ranny, walcząc w oddziale partyzanckim, już po ucieczce z obozu — a informację tę mogła uzyskać tylko z jego ust. Czyżby ją okłamał? Jeśli tak, to dlaczego?

Tylko jedno wytłumaczenie przychodziło mi do głowy. Jego twierdzenie, że jest polskim patriotą, który cudem przeżył wojnę, będąc więzionym w licznych hitlerowskich obozach, byłoby mniej wiarygodne, gdyby przyznał, że został ranny dużo wcześniej. Niemcy zsyłali ludzi do obozów, aby pracowali, a nie na kurację. Chorych od razu likwidowano. Rzecz jasna, jeśli Racziński miałby być informatorem, nic takiego nie mogłoby mu się przytrafić...

Moja wiara w niego została zachwiana. Nie miałem już siły dłużej myśleć o całej sprawie...

Wykapałem się i ogoliłem, przy czym lekko się zaciałem. Około wpół do siódmej zszedłem na dół poszukać czegoś do jedzenia. Slattery i Logan rozmawiali w salonie.

Obaj, kiedy tylko mnie spostrzegli, wyszczerzyli w uśmiechu zęby. Logan powiedział:

— Rany! Nie najlepiej wyglądamy, Senatorku. Ktoś cię napadł czy co...

— Mniej więcej tak się czuję.

— Może wódeczki?

Wzdrynąłem się.

— Nie wspominaj nawet...

Powoli usiadłem na kanapie.

— Czy wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Nic. Spokój — odpowiedział Slattery.

— Jak tam noga, Cy?

— Muszę kuśtykać w tym... — Nogę miał w gipsie. — Złamanie kości strzałkowej. To oznacza sześć tygodni luzu. Niech to szlag trafi!

— Nie zamartwiasz się — rzucił Slattery. — W podróży będę stale o tobie myślał.

— Miło z twojej strony, stary.

— A więc ustaliłeś już wszystko ze Schwartzem, Joe? — zapytałem.

— Tak, ruszamy w niedzielę.

— Samolotem?

— Nie. Nie latają tam. Jedziemy pociągiem do Lwowa, a potem do miejscowości o nazwie Sławno.

— Lwów? — Nie kojarzyłem Lwowa z Karpatami, lecz teraz przypomniałem sobie, że Raczinski wspominał, iż to miasto leży niedaleko gór.

Nagle zaświtała mi myśl.

— Cy, masz ten swój bilet kolejowy?

— Sądzę, że tak. Dlaczego pytasz?

— Na kiedy jest rezerwacja?

— Na jutro wieczór.

— Chciałbym go kupić.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Też jedziesz na narty?

— Nie, chcę jechać do Lwowa. Chcę coś sprawdzić.

— Nic mnie to nie obchodzi, Senatorku. Nie ma ceny na ten bilet. Jeśli chcesz, zawsze możesz sobie go kupić w *Inturiście*. Mają we Lwowie swój hotel. Poza tym, skąd ta tajemniczość?

— Nie chcę, aby ktokolwiek deptał mi po piętach. Chcę sam rozejrzeć się po mieście.

— Szczęściarz z ciebie — rzucił Slattery. — Najpierw wizyta na Małym Piereułku, a teraz sekretny wypad. Mam nadzieję, że twoja gazeta płaci ci astronomiczne pieniądze!

— To wszystko nie ma żadnego związku z pracą zawodową. To sprawa osobista, Joe. Powiedziałbym wam o wszystkim, ale to strasznie skomplikowane.

— Nie jesteśmy ciekawi — powiedział Cy. — Może tylko trochę. Gdzie masz zamiar zatrzymać się we Lwowie? Przecież nie będziesz spał na ławce — nie przy tej pogodzie.

— Mam nadzieję załatwić wszystko w ciągu jednego dnia. Jeśli nie uda się, pójdę do *Inturistu*, załatwię sobie spanie i bilet powrotny.

— Uważaj, akurat ci się uda.

— Nieważne. Słuchajcie, czy będziecie mogli mnie ukryć przed Narkiem? Jeśli zadzwonią szukając mnie, powiecie, że jestem chory albo coś w tym rodzaju. Nie będzie mnie najwyżej kilka dni.

— A co z Katią?

— Możecie jej powiedzieć, że zatrzymałem się u kogoś z Ambasady.

Slattery pokiwał głową.

— Okay. Zobaczymy, co da się zrobić. Mam nadzieję, że dobrze wiesz, co robisz, Tim. Możesz mieć kłopoty, kiedy zorientują się, co ty kombinujesz...

Wzruszyłem ramionami.

— Są gorsze sprawy — powiedziałem.

\* \* \*

W dwadzieścia cztery godziny później byłem już w pociągu zmierzającym do Lwowa. Podróż trwała całą noc i gdyby nie to, że przepełniały mnie wątpliwości i obawy, pewnie byłbym z niej zadowolony. Miałem wygodne miejsce do leżenia, wagonowy był uprzejmy i na każde żądanie służył szklanką herbaty. Po szerokich torach pociąg toczył się z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Odespałem popijawę ze Skaliga i kiedy o dziesiątej rano dojechałem do Lwowa, czułem się wypoczęty i gotów do działania. Cały mój bagaż stanowiła teczuszka, w której miałem piżamę i szczoteczkę do zębów.

Pomimo niepokojących rewelacji, jakie usłyszałem od Skaligi, do Lwowa przyjechałem pełen nadziei. Wszystko co wiedziałem, sprzeczności, gdy chodziło o ranę w nodze, mogło zostać w prosty sposób wyjaśnione. Działania Pawłowa, niejasność zeznań Lutkina, mogły mieć związek z niejasnościami, jakimi zawsze mamili sowieccy urzędnicy. Jakkolwiek moja wiara w Raczńskiego została zachwiana, to jednak nie w pełni ją utraciłem. Wprost przeciwnie — miałem nadzieję, że znajdę ewidentne potwierdzenie jego opowieści. Szukałem dowodów, szczególnie na potwierdzenie tego, że był Polakiem, mieszkańcem Lwowa, nie zaś — jak twierdził Skaliga — Niemcem. Upływ czasu nie bardzo mi pomagał, a poza tym brak mi było wielu podstawowych informacji — gdzie mieszkał z żoną, gdzie przechowywana była w czasie wojny Marya i w jakim miejscu odnalazł ją ojciec. Wiedziałem jednak, że studiował na Uniwersytecie i wychowywał się jako chłopiec na ulicy Bieszczadzkiej. Wiedziałem nawet, jak wyglądał jego dom rodzinny. Kilka rzeczy musiałem sprawdzić.

Kupiłem w kiosku przewodnik po mieście i szybko wytyczyłem sobie kierunek marszu. Będę szedł piechotą — postanowiłem. Jadąc taksówką zyskałbym na czasie, ale wiedziałem, że nie powinienem rzucać się w oczy. Pierwsze kroki należało skierować na Uniwersytet. Stamtąd pójść do ratusza, gdzie znajdowały się księgi metrykalne, informacje o narodzinach, zgonach, małżeństwach. W końcu trzeba było ruszyć w kierunku ulicy Bieszczadzkiej. Dzień zdawał się wymarzony na spacer. Był niewielki mróz. Wkrótce zrozumiałem, dlaczego Raczński tak bar-



dzo kochał to miasto. Było przepięknie położone pośród okalających je wzgórz, których ośnieżone wierzchołki lśniły w od dali. Ulice i place były czyste i przestronne, wszędzie pełno było parków i ogrodów. Na każdym kroku zabytki, które w innych okolicznościach chętnie bym zwiedził. Wszędzie unosił się zapach historii — historii Polski. Wielu ludzi, których mijalem, mówiło po polsku, inni przede wszystkim po ukraińsku. Na chwilę — pomimo zewnętrznych oznak obecności sowieckiej władzy — poczułem się, jak bym opuścił Związek Radziecki.

Przeszedłem przez rzekę Pełtew, teraz zamarznąłą, w której Racziński jako chłopiec łowił ryby. Poszedłem w stronę Uniwersytetu, ulicą Trzeciego Maja i przez park publiczny, który, jak wyczytałem w przewodniku, kiedyś nazywał się Ogrodem Jezuitów. Wewnątrz zabudowań uniwersyteckich szybko znalazłem rektorat i przedstawiłem się tam jako brytyjski korespondent prasowy, urzędujący w Moskwie, który wybrał się do Lwowa na urlop. Zostałem poproszony przez przyjaciela Polaka — wyjaśniłem — o to, aby odnaleźć ślad człowieka o nazwisku Stefan Racziński, który studiował tutaj tuż przed wybuchem wojny. Czy mogą mi pomóc? Czy mają tutaj jakiegokolwiek dokumenty? Czy jest ktoś, kto może go pamiętać?

Chciano mi pomóc — ale niestety. Nie dysponują tego rodzaju informacjami. Dokumenty sprzed dwudziestu pięciu lat zaginęły albo też zostały zniszczone w czasie działań wojennych. Również ci, którzy mieszkali tutaj podczas wojny, studenci jak i wykładowcy, zginęli w czasie walk albo w obozach koncentracyjnych.

Po wojnie Uniwersytet zaczynał od zera. Była to w istocie zupełnie nowa placówka.

Byłem niezadowolony, ale nie zaskoczony. Podziękowałem sekretarce i poszedłem do magistratu. Na placu targowym — obszernym skwerze, a właściwie na jednej z XVI-wiecznych kamieniczek, które go okalały, znalazłem tablicę informującą, że mieszkał tutaj Jan III Sobieski. W biurze pełno było interesantów i musiałem czekać prawie pół godziny, zanim mnie wysłuchano. Opowiedziałem tę samą historię, którą przedstawiłem na Uniwersytecie, lecz teraz chodziło mi o świadectwo urodze-

nia Stefana Raczińskiego, o jego świadectwo ślubu, tuż sprzed wojny, o świadectwo urodzenia Maryi Raczińskiej i akt zgonu jej matki. Urzędas wysłuchał mnie z rosnącą niecierpliwością, potrząsnął głową i w końcu przerwał mi:

— Żadne dokumenty nie przetrwały wojny — powiedział. — Dobrze wiadomo, że Niemcy wszystko zniszczyli. Proszę wybaczyć, ale inni czekają...

Nie powiem, że bym popadł w rozpacz. Zakończywszy tak szybko nazwijmy to, oficjalne dochodzenie, miałem wiele czasu, aby działać już na własną rękę. Wszedłszy do pobliskiej kawiarni przekąsiłem co nieco i wypiliśmy herbatę. Rzuciłem okiem na plan miasta i ruszyłem w kierunku ulicy Bieszczadzkiej. Kiedy się tam znalazłem, nastrój mi się poprawił. Od razu widać było, że to ta ulica, o której opowiadał Racziński. Na odcinku stu jardów, wzdłuż jednej jej strony rozciągał się ogród, który wyglądał niczym przeniesiony wprost z wiejskiego krajobrazu. Z wierzchołków znajdujących się tamgórek dzieci bawiąc się, zjeżdżały na sankach. Patrząc przez bramę, zobaczyłem szczegół, o którym wspominał Racziński — fontannę. Nie tylko to się zgadzało — na wprost wejścia do ogrodu stała biała, trzypiętrowa kamieniczka, z balkonami, gdzie się wychowywał. Niech Skaliga mówi sobie, że był on Niemcem! Z poczuciem wielkiej ulgi wszedłem do domu i zapukałem do pierwszych drzwi.

Przez następną godzinę odwiedziłem wszystkie mieszkania w kamieniczce, pragnąc rozmawiać szczególnie z ludźmi w średnim wieku albo osobami starszymi. Musiało upłynąć, sądzą, trzydzieści albo więcej lat od chwili, kiedy Racziński mieszkał i bawił się tutaj — tak więc jedynie ludzie po czterdziestce mogli pamiętać jego albo jego rodzinę. W przypadku tego rodzaju poszukiwań trzeba wiele szczęścia, a ono mi nie sprzyjało. Mieszkania wciąż przechodziły z rąk do rąk, ciągle zmieniali się w nich lokatorzy — mówiono. W całym domu nie udało mi się spotkać nawet jednego zasiedziałego przez lata lokatora. Była wojna — tłumaczono mi. Wojna wszystko zmieniała... Cóż, widziałem przynajmniej ogród.

Miałem czas, więc pomyślałem, że spróbuję dowiedzieć się czegoś w domu obok. Tam właśnie, na ostatnim piętrze, mia-

łem niesamowite spotkanie. Jeden z pokoi tamtejszego mieszkania zajmował stary człowiek — Polak, ale mówiący po rosyjsku — który mieszkał w tej okolicy od ponad pięćdziesięciu lat, w tym zaś domu od trzydziestu. Powiedziałem mu o co mi chodzi. Próbowałem opisać Raczińskiego takim, jak wyglądał w dzieciństwie. Powiedziałem, że prawdopodobnie był chłopcem o nieproporcjonalnie dużej głowie i nawet wtedy, bardzo wysokim, czole. Powiedziałem, że był dzieckiem ruchliwym, co zapewne wyróżniało go spośród rówieśników. Chłopiec, który musiał bawić się równie często w ogrodzie, jak i po drugiej stronie ulicy.

Staruszek spojrział na mnie zdziwiony.

— Ale, proszę pana — powiedział — w tamtym czasie nie było tu ogrodu! Tam stała cegielnia. Dopiero na krótko przed wojną założono ten ogród. Wiem o tym, bo sam pomagałem przy jego zakładaniu.

## ROZDZIAŁ 3

Wracając do Moskwy wściekły i zarazem przerażony. Moich wątpliwości co do Raczińskiego nie równoważyła już, wynikająca ze współczucia wiara w niego. Nadeszła chwila — w każdym razie tak sądziłem — kiedy musiałem liczyć się nie tylko z możliwością, ale wprost z prawdopodobieństwem tego, że ojciec Maryi popełnił czyny, o które oskarżali go Rosjanie! Z jakiego innego powodu wymyśliłby sobie fałszywą przeszłość? Kiedyś na pewno przebywał we Lwowie, jako że opisał miasto bardzo dokładnie, ale byłem pewien, że nie wychowywał się tam. Możliwe, że przechodził przez Lwów podczas wojny. Prawdopodobnie — wraz z armią niemiecką. Służąc w niej, mógł zostać ranny. Tego nie wiedziałem, ale jednak okłamał mnie, z rozmysłem i bezwstydnie — to wystarczy. Nakreślił przede mną nostalgiczny obraz swej polskiej przeszłości, której nigdy nie miał. Z pewnością nie uczyniłby tego, gdyby nie miał do ukrycia innej, wstydlivej przeszłości.

Kiedy zacząłem go podejrzewać, również inne aspekty jego zachowania jawiły się w bardziej niekorzystnym świetle. Na przykład, sposób w jaki ukrywał przez wszystkie te lata fakt procesu. Przyznał, że zataił ten fakt przed córką, ponieważ cała ta sprawa nie dotyczyła go — ale powodem równie dobrze mogło być to, iż był winny... Poza tym to, że nie podjął żadnych kroków, aby odwołać się od wyroku świadczyłoby raczej o tym, że był winien, niż że nie chce po prostu mieszać się w tę sprawę... Była jeszcze kwestia jego niepokojącego stanu zdrowia. Czy był to efekt przeżyć wojennych? A może wynik tego, co zrobił w tych straszliwych obozach, czy też tego, co dane mu było zobaczyć. A może był to objaw strachu — strachu przed zemstą?

Wszystko było możliwe. Jednak nawet mimo dowodów, że kłamał i był nieuczciwy, trudno mi było uznać Raczińskiego za człowieka o nikczemnej przeszłości — za donosiciela. Instynktownie podziwiałem go i szanowałem. Jawił mi się wciąż jako człowiek wielkiego formatu i niezłomnych zasad — jako ktoś nie pasujący zupełnie do wyobrażenia podłego typu, który oszukuje i zdradza bezbronnych więźniów obozu zagłady. Wyglądał na sympatycznego i ze wszech miar uczuciowego ojca. To oczywiście nic nie znaczy. Nie zapomniałem przecież, że najwięksi mordercy z Oświęcimia po wojnie byli ogólnie szanowanymi małżonkami, dumnymi ze swych dzieci i ludźmi cenionymi przez sąsiadów. Nigdy byś nie powiedział, że...

Pomyślałem o Maryi. Cokolwiek by nie uczynił jej ojciec, nie wierzyłem, aby ona o tym wiedziała. W sercu wciąż nosiłem jej obraz z dni naszego szczęścia — dziewczyny świeżej i niewinnej, i na dodatek uroczej. Cóż, musi jednak mieć jego geny... Możliwe, myślałem zdesperowany, że wcale nie była córką Raczińskiego. Oprócz tego, że oboje mieli zielone oczy, wcale nie byli do siebie podobni. Najprawdopodobniej znalazł ją gdzieś w czasie swej ucieczki na Zachód i zabrał ze sobą, mając nadzieję, że gdy będzie miał przy sobie dziecko, łatwiej przedostanie się do Anglii. Na swej drodze musiał przecież spotkać setki opuszczonych sierot...

W drodze do Moskwy rozmyślałem nad wszystkimi tymi faktami i przypuszczeniami, ale nie doszedłem do żadnych wniosków. Byłem pewien jedynie, że nigdy nie zaznam spokoju, dopóki nie ustalę prawdy — a mogłem to uczynić tylko w jeden sposób. Kiedy znalazłem się na Arbacie, zadzwoniłem do Narku i poprosiłem o spotkanie z Pawłowem.

\* \* \*

W moim pokoju na górze, na biurku znalazłem kilka listów. Jeden był od Maryi. Była to odpowiedź na list, który do niej wysłałem. Zagłębiłem się w lekturze:

*Wciąż myślę o naszej sytuacji, kochanie, szczególnie intensywnie od chwili, kiedy otrzymałam Twój list. Po*

*przeczytaniu go poczułam się bardzo zawstydzona. Teraz wiem, że nie powinnam być w gorącej wodzie kąpana i tak postąpić, nawet jeśli miałam jak najlepsze intencje. Postąpiłam głupio, byłam nieuczciwa, za co jest mi bardzo przykro.*

*Wracając do naszych spraw — cóż, przeczytawszy Twój list oraz wysłuchawszy stanowczych i rozsądnych argumentów ojca, przekonałam się, że i w tej materii nie miałam racji. Wszystko teraz zależy, naprawdę — od Twojej postawy, a Ty zdajesz się być tak pewien i tak przekonany, że nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż niepotrzebnie wyolbrzymałam cały problem. Oczywiście, byłoby wspaniale, gdybyś do końca wyjaśnił całą tę diabelną sprawę — czekam z utęsknieniem na wszelkie informacje. Lecz cóż, kochanie, wiem, że to może żadna pociecha dla Ciebie, po tym wszystkich kłopotach, jakie Ci sprawiłam, ale jeśli chcesz pojąć mnie za żonę na Wielkanoc — jestem gotowa, bez względu na to, co się stanie. Rozłąka to znakomity sposób, aby opadły emocje, a prawda jest taka, że Kocham Cię i nie chcę Cię stracić z powodu jakiegoś starego przypadku, wypadku...*

Odłożyłam list na blat biurka. Czterdzieści godzin wcześniej wszystko, co przeczytałam, uczyniłoby mnie najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Teraz ironia całej sytuacji zdawała się nie do zniesienia.

\* \* \*

Pawłow przyjął mnie chłodno. Domyśliłem się, że musiał otrzymać raport dotyczący mojej podróży i miałem rację.

— Z *Inturistu* poinformowano mnie — powiedział — że był pan z wizytą we Lwowie.

— Owszem.

— To z pewnością jedno z najładniejszych miast rosyjskich... Chciał się pan przewietrzyć?

— Nie — odparłem. — Pojechałem tam, aby dokonać kilku dodatkowych czynności w sprawie Stefana Raczińskiego.

— We Lwowie? Cóż pana tam zagnało?

— Racziński mówił mi, że urodził się we Lwowie i że tam spędził swoją młodość.

— Rozumiem... Ta podróż, jak sądzę, była następstwem pańskich długich rozmów z Pawłem Aleksandrowiczem Skaliga...

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

— Sądziłem, że znaleźliśmy na Arbacie już wszystkie mikrofony. Okazuje się, że jednak nie.

— Cóż, Lordzie Quainton, zawsze lubiłem żarty... Tak naprawdę to Skaliga, gdy już wytrzeźwiał, sam zgłosił się do władz i powiadomił o rozmowie z panem. Sądzę, że bał się, iż mógł nagadać jakichś głupstw, choć oczywiście ma on pełną swobodę wypowiedzania się... Jeśli wiedziałbym, że tak użyteczne mogą być jego zeznania, wolałbym, abyśmy porozmawiali z nim, nie zaś z Lutkinem. A więc coż odkrył pan we Lwowie?

— To mianowicie, że Racziński okłamał mnie — powiedziałem. — Nie mieszkał tam, a twierdził, że mieszkał.

— Nie? Cóż, nie mogę powiedzieć, że jestem bardzo zaskoczony... Ale jak udało się panu to ustalić?

Opowiedziałem o ogrodzie i o innych szczegółach.

— Tak, rozumiem. Nie braliśmy tego pod uwagę... Cóż więc pan myśli teraz o tym człowieku, Lordzie Quainton? Czy wciąż sądzi pan, że wolny jest od win, za które został skazany?

— Bardzo chciałbym tak sądzić — powiedziałem — ale po tym, co powiedział Skaliga i co sam widziałem, muszę powiedzieć, że to jest bardzo trudne.

Pawłow przytaknął.

— Po naszej rozmowie z Lutkinem sądziłem, że jeszcze wszystko jest możliwe — wie pan o tym. Teraz jednak zdaje się, że nie ma już żadnych wątpliwości — bardzo mi przykro. Cała sprawa musi być bardzo nieprzyjemna dla pana... Czy już pan zdecydował, co robić dalej?

— Tak — odparłem. — Wracam do Anglii. Oto dlaczego chciałem się z panem zobaczyć. Byłbym bardzo wdzięczny, jeśli

mógłby pan załatwić mi wizę wyjazdową tak szybko, jak jest to możliwe.

— Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy. Czy zamierza pan wyjechać już na stałe, czy tylko na jakiś czas?

— Sądzę, że na jakiś czas.

— Co na to powiedzą pańscy zwierzchnicy?

— W tej chwili nic mnie to nie obchodzi... Muszę przede wszystkim dowiedzieć się prawdy od Raczinskiego i definitywnie zamknąć całą sprawę.

— Ma pan zamiar go przesłuchać?

— Tak, oczywiście. Mam zamiar zapytać go, dlaczego mnie okłamał i gdzie naprawdę przyszedł na świat. Sądzę, że udzieli mi zadowolających odpowiedzi we wszystkich kwestiach. Taką mam nadzieję. Nie mam zamiaru oceniać jego postawy. Chcę tylko znać prawdę.

Pawłów pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Widzę, że bardzo leży panu na sercu ta sprawa, Lordzie Quainton. W tych okolicznościach myślę, że rozsądnym rozwiązaniem jest pański wyjazd, nic bowiem tak nie wytrąca umysłu z równowagi, jak brak pewności. Kiedy przekona się pan o winie Raczinskiego — a tak z pewnością się stanie — wszystko wróci do normy. Chciałbym dodać tylko to — i mam nadzieję, że nie poczyta mi pan tych słów jako grubiaństwa — że córka wcale nie musi wrodzić się w ojca... Do widzenia, Lordzie Quainton. Zatroszczę się o to, aby wizę wyjazdową otrzymał pan w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

\* \* \*

Wracając z Narku wstąpiłem do *Inturistu* i kupiłem bilet lotniczy do Londynu. Następnie, nie mając ochoty być przepytanym przez Cy i chłopaków, poszedłem na samotny lunch do Aragvi, kaukaskiej restauracji na ulicy Gorkiego.

Na Arbat wróciłem kilka minut po piątej. Poszedłem do swojego pokoju, aby się spakować i przemyśleć treść depeszy, jaką zamierzałem wysłać do redakcji przed wyjazdem. Nie było powodu, dla którego miałbym prosić o pozwolenie opuszczenia pla-



cówki, zdecydowałem się więc na najprostszą wersję: *Wybaczenie. Wracam z powodu ważnych spraw osobistych, Quainton*. Cole na pewno nie będzie zadowolony, szczególnie, że nie czułem się na siłach wyjawić mu wszystkiego, gdy go zobaczę. W końcu jednak opłacam przelot z własnej kieszeni i równie dobrze mogę być z powrotem w Moskwie za tydzień, tak więc gazeta nie poniesie żadnych strat.

Amerykanie nie zjawili się w porze obiadowej. Milesowi powiedziałem, że na kilka dni lecę do domu, na co stwierdził, że też by chciał to zrobić. Wiedział doskonale, że mam naprawdę poważne kłopoty osobiste, nie zadawał więc żadnych pytań. Obaj udawaliśmy przed sobą, że rzeczą jak najbardziej normalną jest zmienianie miejsca pobytu z Moskwy na Londyn.

O dziewiątej wieczorem odezwał się telefon. Z Narku dzwoniła do mnie Nina Aleksandrowna. Tam się pracuje przez całą dobę.

— Dzwonię, aby powiedzieć panu, Lordzie Quainton, że została panu wydana wiza wyjazdowa.

— Dobrze, dziękuję bardzo, Nino. Odbiorę ją rano.

— Dzisiaj wieczorem otrzymaliśmy również zgodę na pańską podróż po Ukrainie. Pragnie pan, abym ją przechowała?

— O Boże... Że też musiało się to mnie przytrafić!

— Pan Pawłow prosił, abym powiedziała panu, że podróż jest przygotowana, a jej marszruta wygląda tak, jak pan sugerował. Czekaliśmy tylko na zgodę... Mówił też, iż zdziwi się, jeśli wybierze się pan w podróż, zamiast lecieć do Anglii.

Zawahałem się.

— A jeśli tak by się stało, to kiedy mogę wyruszać?

— Zgodnie z rozkładem jazdy, pojutrze rano... Pan Pawłow prosił, abym przekazała panu, iż w żaden sposób nie chce panu nic sugerować, lecz niezmiernie trudno będzie zaaranżować ponownie taką podróż tej zimy. Ogromnie dużo pracy włożono w przygotowanie tej wyprawy.

— Tak, doceniam to... Nino, zadzwonię do pani za dziesięć minut. W porządku?

— Oczywiście.

Odłożyłem słuchawkę i usiadłem przy telefonie pełen po-

sępnych myśli. Wiedziałem, co chcę zrobić. Chciałem zobaczyć Raczińskiego i błyskawicznie wszystko z nim załatwić. Chciałem wyprostować wszystkie sprawy z Maryą, w taki czy w inny sposób. Teraz zupełnie nie interesowała mnie ta cholerna wyprawa. Wiedziałem jednak, że nie mogę jej zaprzepaścić. Cole nigdy by mi nie wybaczył, że tak właśnie postąpiłem — i nie mogłem go za to winić. Przecież w końcu byłem dziennikarzem. Spotkanie z Raczińskim równie dobrze mogłem odbyć za kilka tygodni. Gdy chodzi o Maryę, to tak czy inaczej, nie było przed nami przyszłości... Nie miałem wyboru.

Zadzwoiłem do Niny i powiedziałem, że wyruszam na Ukrainę.

\* \* \*

Nazajutrz byłem zbyt zajęty, aby myśleć o Raczińskim. Wyprawa, jaką zamierzałem przedsięwziąć, to nie był piknik w środku zimy i konieczne było staranne przygotowanie się do wyjazdu. Kiedyś, również w grudniu, odbyłem podobną podróż i chociaż podziękowałem Pawłowskiemu za organizację tej wyprawy, wiedziałem już, co może mnie spotkać. Samolot, którym lecisz, może wylądować na zupełnie innym lotnisku i stać tam w dwudziestostopniowym mrozie, tak iż zamarznąć można na kość. Bojler w twoim pociągu może zamarznąć albo też sam pociąg utknie w zaspie. Możesz spędzić całą noc na zapadłych stacyjkach, czekając na połączenie, które nigdy nie nastąpi. Twój gazik zjedzie z drogi i przez dziesięć godzin nikt nie będzie w stanie wyciągnąć cię z rowu. Spóźnisz się gdzieś i okaże się, że nikt na ciebie nie czeka. Kiedy zabraknie ci jedzenia, picia lub papierosów, musisz liczyć tylko na siebie. Zawsze będzie też zimno, bardzo zimno.

Najpierw pomyślałem o tym ostatnim. Slattery miał niesamowitą, podbitą owczym futrem szubę, podobną do tych, jakich używają nocni wartownicy. Skoro nie jechał na narty, to mógłby mi ją pożyczyć. Płaszcz miał wielki kołnierz. Podniesiony sterczał ponad głową, chronił więc znakomicie kark przed wiatrem i na dodatek sięgał kostek. Był tak obszerny, że w nocy mógł

znakomicie służyć za śpiwór. Szuba, moja futrzana czapa, para futrzanych rękawic i oczywiście walonki, mogły ustrzec mnie przed zimnem.

Istniała sprawa zaopatrzenia. Rosjanie są bardzo gościnni dla podróżnych, lecz nie raz przychodzi na to czekać. Rosjanie są bowiem niczym wielbłądy — najedzą się i mogą zasnuwać. Ja nie jestem aż tak wytrzymały i po siedemnastu godzinach bez jedzenia po prostu odczuwam głód. Znalazłem stary plecak, którego używam przy podobnych okazjach, i wypchałem go chlebem, tłustym boczkim, prasowanym kawiosem i czekoladą. Zapakowałem również półlitrową butelkę wódki, butelkę z wodą i jedną czy dwie zmiany bielizny. Sprawdziłem, czy mam paszport i legitymację prasową, latarkę, jakąś książkę do czytania, mapę Ukrainy, pieniądze i grubaśny notatnik. Byłem gotowy do drogi.

Po południu poszedłem do Narku, żeby spotkać się z człowiekiem, który miał być moim przewodnikiem i aniołem stróżem. Nazywał się Andriej Korczenko. Był wielkim, liczącym około czterdziestki Ukraińcem o szerokiej, dobrotliwej twarzy, lecz sprawiającym wrażenie nieugiętego. Po angielsku mówił co prawda nie najlepiej, ale sprawiało mu to radość. Mógł być pacholkiem Narku, lecz bardziej prawdopodobne było to, iż był z bezpieki. Uścisnął mi serdecznie dłoń i powiedział, iż wielką dla niego przyjemnością będzie towarzyszenie mi.

Pokazał mapę — o wiele lepszą od tej, którą posiadałem — i razem prześledziliśmy trasę planowanej podróży. Zgodnie z ustaleniami Pawłowa, najpierw mieliśmy udać się do jednego lub dwóch kołchozów znajdujących się w samym sercu ukraińskich stepów, ponieważ z każdym dniem pogoda stawała się coraz sroższa i im szybciej pokonamy większą część drogi, tym lepiej. Z równinnego regionu pojedziemy do Kijowa, siedziby ukraińskich władz, żeby poznać problemy zarządzania tą okolicą w zimie. Później przeniesiemy się do okręgu przemysłowego w dorzecze Donu, aby porozmawiać z robotnikami i dyrektorami różnych przedsiębiorstw. Zwiedzanie rozpoczniemy od Krzywego Rogu, obszaru słynącego z bogatych rud żelaza, który zawsze mnie intrygował, a skończymy w Odessie nad Morzem Czar-

nym, skąd samolotem wrócimy do Moskwy. Marszruta wydawała mi się ułożona znakomicie, co też głośno powiedziałem. Im bliższa była chwila wyjazdu, tym bardziej cieszyłem się z wyprawy.

Korczenko zapytał, czy mam odpowiednie na tę porę roku ubranie. Przypomniał z uśmiechem, że mogę zapomnieć o wszystkim, tylko nie o zabranii wódki, po czym umówiliśmy się, że spotkamy się nazajutrz o godzinie dziesiątej rano na lotnisku. Zanim wyszedłem, ze swego pokoju wyjrzał Pawłow i zapytał, czy satysfakcjonuje mnie plan wyprawy, po czym życzył przyjemnej podróży.

\* \* \*

Okazało się, że wyprawa pomyślana dla sprawdzenia efektywności działań w warunkach zimy, musiała rozpocząć się w sposób inny niż planowaliśmy, właśnie z powodu pogody. O godzinie ósmej rano zadzwonił do mnie Korczenko oznajmiając, że stacja meteorologiczna na lotnisku poinformowała, iż loty zostały odwołane i będziemy musieli jechać pociągiem. Celem podróży jest miejscowość Głębnia, leżąca około dwieście kilometrów na wschód od Kijowa.

— Wszystko w porządku — powiedziałem. — Zimą wolę nawet podróże po stałym lądzie.

Samochód zabrał mnie z mieszkania krótko po dwunastej, a dwie godziny później mozolnie przemieszczaliśmy się pociągiem na południe, z prędkością o wiele mniejszą od ekspresu.

Przedział mieliśmy tylko dla siebie. Zaczęliśmy rozmowę, chcąc dowiedzieć się o sobie jak najwięcej. Korczenko powiedział mi, że pochodzi z Połtawy, gdzie jego ojciec wciąż pracuje jako kowal. W Moskwie ma żonę i troje dzieci. Pokazał mi ich zdjęcia. Powiedział, iż wie, że jestem lordem, podobnie jak mój ojciec. Był ciekawy jakie to uczucie być lordem. Odparłem, że mniej więcej takie samo jak być synem kowala. Interesował się moją pracą, wyjaśniłem więc na czym ona polega. Jak wkrótce odkryłem, jego wesołość i dobroduszość miały charakter spazmatyczny. Jej wybuchy często dzieliły długie okresy przygnę-

biającej ciszy. Ponieważ mieliśmy razem spędzić ponad miesiąc, wolałem tę ciszę niż ciągłe rozmowy.

Blisko tysiąckilometrowa podróż niczym nie różniła się od jakiegokolwiek innej podróży pociągiem. Jej tempo było może tylko wolniejsze. Trochę czytałem, będąc lekko oszołomiony ciepłem panującym w przedziale. Od czasu do czasu niechlujnie ubrany wagonowy serwował nam herbatę. W składzie pociągu nie było wagonu restauracyjnego, toteż spożywaliśmy posiłki wtedy, kiedy przyszła nam na to ochota. Korczenko swój prowiant miał zapakowany w obciągniętej pokrowcem teczce. Wziął ze sobą podobny zestaw produktów jak ja. Okazało się jednak, że jest również smakoszem marynowanych śledzi. Oczywiście Korczenko zabrał w podróż także wódkę, ale pił umiarkowanie. Tak jak i ja.

Kiedy pociąg zatrzymywał się na stacjach, co zdarzało się aż nadto często, wychodziliśmy z wagonu, żeby rozprostować nogi. O godzinie dwudziestej drugiej wagonowy przygotował nam posłania, na których z przyjemnością wyciągnęliśmy się. Leżałem jakiś czas z otwartymi oczami. Myślałem o pytaniach, które będę zadawał w kołchozach, o Maryi i o wszystkim, co nas ostatnio spotkało. Potem zasnąłem.

Poranek nie przyniósł żadnych istotnych zmian — może z wyjątkiem pogody, która się pogorszyła. Z nisko zawieszonych chmur sypał śnieg. Musieliśmy zapalić w przedziale światło. Widok rozciągający się za oknem był brzydki i mało interesujący — szara równina, z rosnącymi tu i ówdzie brzoškami, które nie były w stanie urozmaicić monotonii krajobrazu. Gdzieś na południe od miasta Konotop mieliśmy dłuższy postój, po czym przesiadliśmy się do innego pociągu. O przesiadce Korczenko nic nie wspominał. Dochodziła trzecia po południu, kiedy w końcu dotarliśmy do Głubni.

Wkrótce stało się jasne, że nikt z Moskwy nie poinformował o zmianach w planie naszej podróży. Na stacji nie czekał na nas nikt, kto mógłby się nami zaopiekować. Korczenko poszedł zadzwonić i nie było go przez jakiś czas. Nie po raz pierwszy miałem okazję przekonać się o korzyściach, jakie płyną z podróży z przewodnikiem. Musiałem jedynie zachować spokój i dać

się prowadzić. Rozwiązywanie problemów i troszczenie się o wszystko należało do Korczenki.

Kiedy wrócił nie wyglądał na zaniepokojonego, a raczej na zakłopotanego.

— Niestety, nastąpiło jakieś nieporozumienie — powiedział. — Dzisiejszą noc będziemy musieli spędzić w Głębni. Naprawdę nie ma powodu do zmartwień. Przyjedzie po nas samochód i niebawem znajdziemy jakiś hotel. Póki co, napijmy się herbaty.

Poszliśmy do brudnego bufetu stacyjnego i pijąc herbatę z niedomytych szklanek rozmawialiśmy o Ukrainie.

Po godzinie przyjechał samochód. Odbyła się krótka, prowadzona podniesionymi głosami dyskusja między Korczenką a kierowcą. Następnie przez jedno z najbardziej zabłoconych i obskurnych prowincjonalnych miast, jakie kiedykolwiek widziałem, zostaliśmy zawiezieni do nędznej chaty, która okazała się hotelem. Aby wejść do jego wnętrza, trzeba było wspiać się po rozlatujących się, przylegających od zewnątrz do ściany drewnianych schodach. Powitano nas tutaj w sposób mało serdeczny. Chozjaj, czarniawy, mały człowieczek o szczurzym wyglądzie powiedział od razu, że nie ma miejsca. Nastąpiła mała utarczka z Korczenką, który chwycił tamtego za kłapy, potrząsnął nim, po czym polecił przygotować pokój, co też tamten zrobił. Później gospodarz przyniósł trochę cienkiego barszczu i dwa talerze kaszy. Wreszcie mogliśmy zjeść coś ciepłego. Kiedy tylko zaspokoiliśmy głód, Korczenko wyszedł, aby spełnić następne z powierzonych mu zadań. Wróciwszy był w lepszym nastroju.

— Wszystko zostało przygotowane — powiedział. — Jutro jedziemy do Nowogrodu.

Właśnie niedaleko Nowogrodu mieliśmy odwiedzić pierwszy z kołchozów. Wyraziłem zadowolenie. Zanim poszliśmy spać, Korczenko podstawił oparcie krzesła pod klamkę drzwi sypialni.

— To nie jest dobre miejsce — stwierdził, sądząc zapewne, że dokonuje jakiegoś ważnego odkrycia.

Noc jednak przebiegła bez żadnych incydentów poza tym, że pluskwy gryzły nas bez opamiętania.

Poranek wstał jasny i czysty, a niebo miało kolor jasnoniebieski.

Czułem się znakomicie. Nastrój poprawił mi się jeszcze bardziej, gdy Korczenko oznajmił, że droga do Nowogrodu jest nieprzejezdna i przyjdzie nam skorzystać z sań. Podróż saniami zawsze była tym, o czym marzyłem, ale jak dotychczas nie było okazji, aby jej doświadczyć.

— Sześćdziesiąt trzy kilometry — powiedział. — Cztery godziny. Jest znakomita pogoda na taką podróż. Ruszamy o dziewiątej.

Dwukonny pojazd, powożony przez jakiegoś wieśniaka, czekał przed hotelem już za pięć dziewiąta. Wozakiem był starzec o zniszczonej twarzy, odstających uszach i krostowatym nosie. Szerokie, solidne sanie zrobiono z drzewa i żelaza, płóty także były metalowe. Pojazd był reliktem przeszłości. Usadowiliśmy się wygodnie pod grubą, futrzaną narzutą, nogi w walonkach wsparliśmy na bagażach, podnieśliśmy kołnierze i opuściliśmy nauszники. Woźnica krzyknął coś na konia, co brzmiało jak *chotjar*, i ruszyliśmy.

Zrazu trochę trzęsło na wyboistych muldach śnieżnych, którymi usłana była droga w miasteczku, lecz jak tylko wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń, jazda stała się równa i wygodna. Jechaliśmy w zupełnej ciszy, a jedynymi odgłosami, jakie słyszeliśmy, był poszum płóz i odgłos końskich kopyt. Step w świetle poranka zatykał swym pięknem dech w piersiach. Czysty i lśniący śnieg wiatr ułożył we wzory jak piasek nad morzem. W słońcu mieniły się one kolorami żółtym i czerwonym, załamując światło. W bezwietrznym powietrzu wirowało mnóstwo drobinek lodu, które oblepiały nasze twarze. Rzadko kiedy czułem się tak radośnie ożywiony.

Jak mówił Korczenko, przez tę śnieżną przestrzeń nie było przetartej drogi i nawet drogowskazy przysypał śnieg. Konie jednak zdawały się znać drogę i woźnica nie miał wiele roboty. Tylko od czasu do czasu, kiedy przestrzeń nagłe zapadała się i trzeba było pokonać wzniesienie, wykrzykiwał to swoje dziwne *chotjar* i popędzał konie batem. W sumie droga była równa niczym blat stołu, a wokół panowała pustka. Był to najbardziej

pusty i bezludny kraj, jaki kiedykolwiek widziałem. Nigdzie ani śladu drzewa, zabudowań, żywej duszy.

— *Prostor* — powiedział Korczenko, szeroko rozrzucając ramiona. Tym właśnie słowem Rosjanie opisują niezmierną przestrzeń swego kraju. Słowa Korczenki przepełniała duma, tak jakby to on sam stworzył ten kraj.

Jechaliśmy prawie dwie godziny, kiedy wyczułem w kryształicznym powietrzu zapach dymu.

— Jeszcze mila, a dojedziemy do niewielkiej osady — wyjaśnił Korczenko.

Jej wyprane z kolorów zabudowania, wzniesione z palonej cegły, miały dachy przypominające igloo i podłogi wykopane głęboko w ziemi tak, że mijając je z łatwością mogliśmy zobaczyć, co dzieje się wewnątrz. Korczenko kazał zatrzymać sanie przed jednym z domów i po krótkiej rozmowie zorganizował dla nas ciepłą herbatę z samowara. Nasz woźnica miał brwi i brodę oblepioną szronem i wyglądał niczym prawosławny patriarcha. Nakarmił i napoił konie. Potem ruszyliśmy w dalszą drogę.

Pierwsza radość podróży minęła. Dalszy jej przebieg był już mniej przyjemny. Zerwał się niezbyt mocny wiatr, ale ciął niczym nożem. Wkrótce zacząłem łzawić, a łzy zamarzały mi na policzkach. Czułem, że i w nosie mam pełno lodowatych sopli. Drętwiały mi palce u nóg, choć stopy chronił filc walek. To samo działo się z dłońmi, mimo że chronione były rękawicami. Korczenko tak podniósł kołnierz, że zasłonił uszy i przyznał, iż jest zimno.

— *Chołodno* — stwierdził. — *Oczeń chołodno.*

Spojrzeliliśmy na swoje twarze, czy czasami nie ma na nich, nie daj Boże, białych bezkrwistych znamion, które od razu trzeba byłoby natrzeć śniegiem, aby przywrócić krążenie krwi i zapobiec odmrożeniom. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Cierpieliśmy tylko niewygody. Około pierwszej minęliśmy małe miasteczko Nowogród i przez bramę zbitą z desek, nad którą powiewał czerwony sztandar, wyrażający męstwo kołchozowej pracy, wjechaliśmy, jak głosiła stojąca obok tablica, na teren Kołchozu im. Lenina.



Tego wieczora, po treściwym posiłku w bufecie, rozpocząłem rozmowy z przewodniczącym, wiceprzewodniczącym i szefami poszczególnych działów kołchozu. Wyjaśniłem, że nie interesuje mnie organizacja kołchozu, lecz problem w jaki sposób pracownicy dają sobie radę z zimą i jak stawiają jej czoła. Rozpoczęliśmy od żywej wymiany zdań na temat ekstremalnych warunków klimatycznych, w jakich przyszło im żyć. Opowiedzieli mi co się dzieje, gdy temperatura spada poniżej 40° Celsjusza, jak to dotknąwszy gołą ręką jakiejś metalowej sztaby zostawiało się na niej kawał żywego mięsa, jak nad kołchozem powiewały flagi ostrzegające, że zbyt niebezpiecznie jest wypuszczać dzieci do szkoły. Następnie przeszliśmy do sedna sprawy. Przygotowałem listę pytań, dotyczących składowania plonów, konserwacji parku maszynowego, dostarczania paliwa, transportu. Omówienie tych zagadnień zajęło prawie cztery godziny. Postawione kwestie zainteresowały ich. Odpowiadali zupełnie szczerze. Poinformowano mnie o zimowym żywieniu i metodach opieki nad zwierzętami, o nieustannej walce z gromadzeniem zapasów drewna w okolicy bezleśnej, o częstych opóźnieniach w dostawach węgla i walce o utrzymanie połączenia ze światem. Przyznano, że były pewne straty w zbiorach zbóż i wielkie straty ziemniaków, kiedy nastąpiła awaria ogrzewania w pociągu towarowym. Opowiedzieli mi o odczytach, jakie organizują i projekcjach filmów w niektórych wsiach; o spółdzielniach rękodzieła, jakie chcą utworzyć, by mieć zajęcie w długie zimowe wieczory; o dalekich podróżach, jakie podejmują, żeby naprawić bryczki używane latem jako środek transportu. Z przejściem mówili o tym, w jaki sposób zatrzymać wieśniaków, szczególnie zimą, kiedy pobliskie miasta są dla nich o wiele bardziej atrakcyjne. Każdą tezę ilustrowali liczbami — dysponowali danymi statystycznymi z wielu lat. Jeśliby statystyka była w stanie pomóc w rozwoju ekonomicznym, to z pewnością ich gospodarstwo byłoby kwitnącym. Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że w to nie wierzą. Byli sympatycznymi, przyjacielskimi, pełnymi życia i entuzjazmu ludźmi. Nie było ich winą, że ko-

lektywizacja była taką straszną klapą. Teoretycy wymyślili ideę — ideę, która po prostu nie pasowała do natury człowieka. Ci ludzie byli tylko jej realizatorami, borykającymi się z ogromnymi problemami.

Korczenko, który wkrótce poczuł się zmęczony i po cichutku wyszedł, wrócił akurat na straszliwy bankiet, w którym wzięli udział różni partyjni i cywilni oficjale z regionu, a także moi rozmówcy. Uczta była typowa dla podobnych okazji — fantastyczne ilości jedzenia, rzeka wódki, kaukaskie wina i nie kończące się przemówienia i toasty. Także zabrałem głos, ale już naprawdę nie pamiętam, co powiedziałem. Tak czy inaczej, wszyscy świetnie się bawili, a ci którzy byli w stanie, udali się do łóżek grubo po północy.

Nazajutrz odbyłem podróż ciężarówką, która ruszyła dopiero wtedy, kiedy rozpalono ogień pod jej podwoziem, aby odmrozić silnik. Zwiedzałem rozległe połacie ziemi kołchozu. Pokazano mi kopce ziemniaków i składy zboża, obory i chlewnie, punkt naprawy ciągników i wiele innych rzeczy. Wróciłem późno i poczęstowany zostałem obfitym posiłkiem. Korczenko, który gdzieś wydzwaniał, znowu podjął swoje obowiązki wobec mnie. Krótko po dziesiątej serdecznie żegnani wsiedliśmy do kołchozowego samochodu i ruszyliśmy do następnego celu podróży, leżącego jakieś dwadzieścia mil dalej. Na miejsce dotarliśmy bez żadnych przygód. Samochód odjechał.

Stacyjka ze wszech miar zasługiwała na uwagę. Składała się z małej, drewnianej poczekalni, stojącej obok pojedynczego toru. Wokoło nic, tylko pusta przestrzeń stepu, bezkresna niczym zamrznięte morze. Godny uwagi był fakt, że poczekalnia wypełniona była ludźmi, mężczyznami, kobietami, dziećmi, bagażami — byli to podróżujący wieśniacy. Diabli tylko wiedzą, skąd przybywali i w jaki sposób się tutaj dostali. Wewnątrz było strasznie brudno i okropnie śmierdziało. Było to jednak jedyne ciepłe miejsce w promieniu wielu mil, więc wraz z Korczenką wmieszaliśmy się w tłum i usiedliśmy na podłodze, by czekać. Mój przewodnik jak zwykle ani słowem nie wspomniał, gdzie zamierza mnie zawieźć, tak więc sporo czasu upłynęło, zanim naciskany, raczył poinformować mnie jedynie o tym, że pociąg

powinien nadjechać około północy. Nasze oczekiwanie trwało jednak całą noc. Raz wszyscy poderwali się, myśląc że to już..., ale mieliśmy do czynienia z tak zwanym fałszywym alarmem. Siedzieliśmy więc na bagażach, drzemiąc. Kiedy dla zaczerpnięcia świeżego powietrza wyszedłem na chwilę na zewnątrz, doświadczyłem jak upiornie mroźna jest ta noc. Lepiej więc było siedzieć w budzie.

Zaczynało świtać, a pociągu ani śladu. Byłem koszmarnie zmęczony, ale nie mogłem sobie odmówić radości zobaczenia wschodu słońca. Na linii horyzontu pojawiła się wielka, czerwona kula. Sierp księżyca niknął gdzieś na zachodzie. Nagle, na kilka sekund, nieskażona przestrzeń śnieżna wokoło mnie stała się purpurowa. Poczułem się tak, jakbym stał w samym środku jeziora lodowego ognia. Zachwycony widokiem, potrząsałem Korczenką, ale ten tylko chrząknął. Później dowiedziałem się, że uznawał ten obraz za zapowiedź złej pogody.

Pociąg nadjechał o dziewiątej. Musiała zdarzyć się jakaś poważna awaria, ale nigdy nie dowiedziałem się cóż właściwie się stało. Byłem nazbyt zadowolony z faktu, że znowu mogę ruszyć w podróż, żeby pytać o cokolwiek. Naszym celem była stacja w Czerwonej Cerkwi, miejscowości oddalonej o trzy godziny jazdy. Nie było już żadnych postojów, ale oczywiście z powodu nocnego oczekiwania wszystkie ustalenia Korczenki wzięły w łeb. Znowu zaczął telefonować. Pokrzepiłem się kawałkiem czekolady i poszedłem się rozejrzeć. Stacja nie była tak zapadłą dziurą, jak ta, którą opuściliśmy. Na zewnątrz biegła ubita droga, a w pewnej odległości można było dostrzec kopułę cerkwi. Nieopodal wejścia na stację trzy wieśniaczki, rozstawivszy koszyki, urządziły sobie nieoficjalne targowisko. Podziwiałem ich upór. Tak jak przepowiadał Korczenko, pogoda zaczęła się pogarszać. Niebo zachmurzyło się, zaczął wiać przenikliwy wiatr. To nie był najlepszy dzień, żeby wychylać nos z domu.

Wróciłem do poczekalni. Na szczęście opustoszała po odjeździe pociągu, którym przyjechaliśmy. Po upływie około pół godziny przyłączył się do mnie Korczenko. Powiedział, że musimy poczekać na samochód, ale nie wie, jak długo to może potrwać. Czekaliśmy do popołudnia. Ludzie przychodzili i wy-

chodzili. Przyjechał jeden, dwa, a może więcej pociągów. Zapadł zmrok, a my wciąż czekaliśmy. Samochód nadjechał o szóstej. Był to stary rupieć, za którego kierownicą siedział opryskliwy szofer. Na powitanie stwierdził, iż nadchodząca noc nie jest wymarzona dla jazdy. Zapytał, czy nie moglibyśmy odłożyć jej do jutra. Pomyślałem, że to niezła myśl, lecz Korczenko, obawiając się zmian w dalszym planie podróży, jakie pociągnąć może dłuższy postój, chciał jechać do kołchozu. Ruszyliśmy.

Jechaliśmy drogą, której nawierzchnię stanowiły ułożone obok siebie sosnowe bale. Podskakując na pokrytych śniegiem i lodem wybojach, wiedzieliśmy, że w każdej chwili samochód może znaleźć się na dachu.

Jęczenia wiatru wdzierają się do wewnątrz przez nieszczelne drzwi i okna. Zaczynał padać śnieg. Nie był to ten przyjemny puch, z którym mieliśmy dotychczas do czynienia, ale zmrożony, ostry proszek, który bardzo ograniczał widoczność. Początkowo śnieg nie był zbyt dokuczliwy, lecz kiedy wzmógł się wichur, na drodze zaczęły tworzyć się zasy. Kierowca opieprzał Korczenkę. Mówił, że prawie w ogóle nie widzi drogi i jeśli będziemy kontynuowali jazdę, to z pewnością utkniemy w zaspie. Mamrotał, że powinniśmy, jeśli jeszcze można, wracać po naszych śladach do Czerwonej Cerkwi. Korczenko jednak nie chciał o tym słyszeć.

— Jedziemy już ponad godzinę — powiedział — i musimy mieć połowę drogi za sobą. Z pewnością ślady zostały już zasypane śniegiem i cofanie się byłoby równie trudne jak jazda do celu.

Kontynuowaliśmy więc naszą podróż, a samochód ślizgał się i podskakiwał. Śnieg padał gęstszy. Zasy robiły się coraz większe, widoczność spadła niemal do zera. Tylko wertepy świadczyły o tym, że wciąż nie zboczyliśmy z drogi. Nagle przestały pracować wycieraczki. W ułamku sekundy ujrzałem pień brzozy rosnącej po lewej stronie, po czym przednia szybka stała się zupełnie nieprzejrzysta. Zarzuciło nami, zjechaliśmy z drogi i wóz po osie zapadł się w śniegu. Po wyjściu z samochodu wystarczyło jedno spojrzenie, abyśmy wiedzieli, że nie wydostaniemy się z zasy o własnych siłach.

Kierowca zauważył, mimo zamieci, rurociąg o średnicy blisko trzech stóp, biegnący wzdłuż prawego skraju drogi. Obok była jeszcze jedna taka konstrukcja, lecz jeszcze nie zespawana. Prowadzono tutaj jakieś poważne roboty. Korczenko poprosił, abyśmy zaczęli i oświetlając sobie drogę latarką — zaczął przedzierać się wzdłuż rurociągu. Odwróciwszy plecy w kierunku, z którego wiało, i przytupując — czekaliśmy. Sytuacja była rozpacziwa. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to spędzić tę mroźną noc w aucie — jednak, ponieważ burza nie ustawała, rankiem z pewnością znaleźlibyśmy się na tamtym świecie.

Nagle z lasu wyszedł Korczenko.

— W porządku! — krzyknął radośnie. — Są jakieś zabudowania... Bierzcie bagaże.

Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać. Z samochodu wyciągnąłem plecak. Korczenko zabrał swoją walizkę. Ruszyliśmy po śladach, jakie zostawił. Kierowca zamykał naszą trzyosobową karawanę. Rurociąg niknął w zagajniku, a potem znowu biegł po otwartej przestrzeni. Przed sobą zobaczyłem kontury zabudowań. Okazało się, że to długi barak, gdzie — jak się domyślałem — mieszkali robotnicy pracujący przy budowie rurociągu. Z tyłu stała latryna. Barak był zamknięty. Nie widać było żadnego śladu życia. Korczenko oparł się ramieniem o drzwi i po drugim uderzeniu barkiem zamek został wyłamany. Świecąc latarkami, weszliśmy do wewnątrz.

W pomieszczeniu znajdowały się dwa długie, stojące na krzyżakach stoły, przy których mogło zasiąść ze czterdziestu mężczyzn. Kuchnia mieściła się w przybudówce. Z sufitu zwiisały niczym nie osłonięte żarówki. Korczenko nacisnął przełącznik — bez efektu. Zaczął szperać w kuchni, znalazł główny przełącznik. Włączył go. Wciąż nic. Zajrzał do środka puszeki i mruknął: — Bezpiecznik. Zaczęliśmy szukać drutu. Po chwili kierowca odłamał jakiś jego zardzewiały kawałek ze starej skrzynki. Korczenko popatrzył na niego podejrzliwie, wzruszył ramionami i użył go. Pomieszczenie rozbłysło światłem. Wyszczerył do mnie zęby.

— Mamy szczęście — powiedział. — Proszę pozwolić, że

powitam pana w najlepszym hotelu w promieniu wielu kilometrów.

\* \* \*

Naprawdę mieliśmy szczęście. Był nie tylko dach nad głową i światło, ale także wielki piec oraz zapas drewna wystarczający na opalenie pomieszczenia przez całą noc. Nie było bieżącej wody — wiszące rzędem w kuchni drewniane wiadra świadczyły o tym, że czerpano ją z jakiegoś ujęcia na zewnątrz, ale mogliśmy przecież stopić śnieg. Nie było telefonu, co znaczyło, że nie będziemy mogli rano zadzwonić po pomoc. Wyglądało na to, że budowę przerwano na okres zimy. W związku z tym nie było też robotników, których można byłoby poprosić o pomoc.

Kierowca, teraz już bardziej uprzejmy, narąbał trochę drewna i rozpalił w piecu. Kiedy strzeliły pierwsze płomienie, napiliśmy się wódki zakąszając chlebem i kiełbasą z czosnkiem z zapasów Korczenki, później zaś zjedliśmy bardziej treściwy posiłek, popijając herbatę. Pomieszczenie miało podwójne okna, dlatego szybko się ogrzało. Miejsce było bardziej czyste i o wiele bardziej wygodne, niż hotel w Głębni. Nasza radość rosła w miarę jak pogarszała się pogoda. O mały włos uniknęliśmy śmierci.

Przed snem włożyłem wierzchnie okrycie i poszedłem do latryny. Zimno zaparło mi dech w piersiach. W wirującym białym śniegu nawet ubranie nie chroniło od mrozu. Światło z baraku rzucało poświatę, więc nie miałem kłopotów z przetarciem drogi przez śnieg. Proszę mi jednak wierzyć, że przebrnięcie trzydziestu jardów to wcale nie były żarty. Latryna była bardzo prymitywna. W końcu jednak deski, z jakich była zbita, dawały jakąś ochronę.

Kiedy otworzyłem drzwi zamierzając wyjść, zobaczyłem z przerażeniem, że barak znowu tonie w ciemności. Przerdzewiały bezpiecznik musiał nawalić. Zaświeciłem latarką, ale okazała się bardziej zawadą niż pomocą — w snopie światła ujrzałem tylko ścianę spadających płatków śniegu. Zaświeciłem pod nogi, licząc, że będę mógł wrócić po własnych śladach. Obok

latryny, gdzie zebrało się niewiele śniegu, było to łatwe — ale gdy przeszedłem jard albo dwa — nie zobaczyłem już żadnych śladów. Moje walonki, o szerokich podszwach, zostawiały płytkie ślady i śnieg zdążył je już zasypać. Przez chwilę stałem smagany przez wiatr, próbując uzmysłowić sobie, jak w stonsunku do baraku usytuowana była latryna. Trochę w lewo — pomyślałem. Spojrzałem przed siebie, ale nie mogłem nic dostrzec. Po omacku ruszyłem przed siebie. Może jeszcze bardziej w lewo? Przeszedłem jakieś sześć kroków i zapadłem się w zaspę. Kiedy się z niej wygrzebałem, zupełnie straciłem orientację. Gdzie, do diabła, jestem?

Stałem i krzychałem. Odpowiedział mi słaby głos, ale trudno było jednak określić kierunek, z którego się rozlegał. Spróbowałem raz jeszcze, ale wciąż nie wiedziałem, w którą stronę muszę iść. Nagle przypomniałem sobie, że gdy szedłem do chaty, śnieg padał na moje plecy. Jeśli więc teraz będę szedł mu naprzeciw, powinienem dotrzeć do baraku. Z trudem przeszedłem dwadzieścia kroków. Wiedziałem, że straciłem orientację z powodu głębokiego śniegu, ale nie sądziłem, że barak może być gdzieś daleko. Znowu krzychałem z całych sił. Tym razem nie było żadnej odpowiedzi.

Nie miałem złudzeń co do tego, w jakim byłem niebezpieczeństwie. Barak był punkcikiem na wielkim stepie i szansa na to, że trafię do niego przez przypadek, była minimalna. Lecz jeśli nie znajdę go i przyjdzie mi spędzić noc na zewnątrz, z pewnością zginę. Próbowałem zwalczyć w sobie narastające uczucie paniki i rozważyć spokojnie sytuację. Barak — powiedziałem sobie — musi być gdzieś blisko. Za chwilę Korczenko naprawi bezpiecznik i znowu rozbłyśnie światło. Dostrzegę je i wszystko będzie w porządku. Zanim to jednak nastąpi, nie mogę stać w miejscu, bo zamarznę. Najlepiej więc będzie krążyć w koło i wygłądać światła.

Ruszyłem, odbijając trochę w lewo. Wiatr wciąż się nasilał. Ściana padającego śniegu była nie do przejścia. Ostre płaty uderzały mnie w twarz. Bolało. Nie sposób było oddychać. Co kilka metrów zapadałem się w zaspę. Czułem się coraz bardziej zmęczony i co najgorsze, zacząłem tracić nadzieję na ocalenie.

W baraku już powinno zabłysnąć światło. Po prostu odszedłem zbyt daleko, aby je dostrzec — to wszystko. Z trudem szedłem dalej. Wiedziałem, że się zgubiłem, ale zatrzymać się — znaczyło umrzeć. Kiedy się ruszałem, wciąż miałem szansę przeżyć.

Nie wiem, jak długo szedłem. Wiem tylko, że byłem już bliski wyczerpania, kiedy nagle nastąpiłem na coś twardego. Włączyłem latarkę. To było jedno z pręseł rurociągu. Natychmiast ożyła we mnie nadzieja. Jeżeli będę szedł wzdłuż linii rurociągu, na pewno dojdę do baraku albo do samochodu. W obu przypadkach będę bezpieczny. Ruszyłem z nowym zapałem. Nie wziąłem jednak pod uwagę zasp. Były tak głębokie, że rury niknęły pod nimi w wielu miejscach i mogłem znowu się zgubić. Zapadałem się po pachy w kopnym śniegu. Każdy krok to była istna walka. Nigdy nie dojdę...

Była tylko jedna nadzieja. Znalazłem rurę, która była zablokowana śniegiem z obu stron i wlałem do niej tak szybko jak potrafiłem. Doznałem ulgi nie do opisania. Nie mając do czynienia z zacinającym śniegiem, odetchnąłem. Wewnątrz rury nie było przeciągu, żadnego ruchu wiatru. Pomyślałem, że niebawem burza ucichnie, a śnieg przestanie padać. Wówczas będę w stanie zobaczyć światła baraku. Zawiązałem nauszники pod szyją, opatuliłem głowę wysokim kołnierzem szuby, podciągnąłem nogi pod jej poły i położyłem się.

Nigdy nie zapomnę tej nocy — długiej nocy; nocy, która wydawała się nie mieć końca. Burza nie słabła. Powoli wpełzało w moje łędzwie zimno. W wąskiej przestrzeni rury często się ruszałem, zmieniając pozycję, ruszałem palcami nóg, nogami, ramionami. Próbując utrzymać krążenie krwi, poruszałem ramionami i nogami. W kieszeni znalazłem tabliczkę czekolady, którą wolno żułem. Wciąż spoglądałem na zegarek. Czas dłużył się jak nigdy przedtem. W końcu było mi tak zimno, byłem tak sponiewierany, że nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Nad ranem zasnąłem z wycieńczenia.

Obudziły mnie głosy. Byłem tak zdrętwiały i sztywny, że z ledwością mogłem się poruszyć. Z bólem uniosłem głowę i spojrzałem wzdłuż rury. Przez szparę w śniegu zauważyłem,



że wstaje świt. **Świt** — a ja żyję i mogę go oglądać! Poczłgałem się w stronę wejścia. **Śnieg** przestał padać i ucichł wiatr. Cisza. Powietrze zdawało się być łagodniejsze. Wyrzałem na zewnątrz. Barak stał nie dalej jak na rzut kamieniem! Korczenko i kierowca stali na zewnątrz, rozglądając się dokoła. Wyglądali na zupełnie spokojnych. Bliski już byłem wykrzyczenia im, dlaczego nie ruszyli na poszukiwania mnie, kiedy usłyszałem **słowa**, które zmroziły mnie bardziej niż cała poprzednia noc.

— Nie żyje, na pewno. — To był głos kierowcy. Brzmiał czysto w bezwietrznym powietrzu. — Nikt nie byłby w stanie przeżyć takiej nocy.

— Nie jestem przekonany — odparł Korczenko. — Tak czy inaczej musimy go znaleźć. Dostałem rozkaz przywiezienia z powrotem do Moskwy jego ciała.

— Znajdziemy go po śniadaniu. Nie może być daleko... Wszystko w porządku, Andrieju Andriejewiczu... Wypadek...

## ROZDZIAŁ 4

Weszli z powrotem do środka, a ja siedziałem sztywny z przerażenia i niedowierzania. Wydawało mi się niemożliwe to, co usłyszałem. Z pewnością nie myśleli o mnie!? Takie rzeczy przecież się nie zdarzają — nie korespondentom prasowym! Nie cudzoziemcom w czasie podróży służbowej! To byłaby zbrodnia! Musiałem się przesłyszeć... Wiedziałem jednak, że się nie przesłyszałem. Tu nie chodziło tylko o słowa. Wszystko się zgadzało. Światło zgasło w decydującym momencie. Nie włączono go. Nie zrobiono nic, żeby mnie szukać. Jeden słaby okrzyk, to było wszystko... Nie mogłem zrozumieć, co sprawiło, że Rosjanie zdecydowali się na taki krok, ale jasne było — jak wokoło leżący śnieg — że od początku podróży zamierzali mnie zabić. *Dostałem rozkaz przywiezienia z powrotem jego ciała...* Korczenko otrzymał polecenie w Moskwie i po prostu tylko czekał na najlepszą okazję! W czasie zadymki ją znalazł — i jeśli nie ukryłbym się w rurze, to już bym nie żył.

Co powinienem teraz zrobić?

Jedno było pewne — oburzanie się w niczym mi nie pomoże. Stłumiłem gniew i próbowałem rozważyć możliwe warianty mojego zachowania w sposób zimny i racjonalny. Jedną z możliwości było pójście do baraku i udawanie, że niczego nie słyszałem. Mógłbym opowiedzieć o nocnych przeżyciach. To miało swoje dobre strony. W końcu miałbym wówczas możliwość odtajania, zjedzenia, zebrania sił. Bez wątplenia Korczenko będzie chciał później zaaranżować następny wypadek, lecz teraz, kiedy będę się już miał na baczności, nie przyjdzie mu to łatwo. Poza tym — może uda mi się uciec, wrócić do Moskwy pociągiem, po-

szukać ochrony ambasady... Wracanie do baraku było teraz niczym wkładanie głowy w paszczę lwa po raz drugi — a to mi się nie uśmiechało. Czy to jednak jedyne ryzyko?

Jeszcze raz wszystko przemyślałem i doszedłem do wniosku, że to się nie uda. Będą chcieli wiedzieć, gdzie spędziłem noc i będę musiał powiedzieć im, że schroniłem się w rurze, bo kiedy opuszczę to miejsce, będą tu prowadziły ślady moich stóp. Ponieważ jest to tak blisko baraku, domyśla się, że podsłuchiłem ich rozmowę. Żeby więc mieć już spokój, od razu zaaranżują następny „wypadek”. Na przekór wszystkiemu powinienem więc pomyśleć o ucieczce, chociaż byłem świadom, że będzie to niezmiernie trudne.

Co do trudności, nie miałem złudzeń. Byłem ciepło ubrany, ale nie miałem nic do jedzenia. Miałem latarkę, paszport i pieniądze, ale nie miałem mapy. Musiałem znajdować się około trzydziestu mil od znanej mi stacji kolejowej, a pusta, bezdrożna kraina nie dawała żadnej osłony, z wyjątkiem może śnieżnych zasp. Pogoń, raz rozpoczęta, będzie trwała do skutku. Jeśli dotrę do Moskwy, narobię hałasu i z pewnością nie ustana, aż nie zamkną mi ust.

Ile zostało mi czasu do chwili, kiedy rozpoczną poszukiwania? Nie więcej niż godzinę czy dwie. Możliwe, że stracą go trochę szukając mojego ciała, ale wkrótce natrafiają na ślady, jakie pozostawię. Będą wiedzieli, że przeżyłem i w jakim kierunku się udałem. Sprzyjają mi tylko dwie rzeczy — to, że nie mają telefonu oraz to, że ich samochód utknął w zaspie. Jeśli jednak miałem zamiar iść, to im wcześniej ruszę, tym lepiej.

Nagle odkryłem jeszcze jeden problem. W chwili, kiedy wyjdę z rury, zostanę zauważony z okien baraku. Rozejrzałem się uważnie. Mogłem dostrzec głowę Korczenki, jego twarz. Mówił coś do kierowcy. Nie patrzył w moim kierunku. Jednak jakkolwiek ruch mógł zwrócić jego uwagę. Ryzyko było zbyt duże. Muszę poczekać, aż wyjdą mnie szukać. Miałem nadzieję, że rozpoczną poszukiwania z drugiej strony baraku. Tam właśnie wyszedłszy, zniknąłem. Niechętnie cofnąłem się do wnętrza rury... Nagle zaświtała mi myśl. Może jest i inna droga ucieczki! Przeczółgałem się do zasypanego śniegiem drugiego końca

rury. Śnieg był miękki — widocznie zaczynała się odwilż. Opatuloną w rękawicę dłonią zacząłem drażyć śnieg, odgarniałem go za siebie, do wewnątrz rury. W kilka minut uformowałem tunel wiodący do następnej rury. Przeczłołem się przez nią, powtórzyłem poprzednie czynności i wciąż niedostrzeżony, przeszedłem do następnej. Szedłem! Kilka razy musiałem przeciskać się przez śnieżne bariery, ale ponieważ poszczególne rury leżały w niewielkich od siebie odległościach, nie było to dla mnie specjalnym problemem. Po piętnastu minutach znalazłem się przy końcu rurociągu i już w sporej odległości od baraku. Zostawiłem ślady, bowiem tam gdzie przekopywałem się między rurami, śnieg się pozapadał. Korczenko z pewnością będzie wiedział, co się stało, kiedy tylko zacznie się rozglądać. Ale to będzie dopiero za jakiś czas. Z uczuciem sukcesu wygramoliłem się z ostatniej rury w pobliżu drzew, otrząsnąłem mokry śnieg z ubrania i poszedłem w stronę samochodu.

Nocna zaspą zaczęła znikać spod jego osi. Nie miałem szans na odkopanie samochodu o własnych siłach, ale nie sądziłem, aby wiele czasu zajęło Korczence i kierowcy przygotowanie go do drogi. Podniosłem maskę i wyrwałem przewody biegnące od akumulatora. To unieruchomi samochód na dobre. Zajrzałem do bagażnika, sądząc, że będzie tam coś, co może mi się przydać w dalszej drodze, ale nie znalazłem nic oprócz koła zapasowego i kanistra z benzyną. Zajrzałem do schowka pod tablicą rozdzielczą. Tam znalazłem skarb — kawałek salami i pajdę czarnego chleba. Wepchnąłem je do kieszeni i ruszyłem w drogę. Ślady kół, jakie samochód odcisnął poprzedniej nocy, były prawie niewidoczne, jednak śnieg nie wydawał się nie do przebycia. Przez chwilę zastanawiałem się, w którym kierunku iść. Wracać do stacji w Czerwonej Cerkwi, którą znałem, czy iść w nieznaną? Rozsądniejsze wydawało się podążanie ku znanym okolicom. Zacząłem iść, mając plecy zwrócone ku porannemu słońcu.

\* \* \*

Pokrywa śniegu nie miała wszędzie jednakowej grubości. Na prostych odcinkach drogi leżała tylko niewielka warstwa

śniegu, co ułatwiało mi marsz. Na zakrętach lub niewielkich zjazdach były zasy, które pokonywałem z kłopotami. Miały one zazwyczaj jard lub dwa wysokości, lecz czasami mogłem zgubić drogę, gdyby nie wysokie słupki przydrożne, które niknęły gdzieś na horyzoncie. W innych miejscach odwilż spowodowała stopienie śniegu i widać było bale drzew, z których ułożono drogę. Nie zdawałem sobie sprawy, jak jestem daleko na południu i jak silne potrafi być tutaj zimowe słońce. Najchętniej rozstałbym się z moją wielką szubą. Walonki też nie były najlepszym obuwem do marszu. Co prawda nie przemokły, ale nasiąknięte wodą stały się tak ciężkie, że zwalniały moje kroki.

Droga była jedną z najbardziej ponurych, jakie widziałem. Żadnego urozmaicenia, z wyjątkiem może pofalowanej pokrywy śniegu. Wokoło nie było nic, na czym można było zatrzymać wzrok. Żadnych drzew, żadnych zabudowań, ludzi, żadnych zwierząt, żadnych ptaków — żadnego śladu życia. Raz wydawało mi się, że znalazłem drogę odchodzącą w lewo, lecz jeśli prowadziła do jakiegoś osiedla, to miejscowość ta skryta była za wyrzuceniem terenu. Nigdy nie czułem się tak straszliwie samotny, jak na tej cichej, pustej równinie. Starałem się bardzo nie myśleć o swoim położeniu, ponieważ nie przynosiło mi to żadnego ukojenia. Moje ciało i umysł były za bardzo zmęczone, abym próbował szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego spadło na mnie to nieszczęście. Złoszczenie się na Korczenkę i jego mocodawców wydawało się stratą energii. Całą moją uwagę zaprzętała odległość, jaką pokonałem i droga, która została mi do przejścia.

Daleki byłem od utraty nadziei na to, że przeżyję, lecz moje szanse nie poprawiły się z biegiem godzin. O zmierzchu zorientowałem się, że pokonałem trochę więcej niż piętnaście mil. Nawet jeśli szedłbym przez całą noc — co chciałem zrobić, choć byłem przygotowany i na to, że położę się gdzieś na śniegu — do rana nie dojdę do Czerwonej Cerkwi. A rano polowanie z pewnością się zacznie... Tak czy inaczej, nie mogłem zrobić nic innego jak tylko iść dalej.

Miałem szczęście, że znalazłem kawałek salami. Ugryzłem kęs i przeżułem ze smakiem, nie zatrzymując się. Kiełbasę zagryzłem chlebem i popiłem wodą ze stopionego śniegu. Dodało mi to sił do dalszego marszu. Ucieszyło mnie również to, że dotarłem do miejsca, gdzie kończyły się zasy. Burza musiała mieć niewielki zasięg. O drugiej w nocy drogę blokowały jedynie nieliczne zasy. Mogłem iść szybciej.

Dochodziła trzecia, kiedy usłyszałem z oddali warkot silnika. W pierwszej chwili pomyślałem, że musi to być samolot, ponieważ nie zauważyłem z jakiegokolwiek strony żadnego pojazdu. Wpatrując się jednak za siebie spostrzegłem poruszający się punkt. Mógł to być samochód. Był w odległości około mili. Jechał wolno, lecz w ciągu kilku minut mógł zbliżyć się do mnie. Byłem przekonany, że to Korczenko z szoferem — chociaż nie bardzo mogłem wyobrazić sobie, w jaki sposób potrafili poradzić sobie z naprawieniem uszkodzonego samochodu. Jeśli to byli oni, to jest już po mnie. Na stepie nie miała gdzie się ukryć nawet polna mysz — a poza tym już i tak na pewno mnie zauważyli. Zatrzymałem się i czekałem, serce mi waliło. Kiedy samochód podjechał bliżej, odprężyłem się. To nie był tamten samochód. Wewnątrz siedział tylko jeden człowiek. Wciąż miałem szansę. Prawdopodobnie większą niż dotychczas. Kiedy obserwowałem samochód, ten utknął w śniegu. Kierowca wysiadł z szuflą i przez jakiś czas odkopywał go zawzięcie. Następnie wóz znowu ruszył, podskakując i ślizgając się. Na kołach założone były łańcuchy. Słyszałem ich brzęczenie. Zrównawszy się ze mną, auto zahamowało z jękiem. Kierowcą okazał się młody człowiek w moim wieku, o szerokiej, chłopskiej twarzy i dużym, wklęsłym nosie. Miał na sobie szarozieloną, watowaną kurtkę i watowane spodnie, na głowie zaś nieprawdopodobnie starą czapkę futrzaną.

Wystawił głowę przez okno i uważnie mi się przyjrzał. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie — i nie ma się czemu dziwić. Ludzie zazwyczaj nie podróżują zimą po stepach autostopem. Ponadto po tym, co przeżyłem, musiałem przedstawiać naprawdę interesujący widok.

— Co, u diabła, robicie tutaj, towarzyszu? — zapytał.

— Mój samochód utknął w zaspie — odpowiedziałem. —  
W nocy...

Wskazałem na drogę za siebie.

— Aha... Więc to był wasz samochód? Dwadzieścia kilometrów stąd. Lepiej byście zrobili zostając w nim. Tutaj nic nie znajdziecie.

Mówił z silnym, wiejskim akcentem, wtrącając słowa ukraińskie. Musiałem słuchać go bardzo uważnie, aby zrozumieć o co mu chodzi.

— Nie znam tych okolic — wyjaśniłem. — Jechałem z Czerwonej Cerkwi, kiedy dopadła mnie burza. W samochodzie spędziłem straszliwą noc. Jeśli pogoda nie poprawiłaby się, na pewno bym zamarznął. Rano droga była zasypana i pomyślałem, że lepiej będzie wracać piechotą i próbować sprowadzić pomoc. Jest jednak dalej niż myślałem... Dokąd jedziecie?

— Do Niegoriełoje. To wioska położona przy tej szosie, jakieś piętnaście kilometrów stąd. Najlepiej zrobicie zabierając się ze mną.

— Będę bardzo wdzięczny. Czy jest tam telefon?

— Nie, ale jutro mam jechać do Czerwonej Cerkwi i mogę was wziąć ze sobą. To będzie tak samo dobre, jak telefonowanie po pomoc dzisiaj. Do jutra nikt nie przyjedzie, aby wam pomóc.

Otworzył drzwi, a ja skwapliwie wdrapałem się do szoferki. Ponieważ tam gdzie jechałem nie było telefonu, równie dobrze mogłem jechać gdziekolwiek.

— Najprawdopodobniej ocaliliście mi życie, towarzyszu — powiedziałem.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Nic dziwnego. To zła droga. Jazda po niej to ryzyko. Wciąż musiałem się odkopywać.

Wyciągnąłem całe ciało na siedzeniu. Samochód był wiekowym moskwiczem o bardzo złych resorach, ale do tego, żeby w nim siedzieć, nadawał się znakomicie.

— Jak się nazywacie? — zapytałem.

— Skorbin — odparł i dodał: — Iwan Iwanowicz Skorbin.  
A wy?

Podałem mu pierwsze nazwisko, jakie przyszło mi na myśl.

— Pawłow — powiedziałem. — Aleksiej Aleksiejewicz.

Pokiwał głową, obserwował śnieg na drodze.

— Mieszkacie w mieście?

— W Moskwie — wyjaśniłem. — Jestem dziennikarzem. Pracuję w *Wieczernoj Moskwie*. Sprawdzałem, co tutaj się dzieje z pszenicą ozimą.

Jako powód podróży reportera moskiewskiej popołudniówki brzmiało to zapewne trochę dziwnie, ale nie sądziłem, aby wiedział wiele o specyfice pracy dziennikarskiej.

— Sytuacja pszenicy ozimej jest zła, Aleksieju Aleksiejewiczu. Mogę wam to powiedzieć. Śnieg znowu spadł zbyt późno i wiele ziarna pomarzło. A po ostatnich żniwach — ojoj... Mówią, że pszenica dostarczana jest do Odessy z Kanady. Mam nadzieję, że to prawda. Jeśli by tak nie było, na wiosnę będzie głód.

— Pracujecie w kołchozie?

— Tak, w kołchozie im. Mikojana, kilka kilometrów za Niegoriełoje. Latem pracuję jako traktorzysta. Zimą jestem mechanikiem...

Był człowiekiem lubiącym mówić i przez całą drogę zabrał mnie rozmową. Okazało się, że sam nie mieszka w Niegoriełoje, lecz w wiosce w pobliżu kołchozu. Zamierzał zatrzymać się na noc w Niegoriełoje u przyjaciela, rankiem zaś obaj mieli pojechać do Czerwonej Cerkwi na coś, co nazwał *regionalną konferencją na temat oszczędzania*.

— Musicie tę noc spędzić z nami — powiedział.

— Jesteście bardzo uprzejmi, towarzyszu.

Wzruszył ramionami.

— A co innego możecie zrobić? Opowiedzcie nam o Moskwie, o tym jak wygląda praca dziennikarza. Nigdy dotychczas nie spotkałem dziennikarza.

— To będzie dla mnie przyjemność.

— Muszą wam dobrze płacić. Macie wspaniałą, ciepłą szubę.

— Tak — powiedziałem.

W tym momencie wpadliśmy w niewielką zaspę, wyskoczyłem więc i szuflą oczyściłem drogę. Przejechaliśmy milę czy dwie, skręciliśmy w prawo w wąską dróżkę. Wkrótce krajobraz



zaczął się zmieniać. Równinę urozmaicała zieleń, która za jakiś czas przeszła w gęsty las sosnowy. Kiedy znowu wyjechaliśmy na równinę, przed nami ukazała się osada. Wioska nie była większa od tej, w której zatrzymał się Korczenko podczas podróży saniami. Ponieważ tutejsze zabudowania wzniesione były z drewna, sioło bardziej przypominało wieś, jakie widziałem na północy. W oknach zapalały się już światła. Iwan zatrzymał samochód przy chacie na skraju. Wysiedliśmy.

— Jesteście pewni, że wasz przyjaciel nie będzie miał nie przeciwko mojej wizycie? — zapytałem.

— Jeśli będzie miał — odparł Iwan śmiejąc się szeroko — to przestanie być moim przyjacielem.

Poprowadził mnie w kierunku domku. Przynajmniej na jakiś czas znalazłem azyl.

\* \* \*

Gospodarz nazywał się Aleksander Aleksandrowicz Gretko. Iwan mówił do niego Sasza. Miał około czterdziestki, był postawnym mężczyzną o szerokim karku i bardzo jasnych włosach. Iwan przedstawił mnie i powiedział o kłopotach, w jakich się znalazłem. Sasza przywitał mnie mocnym uściskiem dłoni. Przeprosił za nieobecność małżonki, ale poszła w odwiedziny do siostry, u której zamierza spędzić noc. Sądziłem, że ci dwaj faceci chcą, korzystając z okazji, urządzać sobie męski wieczorek, w czym utwierdziła mnie szybkość, z jaką na stole pojawiła się butelka wódki.

Nigdy dotychczas nie miałem okazji przyjrzeć się wnętrzu stepowego domu. Kiedy Sasza zaczął przygotowywać zakąskę, a Iwan opowiadał o burzy śnieżnej i o tym, jak musiał co chwilę odkopywać z zasp swój samochód, rozejrzałem się wokoło. Jedyny pokój miał około dwudziestu stóp kwadratowych. Podwójne drzwi wejściowe były zasłonięte kotarami. Ściany, wykonane z surowych bali drewna, uszczelniono mchem i jakimiś szmatami. Za dnia musiało być tutaj ciemno, lecz teraz wnętrze oświetlała lampa elektryczna bez abażuru. Wnętrze było mniej obszerne niż sądziłem, ale bardzo ciepłe dzięki piecowi, w którym bu-

zował ogień. Powietrze — a może to, co z niego pozostało — pachniało dymem, zapachami kuchni i znoszonymi ubraniami. Mimo wszystko byłem szczęśliwy, mogąc wdychać te wonie. Mebli było niewiele, żelazne łóżko, kanapka, drewniany stół zrobiony gospodarskim sposobem, jedno czy dwa krzesła. Na ścianach wisiało kilka oprawionych w ramki zdjęć rodzinnych, które okalały wielki portret Chruszczowa. Dostrzegłem również małą ikonę. Rodzina Gretków widać wierzyła, że i Panu Bogu trzeba dać świeczkę, i diabłu ogarek...

Ciepło wnętrza domu i gościnność Saszy sprawiły, że po przygodach nocy i wysiłku dnia ogarnęła mnie senność. Próbowałem zwalczyć chęć spania i — jak chciał Iwan — opowiadać o dziennikarskim żywocie. Wizje, jakie snułem, z pewnością nie miały nic wspólnego z moją własną pracą, a także zdziwiłyby chyba reporterów z *Wieczernoj Moskwy*. Podobały się jednak, bowiem atmosfera stawała się coraz bardziej serdeczna. Sasza przygotował kolację. To, co zobaczyłem na stole, wystarczyłoby chyba, aby wyżywić liczną rodzinę przez tydzień: stół uginał się od kiszonych ogórków i pomidorów, gotowanych ziemniaków i kaszy gryczanej, kiełbasy, sera i naturalnie — wódki. Było jej nie za dużo, ot w sam raz, i herbata na popitkę. Swoją opowieścią zasłużyłem chyba na tak królewski posiłek. Po jego zakończeniu poczułem się jeszcze bardziej śpiący niż przedtem. Z pewną ulgą zauważyłem, że Iwan również jest zmęczony i chce jak najszybciej się położyć. Sasza nalegał, abym zajął łóżko, lecz powiedziałem, że zawsze marzyłem o tym, aby przespać się na piecu. Mieszkając w mieście nie miałem po temu okazji, błagałem więc, żeby mi pozwolili. W końcu zgodził się. Iwan zajął łóżko, Sasza położył się na kanapce. Rozłożyłem szubę na piecu, kołnierz uformowałem niczym poduszkę i w jednej chwili zasnąłem jak zabity.

\* \* \*

Obudziły mnie pierwsze promienie słońca, które przedarły się przez okienne szyby. Za mną była długa noc bez snów. Czuję się fizycznie wypoczęty. Co innego z moją psychiką. Leżałem w szarym świetle poranka, myśląc o tym, co robić dalej.

Oczywiście Korczenko i jego kierowca musieli już zorientować się, że żyję i próbuję uciec przed nimi. Moje ślady na śniegu i uszkodzony samochód nie pozostawiły co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli nawet dotychczas nie udało im się znaleźć jakiegoś telefonu, aby powiadomić zwierzchników o tym, co się stało, to na pewno uczynią to wkrótce. Droga znowu była przejezdna. Z pewnością przejechało nią dzisiaj kilka samochodów. Najpóźniej w południe znany już będzie mój rysopis. Wielka szuba, miejskie ubranie — wszystko to będzie zwracało uwagę i zostaną schwytany. W południe prawdopodobnie będę dojeżdżał do Czerwonej Cerkwi, która jest niczym więcej jak dużą wioską. Tam łatwo będzie mnie namierzyć.

Jednym słowem, moja sytuacja nie była najwesejsza. Jeśli chcę mieć szansę, aby dotrzeć bezpiecznie do Moskwy, muszę jak najszybciej dojechać do dworca w Czerwonej Cerkwi — i to zupełnie inaczej ubrany.

Usiadłem ostrożnie i spojrzałem na Iwana i Saszę. Spali w bezruchu, mając twarze odwrócone od pieca, który był moim pościeleniem. Wacik i spodnie Iwana wisały na oparciu krzesła. Był ode mnie niższy o kilkanaście centymetrów, ale w pasie mieliśmy chyba tyle samo. Spojrzałem w okno. Niebo było zachmurzone, ale śnieg nie padał. Samochód stał tam, gdzie Iwan go zaparkował. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy wyjął kluczyk ze stacyjki, czy też nie. Na palcach podszedłem do jego ubrania i przeszukałem kieszenie. Po chwili znalazłem kluczyk.

Wciąż się wahałem. Może się zdarzyć, że któryś ze śpiących obudzi się i przyłapie mnie, jak szperam w ich ubraniach. Jednak jeśli udałoby mi się odjechać, zyskam na czasie, ponieważ nie mają tutaj telefonu, aby zawiadomić o tym władze. Warto spróbować. Ostrożnie, jak złodziej, wciąż obserwując Iwana, założyłem jego kurtkę i spodnie. Nogawki była za krótkie, ale kiedy wciągnę walonki, nikt tego nie zauważy. Cofnąłem się w stronę pieca i wyjąłem z szuby moje rzeczy — pieniądze, paszport i latarkę. Zamarłem w bezruchu, kiedy Sasza zachrapał i poruszył się. Znowu jednak zapadł w sen. Naciągnąłem walonki, które zdążyły wyschnąć przez noc, wcisnąłem na głowę wiekową czapkę Iwana i ruszyłem ku drzwiom. Nie miałem

żadnych wyrzutów sumienia, zabierając jego rzeczy — przecież zostawiałem mu szubę Slattery'ego i mój garnitur. Transakcja była więcej niż uczciwa.

Teraz musiałem wyjść z izby. Przeżyłem chwilę grozy. Sasza znowu się poruszył. Lada moment otworzy oczy. Uniosłem zasłone u drzwi i tak ostrożnie jak potrafiłem, spróbowałem nacisnąć metalową klamkę. Nie poruszyła się. Kiedy nacisnąłem mocniej, wydała głośny, metaliczny odgłos. Sasza odwrócił się i przebudzony spojrzał na mnie.

Teraz było już obojętne, czy będę hałasował, czy też nie, Pchnąłem drzwi i pobiegłem do samochodu. Na ulicy wciąż było pusto, osada spała. Wskoczyłem na siedzenie kierowcy, włożyłem kluczyk w stacyjkę i nacisnąłem starter. Przez kilka sekund, które wydawały się wiecznością, sapał bez efektu. Potem silnik zagrał. Ruszyłem do przodu, cofnąłem się o kilka metrów, znowu ruszyłem do przodu, zakręciłem i odjechałem. Ostatnią rzeczą jaką zobaczyłem w lusterku, był stojący w bieliźnie w drzwiach izby Sasza, który wymachiwał rękami. Nie sądzę, aby kiedykolwiek przebaczył mi, że tak odpłaciłem za jego wspa-  
niałą gościnność — i nie ma się jemu co dziwić...

\*

\* \*

Humor mi się poprawił, i to bardzo, kiedy zostawiłem za sobą zabudowania osady. Samochód prowadziło się znakomicie. W baku, jeśli kontrolka wskazywała prawidłowo, było prawie piętnaście litrów — więcej niż trzeba, aby dojechać do Czerwonej Cerkwi. W lusterku z ledwością rozpoznałem pod dwudniowym zarostem swoją twarz. W waciaku, pikowanych spodniach, filcowych butach i kozackiej czapce z łatwością mogłem uchodzić za ukraińskiego kołchoźnika, ale tylko dopóty, dopóki będę trzymał język za zębami. Jeśli zacząłbym mówić, z pewnością wzięto by mnie za wieśniaka z północy i zaczęto coś podejrzewać.

Droga dojazdowa z wioski do głównej szosy nie miała żadnych rozwidleń, zaś założone na koła łańcuchy sprawiały, że bez trudu sunąłem po zalegającym drogę, wilgotnym śniegu. Do głów-

nej trasy dotarłem bez żadnych niespodzianek i skręciłem w prawo, w kierunku Czerwonej Cerkwi. Jechałem teraz tak szybko jak pozwalała na to pełna wybojów nawierzchnia. Minąłem dwie ciężarówki i jeden samochód osobowy, lecz prowadzący je ludzie nie okazali żadnego zainteresowania moją osobą. Nikt mnie też nie ścigał. Po około dziesięciu milach dostrzegłem pozłacaną kopułę cerkwi. To musiała być ta sama świątynia, którą widziałem z dworca w Czerwonej Cerkwi. Teraz droga się rozwidła. Nie było żadnego drogowskazu, ale skręciwszy w lewo z pewnością dojechałbym do miasteczka. Pojechałem w przeciwną stronę. Nie było nasypu, który wskazywałby na to, że biegnie tamtędy linia kolejowa, ale z oddali dojrzałem semafor, a następnie budynek dworca.

Nie chciałem ryzykować, podjeżdżając pod niego, ponieważ z pewnością zwróciłbym na siebie uwagę. Postanowiłem zostawić samochód i na dworzec pójść piechotą. Nie sposób było go ukryć na bezleśnej przestrzeni, więc po prostu zjechałem z drogi i utknąłem w śnieżnej muldzie. Odległość, jaka pozostała mi do celu, przebyłem tak szybko jak było to możliwe. Zwolniłem marszobieg tuż przed stacją. Było tam pełno ludzi, a prawdziwy kołchoźnik przecież nigdy się nie spieszy.

Przed poczekalnią rozłożyły swe towary przekupki. Uprzymotniłem sobie, że nie mam niczego, co można by nazwać bagażem, nawet małego węzełka. Była więc okazja, aby uzupełnić ten brak. Mówiąc jak najmniej, kupiłem chleb, kiełbasę, ser i butelkę kwasu chlebowego. Wszystko wsadziłem do kieszeni. Nabyłem również wielki głąb kapusty, która — miałem nadzieję — uwiarygodni mnie jako wieśniaka. Ściskając ją pod pachą, wszedłem do poczekalni. Znajdowało się tam dziesięcioro, może dwanaścioro ludzi. Ubrani byli prawie tak samo jak ja — w wataowane kurtki, brązowe szaliki i filcowe czapy. Siedzieli spokojnie na podłodze wokół pieca. Zastanawiałem się, na jaki pociąg czy pociagi czekają. Okienko kasowe, gdzie mógłbym zacyzerpnąć informacji, było zamknięte, a nigdzie nie było śladu żadnego urzędnika.

Patrzyłem w twarze otaczających mnie ludzi, szukając kogoś, kogo mógłbym zapytać. W końcu wybrałem starego wieśnia-

ka o jasnych, raczej chytrych oczach, który siedział obok całej grupy. Okazało się, że był miejscowy, pochodził z Czerwonej Cerkwi. Powiedział mi, że następny pociąg odchodzi o godzinie dziesiątej, a właśnie minęła dziewiąta, i będzie jechał na południe. On wybierał się do Odessy. Sądził, że pociąg do Moskwy odchodzi późnym popołudniem. Czasami widział, jak przejeżdżał, ale nie wie, o której godzinie. Zapytał mnie, skąd jestem. Powiedziałem, że z Tuły. Spojrzał na mnie trochę zdziwiony, ale nie zadawał więcej pytań.

Z dworca wyszedłem wściekły i zdenerwowany. Było bardziej niż prawdopodobne, że jeszcze przed południem władza zjawi się na dworcu. Dla kogoś, kto zamierza uciec z tego terenu, wsiąść do pociągu znaczyło pozbyć się problemów... Całe szczęście, że szybkość w działaniu to nie jest narodowa cecha rosyjska — no, może z wyjątkiem sputników. Możliwe więc, że będę miał szczęście. Przecież Moskwa to jedyne miejsce, gdzie mógłbym być bezpieczny... Może mi się uda... Tak czy inaczej, powinienem zrobić coś, żeby zdobyć bilet. Ta właśnie sprawa zaprzętała moje myśli od jakiegoś czasu. Sprzedaży biletów nie prowadzono na stacjach, a nawet jeżeli, to bardzo trudno było je nabyć. Doskonale wiedziałem, co działo się z pasażerami, którzy wsiadali do pociągów nie posiadając biletów — wyrzucano ich na następnej stacji. Dla mnie to byłaby klęska. Może później, kiedy zaczną gromadzić się pasażerowie pragnący udać się do Moskwy, pojawi się jakiś urząd i uda mi się coś załatwić na „lewo”. W ostateczności — już w pociągu spróbuję dać łapówkę wagonowemu. Ale tylko w ostateczności. Ludzie wyglądający tak jak ja nie zwykli nikogo przekupywać...

Wyszedłem na peron. Chciałem być jak najdalej od oczu ciekawskich. Wybiła dziesiąta, czas mijał, a pociągu do Odessy ani śladu. Zapowiedziano, że przyjedzie o dziesiątej czterdzieści pięć, ale dopiero pół godziny później zauważyłem w oddali snop dymu lokomotywy. Ludzie z poczekalni zaczęli wychodzić na peron. Mój niepokój pogłębił się, kiedy okazało się, że wszyscy, co do jednego, wybierają się na południe. Wkrótce zostanę sam, wystawiony na podejrzliwe spojrzenia handlujących przed stacją kobiet. Może lepiej bym zrobił — pomyślałem — opuszczając

na jakiś czas teren dworca, aby wrócić tutaj na krótko przed odjazdem pociągu do Moskwy. Problem w tym, że nie miałem dokąd się udać, a włączenie się bez celu po okolicy mogłoby na mnie tak samo zwrócić uwagę, jak wysiadanie w poczekalni. Oczywiście, był jeszcze samochód Iwana... Powiodłem wzrokiem wzdłuż drogi, przy której zostawiłem moskwicza. Z przerażeniem zobaczyłem, że obok zaparkował inny samochód. Trzech ludzi zaglądało do jego wnętrza. Kierowca drugiego auta próbował w tym czasie wykaraskać się z muldy, w jaką wjechał.

Musiałem działać szybko. Pociąg do Odessy właśnie wjeżdżał. Podszedłem do starego wieśniaka, z którym rozmawiałem.

— Sprzedajcie mi wasz bilet do Odessy — powiedziałem. — Dam pięćdziesiąt rubli.

Pokazałem pieniądze.

Wlepił w nie wzrok. Bilet prawdopodobnie kosztował go dziesięć rubli.

— Muszę jechać tym pociągiem — powiedziałem, myśląc, że mój pośpiech może go przekonać. — Sto rubli... Przecież możecie jechać jutro.

Nic nie mówił, tylko patrzył. Następnie rozejrzawszy się na prawo i w lewo zacisnął dłoń na zwitku banknotów i dał mi swój bilet. Odczytałem numer wagonu — siódmy; znajdował się między wagonem czwartym a trzynastym. Pokazałem bilet wagonowemu i wszedłem do wewnątrz.

Gdy pociąg odjeżdżał, starzec wciąż stał na peronie przyglądając się bogactwu, jakie wpadło w jego ręce. Władza, spóźniona z powodu spotkania ze śnieżną muldą, z pewnością dotrze na stację. Będą wypytywać chłopca kim był ten, który wszedł do pociągu. W końcu na pewno powie im, co się stało. Ale wcale nie byłem pewien, czy tak właśnie postąpi, ponieważ sprzedając swój bilet po zawyżonej cenie popełnił przestępstwo. Nie miał też zapewne zamiaru stracić tych stu rubli, które trzymał już w garści.

\* \* \*

Wagon należał do typu wagonów „twardych”. Był otwarty z końca do końca, całkowicie wyzbyty prywatności i komfortu.

Jego wyposażenie składało się z chyba dwudziestu pokrytych pokrowcem drewnianych półek, zawieszonych w dwóch rzędach. W nocy każdą z półek mógł zajmować jeden pasażer, ale teraz, w ciągu dnia pozwolono ludziom tłoczy się na nich, tak więc na niższych półkach siedzieli pasażerowie otoczeni dziećmi, zwierzętami i tobołkami. Kilku wciąż leżało na górnych półkach, a ich opatulone w szmaty stopy sięgały na wysokość nosa tym, którzy przechodzili obok. Wypełniający wagon zaduch był nie do zniesienia. Ogrzewanie nie działało, wentylacja również nie. Płacz niemowląt, gdakanie kur i głośne rozmowy kobiet ukraińskich czyniły z tego miejsca istny dom wariatów.

Pociąg często zatrzymywał się, a każdy jego postój na stacji sprawiał, że zaczynałem się bać. Jeśli ludzie Korczenki dowiedzieli się o mnie, na pewno telefonicznie przesłali informacje. W każdej chwili mogłem spodziewać się, iż na stacjach mogą zacząć się przeszukiwania pociągu. Jednak mijaliśmy jedną po drugiej i nic takiego nie wydarzyło się. Ludzie drzemali lub włączyli się po korytarzach. Z czajnikami i dzbankami szli po wrzątek, aby zaparzyć sobie herbatę, kupowali od otyłych handlarek ogórki i jajka. Od czasu do czasu i ja ruszałem się z miejsca, chodząc po całym pociągu. Patrzyłem, czy nie pojawiła się gdzieś milicja. Ale nic się nie działo.

*Dzień* powoli dogasał. Z Czerwonej Cerkwi do Odessy było około pięciuset kilometrów, więc — jak się dowiedziałem — dojedziemy na miejsce dopiero rano. Jednak około trzeciej po południu pociąg zaczął jechać z większą prędkością, Rządziej też zatrzymywał się. Wielu podróżnych wysiadło na stacji Nowa Ukraina i powietrze w wagonie trochę się oczyściło. Usłyszałem jak ktoś powiedział, że aż do samej Odessy pociąg będzie jechał bez zatrzymywania się. To była najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem tego dnia. Usiadłem przy oknie i próbowałem myśleć, co zrobię, gdy już tam dotrę.

Zapadał zmierzch. W wagonie zapalono słabe, żółtawe światło. W jego blasku z ledwością można było rozpoznać twarze współpasażerów. Wagonowy wystawił samowar i stanąłem w kolejce po szklankę gorzkiej i słabej herbaty. Jakiś człowiek zaczął ze mną rozmowę, pytając skąd jestem i jaka jest pogoda



tam, gdzie mieszkam. Odpowiedziałem krótko i tak szybko jak potrafiłem, pozbyłem się jego towarzystwa. Zwykle podczas długich podróży lubiłem rozmawiać, słuchać o sprawach, o których siedząc w Moskwie nigdy bym się nie dowiedział, ale teraz interesowało mnie co innego. Wróciłem na swoje miejsce przy oknie, zjadłem trochę chleba z kiełbasą i zacząłem myśleć o Maryi. Wydała mi się postacią z innej planety. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę.

\* \* \*

Na krótko przed dziewiątą zauważyłem pierwsze światła przedmieść Odessy. W wagonie nastąpiło ożywienie. Ludzie zaczęli pakować swoje rzeczy i ubierać się. Pociąg jechał teraz wolniej. Wszystko wskazywało na to, że dojeżdżamy. Na głowę naciągnąłem czapę Iwana, wziąłem pod pachę kapustę i ruszyłem w kierunku drzwi... Nagle pociąg zahamował.

Z jakichś nie znanych mi powodów staliśmy prawie pół godziny. Potem przejechaliśmy dwieście metrów i znowu się zatrzymał. Pasażerowie zaczęli przeklinać. Wagonowy otworzył drzwi i wychylił się na zewnątrz. Zrobiłem to samo. Wzdłuż toru słychać było jakieś głosy. Zbliżali się ludzie z latarkami. Kiedy wyłonili się z mroku zobaczyłem, że mają na głowach wojskowego kształtu czapki, o niebieskich denkach. Już wiedziałem, że stary wieśniak z Czerwonej Cerkwi w końcu dał się złamać. Choć nie wysiadłem z pociągu, wszystko wskazywało na to, że moja podróż dobiegła końca.

Szybko cofnąłem się do przedziału bagażowego i spojrzałem przez szyby wyjściowych drzwi na jedną i na drugą stronę. Niebiescy stali po obu stronach wagonu. Pchnąłem drzwi prowadzące do następnego. Na szczęście nie były zamknięte na klucz. Wszedłem i ruszyłem dalej. Przepraszając, przepychałem się przez ludzi tak szybko jak było to możliwe, lecz by nie wyglądało, że bardzo mi się spieszy. Przy wszystkich drzwiach ustawiono posterunki. Próbowałem jeszcze wejść do wagonu pierwszej klasy, ale szybko wycofałem się z niego. Niebieskie czapy stały na korytarzu, blokując przejście. Sprawdzali dokumenty.

W Rosji każdy musi mieć przy sobie dokumenty, przede wszystkim dowód osobisty. Odwróciłem się i ruszyłem z powrotem. Bardziej bezpieczny będę na przedzie pociągu. Jednak kiedy dotarłem do wagonu, w którym jechałem, natknąłem się na inne niebieskie czapy. Przeszukiwanie pociągu najwyraźniej zaczęło z obu jego krańców jednocześnie. Wszyscy mężczyźni zostali ustawieni w szeregu, a facet z ogoloną na łyso głową i o tłustym karku przeglądał ich dokumenty. Ostry głos nakazał mi stanąć w kolejce, co też uczyniłem. Czułem pustkę w głowie. Czekałem jak na ścięcie. Zastanawiałem się, kiedy spadnie gilotyna... Kolejka przesuwała się powoli. Światło było tak złe, że łyso musiał przyświecać sobie latarką, żeby cokolwiek zobaczyć. Sprawdzanie personaliów każdego pasażera zajmowało mu ładnych parę minut. Ludzie starsi i bardzo młodzi byli szybko zwalniani. Dwóch młodzieńców przede mną łyso puścił szybko, rzucający tylko na nich okiem. I oto byłem pierwszy w kolejce.

Ogolony do łysa facet wyciągnął rękę.

— Dokumenty, towarzyszu.

Kochałem to „towarzyszu”. Zaświecił mi w twarz latarką, długo i uważnie patrzył na mnie. Wydawało mi się, że na jego twarzy odmalowało się podejrzenie. Bez wątpienia, znał rysopis. Poklepałem ręką na wysokości, gdzie była wewnętrzna kieszeń waciaka, jakbym szukał dokumentów. Miałem zamiar powiedzieć, że je zgubiłem. To by i tak nic nie dało, lecz zyskałbym trochę na czasie. Nagle poczułem coś twardego. Wyciągnąłem. Dokumenty... Dokumenty Iwana... No, nie mam nic do stracenia. Bez słowa dałem mu je.

Łyso skierował światło latarki na dowód Iwana, potem znowu zaświecił mi w twarz.

— Nie bardzo jesteście podobni — powiedział.

Próbowałem uśmiechnąć się, przeciągając ręką po zaroście.

— Do fotografii chodzi się po kąpieli, towarzyszu.

Zlustrował mnie od stóp do głów.

— Macie chyba więcej niż 163 centymetry.

— Nie, taki właśnie mam wzrost — zapewniłem. — Na bosa, oczywiście. To walonki dodały mi kilka centymetrów.

- Gdzie pracujecie?
- W kołchozie im. Mikojana, koło Niegoriełoje. W zimie jestem mechanikiem, a latem traktorzystą.
- Po co jedzicie do Odessy?
- Jestem w delegacji — odpowiedziałem. — Jadę na konferencję poświęconą oszczędzaniu.
- Gdzie są wasze papiery podrózne?
- Boję się, że je zostawiłem w domu — powiedziałem. — Głupia sprawa, ale spieszylem się na pociąg.

Wyglądał ponuro.

- Gdzie są wasze bagaże?

Uniosłem kciuk i wskazałem w kierunku przedziału bagażowego.

- Przynieście — polecił.

Wzruszyłem ramionami, przeszedłem do wagonu bagażowego i zatrzymałem się przy drzwiach. Niebieskie czapy wciąż pełniły straż. Byłem tak zdesperowany, że chcąc próbować szczęścia, miałem zamiar przedrzeć się przez posterunki. Dosłownie w odległości kilku stóp stał jeden ze strażników. Wyglądał na osiłka, do tego kabura u jego boku, w której zatknięty miał pistolet, była otwarta. Tuż za nim stał następny strażnik. Nie miałem szans. Trzeba było wracać. Kiedy się odwróciłem, usłyszałem odgłos nadjeżdżającego pociągu. Po sąsiednim torze, z gwizdem, toczył się skład towarowy. Lokomotywa ciągnąca wagony i platformy, w większości puste... Otworzyłem drzwi. Niebieskie czapy były odwrócone plecami. Zauważyły jednak, że otworzyłem drzwi. Żołnierz krzyknął, abym je zamknął i wyciągnął broń. Ujrzałem pustą platformę. Nie miałem broni, z wyjątkiem kapusty. Ale to wystarczyło. Ruciłem kapustą w jego stronę. Zielona kula ugodziła go prosto między oczy. Zachwiał się. Pusta platforma zrównała się z moim wagonem. Skoczyłem.

Upadłem z łomotem na dno, przekoziółkowałem i mocno uchwyciłem się burty. Pociąg jechał dalej. Poprzez stukot kół było słyhać głośne krzyki. Powstało zamieszanie. Przejeżdżając obok lokomotywy, czułem jej ciepło, słyshałem jej świst. Pociąg towarowy odjeżdżał. Skulony w ciemnościach modliłem się, żeby jechał coraz szybciej. Niestety, dwieście metrów dalej stanął.

Usłyszałem odgłosy kroków. Cała banda ruszyła za mną. Zeskoczyłem z platformy i zacząłem biec w poprzek torów. Ktoś zagwizdał.

— Tam jest — usłyszałem krzyk.

Potknąłem się o podkład, podniosłem i biegłem dalej. Pościg był blisko, ale moich ruchów nie krępował długi płaszcz wojskowy, w przeciwieństwie do niebieskich czap. Dotarłem do żelaznego parkanu i biegłem wzdłuż niego, szukając jakiejś szpary. Pięćdziesiąt metrów dalej znalazłem dziurę. Przepchnąłem się przez nią, pokonałem jakieś podwórko, przeskoczyłem przez niewysoki murek i znalazłem się na ciemnej, pustej ulicy. Skręciłem w lewo, biegnąc teraz tak szybko jak potrafiłem. Nie widziałem żadnych zabudowań. Wciąż dochodziły odgłosy pościgu. Niebieskie czapy deptały mi po piętach, pokrzykując i gwizdząc. Nagle ulica skończyła się. Przede mną było coś, co wyglądało jak pole nieużytków. Zlany potem wbiegłem na nie, z trudem łapiąc oddech. Wokoło walały się jakieś śmiecie, w które zacząłem się plątać. Byłem u kresu wytrzymałości... Nagle, ni stąd ni zowąd, ziemia zaczęła się rozstępować pod moimi nogami. Czułem, że się ślizgam, spadam. Ciemność wypełniła moją czaszkę — i straciłem kontakt ze światem.

## ROZDZIAŁ 5

Odzyskałem przytomność w zupełnej ciemności. Leżałem na czymś twardym i zimnym. Nie miałem pojęcia, jak się tutaj znalazłem i jak długo byłem nieprzytomny. Bolała mnie głowa, ale umysł miałem jasny. Pamiętałem, że spadłem — i pamiętałem pościg. Pościg! Leżałem nasłuchując. Nie dobiegały do mnie żadne dźwięki. Gdziekolwiek bym się nie znajdował — obława trwała gdzie indziej.

Poruszyłem ramionami i nogami, zacząłem badać swoje ciało. Byłem poobijany i miałem pozdzieraną skórę, ale kości były nie naruszone. Wyciągnąłem latarkę, włączyłem i poświeciłem wokoło. Trudno mi było uwierzyć w to, co zobaczyłem. Leżałem na dnie wąskiego szybu. W lewo i w prawo ciągnął się niknący w ciemnościach tunel. Miał pięć lub sześć stóp szerokości i trochę mniej niż sześć stóp wysokości. Sklepienie było półkolistе, ściany gładkie i równe, co świadczyło o tym, iż zbudowano go z wielką starannością. Do budowy użyto jakichś żółtawych skał — najprawdopodobniej piaskowca. Na ścianie ktoś wielkimi, czarnymi literami napisał: *Śmierć niemieckiemu najeźdźcy.*

Spojrzałem na zegarek. Była dwudziesta trzecia trzydzieści pięć. Znaczyło to, że przytomność straciłem na krótko.

Spojrzałem w górę. Nawet gdyby odkryto istnienie tunelu, to wejście do niego było tak wąskie, że trudno przypuszczać, bym mógł z niego skorzystać. Przez otwór mogłem dostrzec blask gwiazdy. Trudno było ocenić, jak głęboko pod powierzchnią ziemi się znajduje, ale nie sądziłem, abym miał jakiegokolwiek kłopoty z wydostaniem się na zewnątrz, kiedy przyjdzie na to pora.

Zastanawiałem się, jak długi może być tunel. Ruszyłem, żeby to sprawdzić. Po kilku jardach spostrzegłem, że tunel się rozgałęzia. To był labirynt — brakowało mi Ariadny! Powiniennem zachować ostrożność. Szedłem powoli, kierując się ciągle w prawo. Dzięki temu nie będę miał kłopotów z powrotem. Powietrze było świeże i bardzo suche. Wymiary podziemnego szlaku nie zmieniały się. Domyślałem się, że tunel wyciosany został przez tych, którzy chcieli zdobyć w ten sposób materiały budowlane. Czytałem kiedyś, że Odessa prawie cała wzniesiona jest z piaskowca.

Co i rusz spotykałem ślady ostatniej wojny. Przejście usłane było porzeczonymi puszkami, rozbitymi naczyniami, zapasami drewna, śladami ognisk. Wszędzie walały się pożółkłe gazety, zdezelowana broń — karabin, bagnet, nóż o złamanej kłindze, strzepy mundurów. Były i przerażające pamiątki przeszłości — czaszka i kilka szkieletów. Wiele świadczyło o tym, iż tutaj właśnie drukowano podziemną prasę, znalazłem bowiem kilka egzemplarzy prymitywnym sposobem odbitych ulotek, nawołujących do sabotowania rozporządzeń niemieckich władz okupacyjnych. W niektórych miejscach ściany aż czarne były od napisów, dat i hasła. Pochodziły one nie tylko z czasów walki z Hitlerem. Jeden z napisów — wyblakły, ale jeszcze możliwy do odczytania — głosił: *Władza w ręce Rad!*, a inny — *Śmierć białoarmijskim mordercom*. Te katakumby musiały służyć jako miejsce schronienia dla rewolucjonistów i żołnierzy od dziesięcioleci. Wyglądało na to, że i teraz przychodzi tutaj odeska młodzież. W niewielkim zaułku znalazłem papierowe torby, resztki jedzenia, niedopałki papierosów, dwa ogarki świec, jakieś młodzieżowe pisemko. Przed powrotem do szybu wepchnąłem do kieszeni nadpalone kawałki świec.

Zgasiwszy latarkę, aby nie zużywać na darmo baterii, usiadłem i zacząłem rozważać sytuację, w jakiej się znalazłem. Było lepiej niż mogłem jeszcze przed godziną sądzić. Nie groziło mi już żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Miałem, przynajmniej na jakiś czas, znakomite schronienie — było ono na pewno bezpieczniejsze, niż jakakolwiek kryjówka w mieście. Miałem wystarczający na dwa dni zapas jedzenia i butelkę kwasu chlebo-

wego, która jakimś cudem ocalała. W waciaku nie powinienem marznąć. Czego było mi jeszcze trzeba? Oddziały sił bezpieczeństwa w poszukiwaniu mnie będą przeczesały miasto. Zanim zdecyduję, co robić dalej, najrozsądniej będzie, jeżeli poczekam, aż wszystko się uspokoi. Tak czy inaczej, mogę ten czas wykorzystać na odpoczynek... Wyjąłem chleb, ser i kiełbasę. Zasiałem do posiłku.

Kiedy skończyłem jeść, w ciemności nie miałem nic innego do roboty jak myśleć. Zacząłem od Korczenki. Odkąd pojawił się w moim życiu, wciąż myślałem o tym, jak ocalić swoje życie. Teraz — już spokojnie — zacząłem zastanawiać się nad powodami takiej sytuacji. Dlaczego Rosjanie chcieli mnie zabić? Co takiego zrobiłem?

To musiało, jak sądziłem, mieć jakiś związek ze sprawą Raczyńskiego, dlatego że — z wyjątkiem prośby o zezwolenie na podróż — była to jedyna sprawa, jaką zajmowałem się od chwili powrotu do Moskwy. Czy to była taka śmiertelna zbrodnia? Rzecz jasna złamałem kilka niepisanych zasad: na własną rękę rozmawiałem ze Skaliga, w tajemnicy wybrałem się do Lwowa... Efektem tych działań było jednak tylko potwierdzenie tego, co mówili Rosjanie. Nie miało to sensu...

Możliwe, że jakiś sens odkryłbym, gdybym nie był tak wycieńczony długim, pełnym niepokoju dniem, zakończonym desperacką ucieczką. Ale nie doszedłem do żadnych wniosków. Wkrótce przestałem myśleć o czymkolwiek i ułożyłem się do snu.

\* \* \*

Obudziło mnie światło poranka — jasna smuga przedarła się w dół szybu. Zerwałem się na równe nogi, otrząpiałem ubranie i spojrzałem w górę. Tunel biegł w bliższej odległości od powierzchni ziemi niż przypuszczałem — nie więcej niż dziesięć czy dwanaście stóp. Przez dziurę mogłem dostrzec fragment bezchmurnego nieba. Przynajmniej nie będę musiał siedzieć w ciemności za dnia. Miałem rację myśląc, że wydostanę się stąd, jeśli zechcę, bez żadnych kłopotów. Wydźwignięcie się z szybu zajmie mi najwyżej kilka sekund.

Rozmyślania zakłóciły dobiegające z powierzchni głosy. Wsłuchiwałem się w nie uważnie. Mogli to być jacyś przechodnie, chociaż nic nie wskazywało na to, iż mogłem znajdować się nad jakąś ulicą. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Słyszałem stapanie ciężkich butów. Kroki umilkły gdzieś przy włączu. Zrozumiałem, że wizja przyszłości, jaką snułem poprzedniej nocy, była nazbyt różowa. Enkawudziści wrócili do miejsca, gdzie mnie zgubili. Z góry dobiegały słowa:

— Jeśli jest tam na dole, towarzyszu, to czeka nas niezła robota, żeby go odnaleźć.

— Macie rację — odpowiedział ktoś inny. — Mój wujek, kiedy Niemcy byli tutaj, chronił się w tych sztolniach ponad rok. Służył w oddziale partyzanckim. Nocą wychodzili, zabijali jednego czy dwóch fryców, zdobywali przy okazji broń... Niemcy robili wszystko, aby ich wykurzyć stąd, ale nigdy im się to nie udało. Stracili tak wielu żołnierzy posyłanych na dół, że w końcu dali sobie spokój. To jest skrawek Odessy, którego nigdy nie zdobyli... Prawdziwy labirynt...

Inny głos, bardziej oficjalny, powiedział:

— Tak czy inaczej, lepiej żebyśmy się rozejrzeli... Jurij, schodź.

Zebrałem wszystkie swoje rzeczy, wepchnąłem je do kieszeni kurtki i cofnąłem się w te regiony tunelu, które zbadałem wczoraj. Minawszy pierwsze odgałęzienie, zatrzymałem się. Nasłuchiwałem. Enkawudziści zsunęli się przez właz. Uzbrojeni w latarki! Sądząc z poświaty, jaką roztaczały, były to latarki o wielkiej mocy. Nagle usłyszałem, jak jeden z żołnierzy głośno wykrzyknął: — Spójrzcie, walonki!

Zrozumiałem, że natknęli się na odciski stóp, jakie pozostawiłem w szlamie. Zacząłem wyrzucać sobie brak wyobraźni. Teraz wiedzieli już, że jestem w tunelu. Wciąż jednak czekałem. Czy od razu zaczną mnie szukać, czy wrócą na powierzchnię po dalsze rozkazy? Nie miałem zamiaru, dopóki nie musiałem, zapuszczać się w labirynt.

Wątpliwości moje rozwiały się same. Usłyszałem zbliżające się w moim kierunku kroki i zobaczyłem ostre strumienie światła. Nie było ani chwili do stracenia. Odwróciłem się i zacząłem



biec oświetlając drogę słabowitym światłem mojej latarki. Jednak niebieskie czapy musiały coś usłyszeć, bo przyspieszyły kroku. Żołnierze deptali mi po piętach. Przez chwilę znalazłem się w smudze światła ich latarki, któryś z nich krzyknął. Bałem się, że użyją broni, skręciłem w odnogę tunelu. Tak szybko jak tylko potrafiłem, biegłem przez komorę, w której wcześniej znalazłem świece. Było mi obojętne, w jakim kierunku się przemieszczałem. Z wolna zyskiwałem przewagę. Biegłem dobrych kilka minut. Nagle, raczej niespodziewanie, hałas za moimi plecami ucichł, zamarły odgłosy kroków. Niebieskie czapy poszły innym korytarzem. Na kilka minut zapadła absolutna cisza.

Stanąłem i plecami oparłem się o ścianę, ciężko oddychałem. Nie miałem pojęcia, gdzie się teraz znajduję, ani też co mam robić. Wątpiłem, czy będę w stanie dotrzeć do wjazdu, a nawet jeśli będzie mi sprzyjało szczęście, to i tak pewnie wpadnę tam w ręce niebieskich czap. Lepiej zrobię — pomyślałem — jeśli będę szedł dalej i, być może, znajdę inne wyjście. Powoli wyczerpywały się baterie mojej latarki, ale miałem jeszcze świeczki. Przeliczyłem zapałki. Było ich siedem. Przypaliłem knot jednej ze świeczek i powoli ruszyłem dalej, osłaniając dłonią płomyk. Skręciłem w kanał przecinający korytarz — dzięki temu miałem nadzieję nie kręcić się w koło.

Wyrobisko było miejscem wprost fascynującym. Jego tunele, niczym żyły wielkiego liścia, rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Miały z pewnością wiele kilometrów. Najprawdopodobniej biegły zarówno pod centrum miasta, jak i pod przedmieściami, bo w niektórych miejscach powały były wzmocnione stalowymi konstrukcjami i cementem, tak jakby chodziło o to, aby utrzymać ciężar budynków. Raz zdawało mi się, że słyszę odgłos przejeżdżających samochodów. Znowu drogę przecięły mi jakieś rury i kable. Szedłem dalej, wciąż mając nadzieję na znalezienie wyjścia, ale niestety znikąd odrobiny światła.

Gorąca stearyna sparzyła mi palce i płomień świecy zgasł zanim zdążyłem przypalić następną. Zacząłem grzebać w kieszeni, szukając drugiej świeczki czy raczej ogarka. Mogło go wystarczyć na jakieś piętnaście minut, nie więcej. Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Niebawem będę musiał iść w zupełnej ciemno-

ści. Labirynt okazał się bardziej niebezpieczny niż enkawu-  
dziści... Przypaliłem resztę świeczki i znowu ruszyłem. Szedłem  
pięć czy dziesięć minut nie natknąwszy się nawet na ślad wy-  
jścia. Nagle podmuch powietrza zgasił płomień świecy.

Bez ruchu stałem w ciemnościach, zastanawiając się, skąd  
mógł pochodzić. Nic nie widziałem, ale na twarzy czułem słaby  
strumień powietrza. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do cie-  
mności, zobaczyłem przed sobą słabe światło. Jasne, naturalne  
światło. Szybko poszedłem w jego kierunku. Z wielkim uczu-  
ciem ulgi dostrzegłem, że wydobywa się ono z innego włazu,  
bardzo podobnego do tego, przez który wpadłem do podziem-  
nych korytarzy. Dwanaście jardów dalej były jeszcze dwa wej-  
ścia i szczelina, przez którą do wewnątrz również wpadała smu-  
ga światła. Wszystkie były wąskie, tej samej wysokości. Pomy-  
ślałem, że wykopali je partyzanci. Albo Niemcy.

Stanąłem na dnie jednego włazu, myśląc o najlepszym po-  
sunięciu. Moja sytuacja w ciągu ostatniej godziny zmieniła się  
w sposób dramatyczny — i to na gorsze. Teraz NKWD wiedząc,  
że schroniłem się w sztolni, z pewnością przeszuka każdy jej  
fragment. Co prawda, będą musieli zaangażować do tego wielu  
ludzi, ale dysponują przecież setkami pracowników. Będą więc  
mogli działać bez żadnego ryzyka. Nie byłem przecież party-  
zantem. Prawdopodobnie wiedzieli także, gdzie znajdują się  
włazy. Przy każdym po prostu postawią strażnika, co uniemoż-  
liwi mi opuszczenie podziemi. Możliwe, że już tak postąpili. Tak  
czy inaczej, większym dla mnie niebezpieczeństwem było pozo-  
stawanie w sztolni, niżli spacerowanie po mieście. Lepiej więc  
będzie wydostać się na zewnątrz i to jak najszybciej.

\* \* \*

Wspiąłem się szybko i wystawiłem głowę nad powierzchnię  
ziemi. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był słupek bramki.

Byłem na skraju jakiegoś boiska piłkarskiego, gdzieś na  
obrzeżach miasta. Niebezpieczeństwo minęło — pomyślałem, lecz  
nagle uświadomiłem sobie, że... wokół nie ma nawet płatków śnie-  
gu! W czasie nocnej ucieczki nie zauważyłem tego. A ja — w

walonkach, czyli w butach, które nosi się gdy leży śnieg! Zastanawiałem się, ilu ludzi będzie chodziło po Odessie w takim obuwiu. Na pewno kilkoro. Jechałem z takimi. W każdym razie początek nie był obiecujący.

Powłokłem się do bramy stadionu, przez którą wyszedłem na pełną wybojów ulicę. Znajdowałem się na przedmieściach. Po lewej stronie — odkryta przestrzeń, po prawej — zarysy osiedla. Skręciłem w jego kierunku. Powłoczyłem nogami, nisko zwiesiłem głowę, tak żeby jak najbardziej upodobnić się do wieśniaków, którzy w taki właśnie, dosyć charakterystyczny sposób, chodzą. Szedłem pośród bloków mieszkalnych. Mijałem jakichś przechodniów. Wielu ubranych było w waciaki, ale żaden nie miał na nogach walonek. Kilku spojrzało na mnie z zaciekawieniem, ktoś jadący na rowerze uśmiechnął się. Milicjant, z papierosem przyklejonym do kącika ust, obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Poczujęm, że pot strużką spływa mi po plecach. Niebawem, pomyślałem, ktoś poprosi mnie o dokumenty.

Szedłem dalej. Byłem już blisko centrum miasta. Budynki wokoło były i starsze, i niższe. Ulicami jeździły trolejbusy i samochody. Pośród spieszącego się tłumu niknęły moje walonki. Nagle, na rogu placu, dostrzegłem dwóch żołnierzy w niebieskich czapkach, którzy zmierzali w moim kierunku. Obok dojrzałem szklaną gablotę, w której eksponowane były rozłożyste płachty dzienników. Stało przed nimi kilka osób. Wszedłem pomiędzy nie, udawałem, że czytam *Prawdę*. Z tej lektury niczego się nie dowiedziałem, poza tym, że jest 25 grudnia. Osobiście wolałbym spędzić Boże Narodzenie w biurze. Rozejrzałem się dookoła — niebieskie czapy gdzieś zniknęły. Ruszyłem dalej.

Na skrzyżowaniu ulic rozłożyli się handlarze sprzedający wszystko — od lemoniady poczynając, na meblach kończąc. Zatrzymałem się i kupiłem butelkę wody mineralnej. Wypiłem ją jednym haustem. W końcu, jeśli mnie złapią, lepiej byłoby gdybym nie odczuwał pragnienia... Mój wzrok zatrzymał się nagle na straganie pełnym używanych ubrań. Tam były też buty! Przerzuciłem kilka par, szukając jakiejś zniszczonej, która pasowałaby na mnie. Opatulona szalem kobieta spojrzała na moje nogi.

— Przeszliście szmat drogi — zauważyła.

— Jadę z Połtawy — przytaknąłem. — Zimno tam.

Wziąłem parę starych, czarnych butów, które wydawały się pasować, i powoli, nie spiesząc się, zacząłem je przymierzać. Nie jest źle... Teraz jedynym problemem były spodnie Iwana. Zbyt krótkie... Opuściłem je tak nisko, jak tylko mogłem. Tak czy inaczej wyglądałem niczym strach na wróble. Zacząłem targować się o cenę. W końcu wręczyłem handlarce wymięty banknot, wziąłem resztę i z walonkami pod pachą poszedłem dalej. Przy następnym straganie zatrzymałem się na chwilę i postawiłem je na ziemi. Upewniwszy się, że nikt tego nie zauważył, ruszyłem dalej.

\* \* \*

Już tak mocno nie rzucałem się w oczy. Mogłem swobodnie wchodzić się w tłum. Sądziłem, że będę bezpieczny jedynie przez kilka godzin. Nie posiadając dokumentów, nie miałem szans, aby zatrzymać się w hotelu. Kiedy zacznie zapadać zmrok i ulice opustoszeją, na pewno jakiś gliniarz poprosi mnie o okazanie dowodu. Musiałem jak najszybciej zdobyć bilet do Moskwy.

W grę na pewno wchodziły spore pieniądze. Speculanci czasami włączają się po okolicach dworców i pod biurami podróży, oferując ludziom stojącym w kolejkach kupno biletów po odpowiednio zawyżonych cenach. A może jednak uda mi się znowu kogoś przekupić? Raz już szczęście mi sprzyjało, w przypadku tego starego wieśniaka. Teraz, kiedy byłem tak zawzięcie poszukiwany, potrzebowałem jeszcze więcej szczęścia...NKWD chyba przeszukuje jeszcze sztolnie. Wciąż miałem szansę...

Zapytałem o drogę na stację kolejową, która — jak się okazało — położona była na południowym krańcu miasta. Kazano mi iść w kierunku budynku, gdzie mieścił się Bank Państwowy, a potem prosto ulicą Puszkina, która zaprowadzi mnie na plac Rewolucji Październikowej i później przed dworzec. Rażno ruszyłem przed siebie. Bez trudu znalazłem drogę, jako że centrum miasta zabudowane było prostokątnymi kwartałami domów, przedzielonych biegnącymi równoległe ulicami. Chodniki

były szerokie, miały równą nawierzchnię. Spacer po nich w lek-  
kich butach był prawdziwą przyjemnością. Bez trudu znalazłem  
ulicę Puszkina, szeroką, wysadzaną drzewami, i po piętnastu  
minutach znalazłem się na placu.

Jedno spojrzenie na dworzec wystarczyło, abym przekonał  
się, że nie jest to miejsce dla mnie. Enkawudziści stali przed  
wejściem i sprawdzali dokumenty. Za późno! Nawet gdyby udało  
mi się zdobyć bilet, to i tak nie mógłbym go wykorzystać.

Odwrociłem się na pięcie, potwornie przerażony i przestra-  
szony. Na widok żołnierzy poczułem się nagle bardzo zmęczony  
i znużony. Nie miałem pojęcia, co robić. Byłem bliski poddania  
się. Jeżeli pilnują dworca, to z całą pewnością obstawili wszy-  
stko — lotnisko, port, drogi wyjazdowe. Jestem więźniem mia-  
sta, z którego nigdy już się nie wydostanę! Jaki więc sens miało  
przedłużanie cierpienia!

Wracałem, nie interesując się nawet dokąd zmierzam. Po ja-  
kimś czasie wszedłem do parku nazwanego imieniem Tarasa  
Szewczenki, jak informowała tablica u wejścia. Na niewielkim  
wzgórku dostrzegłem jakieś ruiny. Obok był punkt widokowy  
i pawilon restauracyjny. Nagle poczułem się straszliwie głodny  
— nic dziwnego, przecież ostatnim moim posiłkiem był ten, jaki  
przygotował mi Sasza. Wszedłem na pagórek. W restauracji nie  
było prawie nikogo. Usiadłem przy oknie. Kiedy podeszła kel-  
nerka, zamówiłem kotlet schabowy z ziemniakami, butelkę piwa,  
pierożki i na deser kawę. Spojrzała na mnie z powątpiewaniem  
i spytała:

— Naprawdę zapłacicie za to wszystko?

Zapomniałem, że mój wygląd nie wzbudza zaufania. Pokaza-  
łem jej banknot, nie największy, ale mający swoją wartość.  
Kiwnęła głową i odeszła.

Za oknem rozpościerał się wspaniały widok na zatokę. Od  
nabrzeży biegły w morze mola, widać było falochrony, dachy  
magazynów, zbiorniki ropy naftowej i szczyty elewatorów, w  
których w czasach prosperity składowano zboże na eksport.  
Teraz bez wątplenia przechowywano w nich ziarno z importu.  
Przyglądałem się też stojącym w porcie statkom. Największy  
z nich, na którym powiewała flaga Kanady, odpływał, żeby

ustąpić miejsca innej jednostce. Tak blisko — a tak daleko...! Obserwowałem manewry statku w zatoce, zarzucanie kotwicy, cumowanie. Z zazdrością przyglądałem się załodze, która wyległa na nabrzeże. Wolni ludzie! Znowu odpłyną... Podano zamówiony kotlet!

Jedzenie poprawiło mój nastrój. Kiedy na stoliku pojawiła się kawa, nie czułem się już przegrany. Możliwe, że Moskwa jest nieosiągalna — ale tak długo, jak będę w Odessie, muszę próbować wszelkich sposobów, żeby się stąd wydostać. Musi być przecież przynajmniej kilka mniej ważnych dróg, u wylotu których nie postawiono posterunku. Pogoda była znośna i ziemia nie tak zmarznięta jak step. Jeśli zajdzie potrzeba, mogę spać i pod gołym niebem. Muszę spróbować! Po pierwsze jednak, muszę zdobyć prowiant. W bufecie sprzedawano żywność na wynos. Do kieszeni napchałem kiełbasy, czekoladę i butelkę wody mineralnej. Kupiłem też, za kilka kopiejek, turystyczny plan Odessy.

Usiadłem na ławce przy restauracji i zacząłem studiować mapę. Wyglądało na to, że wzdłuż północnowschodnich krańców miasta, na długości przynajmniej pięciu kilometrów wzdłuż nabrzeży zatoki ciągnęły się doki. Wraz z dochodzącymi do nich liniami kolejowymi musiały być obstawione. Na południe od miejsca, w którym się znajdowałem, wybrzeże miało zupełnie inny charakter. Z mapy wynikało, że prawie do samego morza ciągną się lasy. Znajdowała się tam miejscowość o nazwie Lanszeron. Informacja na odwrocie mapy określała ją jako kąpielisko. Rodziła się nadzieja. Jeśli dotrę do plaży, to ominę milicyjne kordony.

Ścieżką ruszyłem w dół wzgórza i po chwili znalazłem się na drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża. Po obu stronach szosy wznosiły się budynki, których było więcej niż wynikało to z mapy. Były to głównie sanatoria i zakładowe domy wczasowe. Po przejściu kilkuset metrów ta solidna, prawie miejska zabudowa powoli ustępowała miejsca drewnianym chatkom. Nie było wątpliwości, że znajduję się w jednym z odesskich lotnisk. Teraz było tu pusto, zbyt pusto jak na mój gust. Co powiem, jeśli

komuś przyjdzie do głowy zapytać mnie, co tutaj robię? Odpowiedź podsunęła mi niewielka torba, wyrzucona przez fale na brzeg. Podniosłem ją i idąc zacząłem zbierać do niej kawałki leżącego na plaży drewna. Wszystko grało. Starałem się iść jak najbliższej ściany lasu, nie spiesząc się. Od czasu do czasu przystawałem, aby popatrzeć na wyjątkowo spokojną tego dnia morską toń. Minałem kilka wywróconych do góry dnem łódek. Trochę dalej stał drewniany barak, w którego wnętrzu składowano sprzęt pływacki. Zajrzawszy do środka przez okno dojrzałem liny, kamizelki ratunkowe, dulki, wiosła.

Zatrzymałem się. Wiosła... Spojrzałem do tyłu, na łódki, i przed siebie, na gładką powierzchnię zatoki. W oddali dostrzegłem kominy kanadyjskiego statku. Byłem szalony, oczywiście — zupełnie postradałem zmysły... Ale czy wszystko, co robiłem, nie było jednym wielkim szaleństwem? Czy naprawdę istniał inny sposób, żeby wyrwać się z tego potrzasku...? Patrzyłem na wiosła i narastało we mnie pragnienie, by rzucić wszystko na jedną szalę...

Usiadłem pod drzewem i zacząłem się zastanawiać. Przypomniałem sobie kanadyjską załogę, schodzącą na ląd, boję, do której statek był przycumowany. Myślałem o wysiłku, jaki będę musiał z siebie wykrzesać, o księżycu i pogodzie, o łodziach patrolujących zatokę, o włamaniu do baraku. Próbowałem rozważyć wszystkie za i przeciw. Niebezpieczeństwo było wielkie, ale nagroda, jaka mnie czekała, była jeszcze większa. Musiałem zaryzykować... Nim zupełnie się nie ściemniło, wróciłem do leżących łodzi i wybrałem jedną z nich.

\* \* \*

Bez trudu włamałem się do baraku. Drzwi co prawda były zamknięte na kłódkę, ale kawałkiem wyrzuconego na plażę drzewa rozbiłem szybę w oknie, przez które wszedłem do środka. Wziąłem parę wiosel z przytwierdzonymi do nich dulkami, zgarbiłem też przy okazji kilka nasyconych smarem szmat i wyskoczyłem na zewnątrz. Szybko wróciłem do łódki. Był to ru-

pieć, w lepszym jednak stanie niż pozostałe. Zatrzymałem się na chwilę nasłuchując. Na brzegu nie było żywego ducha. Zepchnąłem łódkę na wodę, owinałem wiosła szmatami i zanurzyłem je w wodzie.

Morze było spokojne niczym jezioro, wiosłowanie nie nastęczyło mi więc żadnych kłopotów. Nie było jeszcze przypływu. Na twarzy czułem jedynie lekki podmuch wiatru. Wieczór był ciemny, jednak nie było tak ciemno, jakbym sobie tego życzył. Widziałem łunę świateł miasta, która odbijała się w morskiej toni. Zastanawiałem się, co jeszcze dane mi będzie zobaczyć. Wiosła trochę skrzypiały w dulkach, pomimo tego, że owinięte były szmatami. Bardziej martwiło mnie to, że przez szczeliny w dnie łódki sączyła się woda. Wokół moich stóp zbierało się jej coraz więcej. Zdenerwowany przestałem wiosłować i zacząłem ją wylewać, używając do tego celu jedyne naczynie, jakim dysponowałem — futrzanej czapki Iwana. Z czasem jednak wysuszone deski dna łódki nasiąknęły wodą i rozszerzyły się. Ciekła przez nie tylko mała strużka wody. Mogłem więc znowu wypatrywać tego, co było przede mną.

W pamięci wciąż miałem wyraźny obraz zatoki — wszystko dzięki temu, że dokładnie przestudiowałem w restauracji mapę turystyczną. Wiedziałem, gdzie się znajduję. Przede mną był falochron, długi prawie na półtora kilometra, skrzyty niczym wielka litera S, chroniący zatokę od wschodu. Musiałem wypłynąć głęboko w morze, aby go wyminąć. Na krańcu betonowej zapory znajdowała się wieżyczka, w której paliło się białe światło. Dostrzegłem je przepływając obok. Nie wiedziałem, czy są tam ludzie, czy nie. Jeśli tak, to czekały mnie kłopoty. Jeśli nie — bez trudu wydostanę się na otwarte morze. W niewielkiej odległości od falochronu zakotwiczony był kanadyjski motorowiec. Czy wciąż tam będzie stał? Miałem nadzieję, że tak...

Jeżeli wypłynięcie w morze byłoby wyznaczone na wczesne przedpołudnie, to wątpię, czy w takim przypadku pozwolono by załodze zejść na ląd. Na razie wszystko było w porządku, zobaczyłem bowiem światła masztów statku.

Wiosłowałem równomiernie, pragnąc zachowywać jak najwięcej sił. Mimo wszystko, wiosłowanie było ciężką pracą. Zdją-



łem waciak, chociaż im bardziej oddalałem się od lądu, powietrze stawało się bardziej chłodne. Cały czas wpatrywałem się w światła statku, które — jak mi się wydawało — wcale się nie przybliżały. Na brzegu panował spokój.

Około godziny zajęło mi dotarcie z plaży do końca falochronu. Mijając go, co chwilę odwracałem głowę, z niepokojem obserwując wieżyczkę. Była o wiele większa niż myślałem. Była to po prostu prawdziwa morska latarnia, z pewnością obsadzona przez jakąś załogę. Blask lampy wspaniale oświetlał krąg wody. Jeżeli ktokolwiek wyszedłby w tej chwili na galerię, już byłoby po mnie. Mamrocząc modlitwę i wiosłując z całych sił, kierowałem się poza świetlisty krąg. W każdej chwili mogłem usłyszeć rozkaz zatrzymania się, ale nic takiego nie nastąpiło. Kiedy znalazłem się tuż koło wieżyczki, najciszej jak potrafiłem złożyłem wiosła przy burtach i zacząłem odpychać wodę rękami. Moim niespodziewanym sojusznikiem stała się wiejąca od lądu lekka bryza. Powoli ominąłem koniec falochronu i znalazłem się w zatoce. Po kilku minutach niebezpieczeństwo minęło.

Teraz mogłem bez trudu zobaczyć oświetlony statek. Dzieliło mnie od niego jeszcze jakieś ćwierć mili. Stał do mnie rufą. Na pokładzie panował spokój, choć przy trapie zrzuconym od strony portu kręciło się kilku facetów w czapkach o szerokich denkach... Nie miałem wątpliwości — to byli funkcjonariusze władz. Sprawdzają wszystkich wchodzących na pokład, aż do czasu, kiedy statek odpłynie. Cóż, spodziewałem się tego. Moją szansą było to, że z pokładu ścigacza dochodziły dźwięki muzyki. Odbijając się od powierzchni wody, z pewnością zagłuszą uderzenia moich wiosł. Znałem tę pieśń — nazywała się *Suliko* i opowiadała o człowieku, który nie może odnaleźć grobu ukochanej. Zabawny temacik...

Pływałem jeszcze kilka minut i wkrótce minąłem boję. Następnie zbliżyłem się do prawej burty statku, w której cieniu znalazłem schronienie. Obawiałem się, że kiedy znajdę się tam, będę doskonale widoczny ze ścigacza. Na szczęście skryło mnie wyrzucenie rufy. Boja była okrągłą, dużą kulą z żelaznym hakiem na górze. Gruba jak przegub ręki lina holownicza była zaczepiona o niego. Lina wznosiła się łukiem w górę ku burcie

statku, nikać na pokładzie. Mogła mieć osiemdziesiąt stóp długości.

Szybko włożyłem waciak i wskoczyłem na boję. Przez chwilę zastanawiałem się, co zrobić z łódką. Jeśli przywiążę ją, to dostrzeże ją każdy, kto będzie zwiżał cumę. To mogłoby mieć fatalne skutki. Jeśli pozwolę jej swobodnie dryfować, nie będzie już dla mnie odwrotu. Jednak unosząca się na falach zatoki pusta łódka — jeśli ktoś by ją zauważył — może być tak samo niebezpieczne dla mnie, jak wówczas, gdybym ją przycumował. Jednak z pewnością nie zostałaby zauważona przez jakiś czas. Pozwolić jej dryfować — wydawało się mniejszym ryzykiem. Odpiawszy cumę, odepchnąłem łódkę i patrzyłem jak odpływa. Przypomniałem sobie o czapce Iwana, która została na dnie, ale na dobrą sprawę przestało mnie to obchodzić...

Chwyciłem linę holowniczą. Bałem się śmiertelnie, ale dalsze czekanie z pewnością nie uczyni mojej wspinaczki po linie łatwiejszą. Ruszyłem do góry. Powoli... Tylko spokojnie... Kilka jardów pokonałem bez problemów. Potem było już gorzej. Nogi, a przede wszystkim, otarte do krwi dłonie, zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, kiedy głową dotknąłem czegoś twardego...

Spojrzałem w górę. Od balustrady pokładu dzieliło mnie kilkanaście centymetrów. Jeszcze chwila i będę na pokładzie. Owinąłem nogi raz jeszcze wokoło liny i odepchnąłem się. Reszta była już dziecinadą. Uchwyciłem się balustrady i podciągnąłem. Byłem na pokładzie! Udało się!

Stałem złany potem, drżałem ze zdenerwowania i wyczerpania. Co teraz? Nie mogłem ryzykować ujawniania się — na pewno na pokładzie statku znajdowali się Rosjanie. Co prawda rufowa ładownia była pusta, ale przecież mogą niebawem zapełnić ją jakimiś towarami. Musiałem znaleźć sobie takie miejsce, gdzie mógłbym się ukryć. Po metalowej drabince wdrapałem się na wyższy pokład. Łodzie ratunkowe... Klasyczny schowek pasażerów na gapę... Zatrzymałem wzrok na jednej z nich. Przykryta była brezentową plandeką, którą przytroczono do łódki sznurami. Ich rozsypłanie zajęłoby mi wieki. No cóż, w końcu nie muszę wchodzić do wnętrza. Przeskoczyłem przez dawisy

i położyłem się. Plandeka miała zagłębienie w środku i leżąc miałem pewność, że nikt mnie nie dostrzeże przechodząc obok. Poza tym, że leżałem w kałuży wody, wszystko było wspaniale...

\* \* \*

Kilka następnych godzin należało do najgorszych w moim życiu. Nie miałem pojęcia, jakie plany ma kapitan statku. Mógł stać na redzie kilka dni, ale równie dobrze mógł przybić do nadbrzeża po ładunek. Jeśli postój będzie się przedłużał, wzrastało prawdopodobieństwo znalezienia mojej łódki, a wtedy na pewno rozpoczną się poszukiwania... Leżąc nasłuchiwałem i starałem się sobie wytłumaczyć odgłosy dochodzące tak ze statku, jak i z wód zatoki. Doszły mnie odgłosy z maszynowni. Dobry znak. Słyszałem strzępy rozmów prowadzonych z Rosjanami, ktoś się zaśmiał, trącono się kieliszkami... Prawdopodobnie piją strzeżeniowego...

Zanim cokolwiek zaczęło się dziać, zdawało mi się, że minęły wieki. Nagle, tuż obok, ryknęła syrena. Na pokładzie zaczął się ruch. Ktoś z silnym amerykańskim akcentem wykrzykiwał rozkazy. Ktoś gwizdał. Od strony rufy zawył silnik. Znaczyło to chyba, że ścigacz odpływa. Poczułem wibracje. Przez chwilę sądziłem, że ruszamy. Znowu usłyszałem gwizd na rufie. Domyśliłem się, że lina holownicza została zdjęta z boi. Usłyszałem syk pary i rumor na pokładzie, kiedy wciągano cumy. Telegraf statku coś wystukiwał, wibracja stawała się coraz wyraźniejsza. Wciągano kotwicę. Jeszcze donioślejszy gwizd. Telegraf terkotał co chwila. Statek manewrował. Pulsowanie pode mną stawało się coraz bardziej intensywne. Owionęto mnie mroźne powietrze. Nad głową ujrzałem snop białego światła. Przepływaliśmy obok krańca falochronu. Odpływaliśmy!

Chciałem wyjść z ukrycia, ale przypomniałem sobie, że radziecka strefa wód granicznych obejmuje dwanaście mil, a poza tym nie miałem pojęcia, czy wypływamy na otwarte morze. Tylko co do jednego miałem pewność — na pokładzie jest pilot, który zejdzie ze statku dopiero później. Poza tym mogliśmy mieć kompanów. Z łatwością mogli rozpocząć pościg... Wciąż

myślałem o dryfującej łódce... Statek jednak pełną parą ciął fale. Telegraf zamilkł. Maszyny pracowały pełną mocą. Ostrożnie wychyliłem głowę nad burtę łodzi ratunkowej i rozejrzałem się dokoła. Nie dostrzegłem niczego niepokojącego. Sądziłem, że już najwyższy czas by zbadać teren. Uchwyciłem się krawędzi łodzi. Wstałem. Byłem w opłakanym stanie. We włosach i na brodzie miałem pełno morskiej soli, oczy zapuchnięte, waciak przemoknięty i pobrudzony smarem. Bolał mnie każdy kawałek ciała. Ostrożnie zszedłem na pokład. Schowawszy się za burtą łodzi jeszcze raz spojrzałem na morze. Żadnych świateł. Paliły się tylko lampy na statku. Piękna, wspaniała pustka...

Dolny pokład był szorowany przez dwóch marynarzy. Skierowałem się w stronę jednego z nich. Na odgłos kroków podniósł głowę i opadła mu szczęka.

Przez chwilę przypatrywał się mi, po czym krzyknął do swego koleśia:

— Hey, Joe, zobacz! Mamy sowieckiego gapowicza!

Drugi marynarz spojrział na mnie.

— Jezuuu! — ryknął przerażonym głosem. — Iwan Groźny!

\* \* \*

Kapitan statku był ogromnym, postawnym i ogorzałym mężczyzną. Urodził się na wybrzeżu St. Lawrence. Nazywał się Nelson i proszę mi wierzyć, był dla mnie większym geniuszem niż admirał Horatio. Kiedy powiedziałem mu kim jestem, zajrzał do mojego paszportu. Wysłuchał cierpliwie mojej nieskładnej opowieści, po czym od razu przystąpił do akcji ratunkowej. Nalał mi setkę burbona, pozwolił skorzystać z własnej łazienki, pożyczł brzytwę, dał własne cywilne ubranie, a na koniec poczęstował indykiem i bożonarodzeniowym puddingiem. Był przeuroczy.

Po kolacji dokładnie opowiedziałem mu, co mi się przytrafiło. Powiedziałem mu o Korczence i o tym, jak zgasło w baraku światło; o rurociągu i mojej podróży autostopem przez step; o Iwanie, Saszy i staruszku-wieśniaku; o odeskich katakumbach i znalezionych na plaży łodziach, i o mojej desperackiej wspina-

czce po linii holowniczej. Nawet dla mnie wszystko to brzmiało jak bajka. Kapitan przysłuchiwał się wszystkiemu z niedowierzaniem. Najbardziej interesowało go oczywiście to, dlaczego wdałem się w tę całą aferę. Nie mogłem odpowiedzieć, bo tak naprawdę sam nie wiedziałem.

— Cóż — powiedział, kiedy skończyłem — swoje pan przeżył. To najciekawsza opowieść, jaką kiedykolwiek słyszałem. Szczęściarz ze mnie, że mogłem jej wysłuchać. — Usiadł. — Co teraz mam z panem zrobić?

— Dokąd płyniecie? — spytałem.

— Do Halifax w Nowej Szkocji. Będziemy tam za jakieś dwa tygodnie... Domyślam się, że spieszo panu z powrotem do Anglii.

— Ma pan rację. Chcę być tam jak najszybciej.

Zamyślił się.

— Jutro wieczorem mogę wysadzić pana w Stambule. W Turcji będzie pan mógł wsiąść na samolot do Londynu.

— Świetnie — powiedziałem. — Będę bardzo wdzięczny.

— Czy ma pan jakieś pieniądze? Mówię o prawdziwych pieniądzach.

— Wystarczy, żeby zatelefonować do redakcji. Zajmą się mną.

— To świetnie... Domyślam się, że chciałby się pan już położyć spać.

Wstał. Podniosłem się i ja. Wciąż patrzył na mnie, jakby niedowierzając.

— Ci Rusczy musieli mieć jakiś ważny powód, żeby chcieć pana sprzątnąć, Quainton... Naprawdę nie wie pan, co to mogłoby być?

— Nie mam pojęcia — odparłem.

\* \* \*

To prawda — nie miałem pojęcia, dlaczego chciano mnie sprzątnąć, ale byłem zbyt zmęczony, aby tej nocy znowu zacząć o wszystkim myśleć. Rano poczułem się znacznie lepiej.

Wypoczęty, z jasnym umysłem po długim śnie, gdy nie groziło mi już żadne niebezpieczeństwo, wreszcie byłem w stanie myśleć. Rozważania zacząłem od pytania: co takiego zrobiłem?

Z pewnością moje wykroczenie nie należało do lekkich. To, co Rosjanie chcieli ze mną zrobić, z akredytowanym w ich kraju korespondentem, którego w pełni akceptowali, z człowiekiem, którego zawsze traktowali z uznaniem, było zaskakujące i nie miało precedensu. Z pewnością nigdy nie zdecydowaliby się mnie zgładzić, gdybym w jakiś sposób nie stwarzał dla nich śmiertelnego zagrożenia; zagrożenia, które nie sposób było usunąć inaczej.

Ale jakie stanowiłem dla nich niebezpieczeństwo?

Przypuszczałem, że punktem wyjścia musi być sprawa Raczińskiego. On jedynie był nowym elementem w moim moskiewskim życiu. Poza tym, że szukałem informacji o Raczińskim, nie zrobiłem nic, co by mogło się nie podobać władzom. Dotykając tej sprawy, wprawiłem machinę władzy w ruch. Dlaczego?

Wróciłem myślami do mojego prywatnego śledztwa w sprawie ojca Maryi. Próbowałem przypomnieć sobie wszystko, co zrobiłem i powiedziałem. Przejrzałem archiwa w Bibliotece im. Lenina — każdy mógł to zrobić. Poprosiłem Pawłowa o pomoc — był życzliwy. Rozmawiałem ze świadkiem, którego on sam mi przedstawił. Rozmawiałem z innym świadkiem, już bez jego wiedzy, ale wyglądało na to, że nic go nie interesuje. Samowolnie wybrałem się do Lwowa, ale nie jest to obszar zamknięty, skrywający tajemnice wojskowe. To nie mogło być to. Wracałem pełen wątpliwości co do przeszłości Raczińskiego. W tym przypadku Rosjanie nie mogli mi niczego zarzucić. Zamierzałem jechać do Anglii, aby wyjaśnić całą sprawę. Pawłow zgodził się na to, obiecał wydać wizę. Dał mi ją. Jeżeli nie wyjechałbym w podróż po Ukrainie, byłbym teraz w Anglii. Może sowieckie władze musiałyby się tłumaczyć...

Gdyby nie ta wyprawa! Nagle coś mnie zastanowiło. Zastanawiała mnie sprawność, z jaką Pawłow załatwił wszystkie formalności związane z moim wyjazdem. I ta presja psychiczna, nakłanianie, abym odbył podróż po Ukrainie. Sugerowanie za-

razem, że mogę już nie mieć podobnej okazji. Wyglądało na to, że Pawłow nie chciał, abym opuszczał terytorium ZSRR i że perspektywa mojego wyjazdu do Anglii przyspieszyła działanie urzędniczej maszyny. Jakby nie patrzeć, planowano mnie usunąć...

Czyż mogło się zdarzyć, że Rosjanie z jakichś powodów nie chcieli, abym poznał całą prawdę o Raczinskim? Czyżby nie chcieli postawić go przed sądem, aby dowieść jego winy?

Na pierwszy rzut oka wydawało się to niemożliwe... Później jednak zacząłem przypominać sobie pewne zdarzenia, które zdawały się potwierdzać tę myśl. Sposób, w jaki ogłoszono w prasie informację o skazaniu Raczinskiego. Sposób, w jaki zignorowano przeprowadzenie sądowych dowodów. Sposób, w jaki nagle cała sprawa ucichła. Jeszcze dziwniejsza była skwapliwość, z jaką sprowadzono świadka, którego wyznania były tak bardzo mętne i nieprzekonywujące. Świadek, którego przywieziono specjalnie z Tuły, aby się ze mną spotkał, równie dobrze mógł być człowiekiem, który po prostu mówił to, co mu kazano mówić. W świetle tych faktów prawdopodobne było, że być może chciano zatuszować całą sprawę, zniszczyć to, co zbudowano. Skazawszy kiedyś Raczinskiego teraz chciano go ocalić...

W tym właśnie momencie narodziło się we mnie nowe i mrozące krew w żyłach przypuszczenie. Ponownie przeszedłem opowieść Raczinskiego, zwracając uwagę na jej słabości i luki. Zdziwienie budził fakt, że przeżył pobyt w tych wszystkich obozach. Nie trudził się, aby zmienić nazwisko, nie obawiał się mówić otwarcie o tym, że był więziony w Łodzi. Jako miejsce swego urodzenia podał Lwów, miasto znajdujące się w ręku Rosjan od września 1939 roku, właściwie zamknięte przed zagranicznymi przybyszami. Miasto, którego archiwa z łatwością mogły zaginać. Sami Rosjanie w sumie nie interesowali się przeszłością Raczinskiego. Lutkin — pamiętał bardzo niewiele, Skaliha — bardzo dużo. W zasadzie żadne wydarzenie z życia Raczinskiego nie mogło być potwierdzone przez niezależne źródła. Nawet Marya powtarzała tylko to, o czym słyszała. Wyniósł ją przecież z wojennej zawieruchy, kiedy była niemowlęciem i przywiózł do Anglii. To był jedyny udowodniony fakt.

Pomyślałem o Raczińskim jako o człowieku — ktoś o takim charakterze i morale nigdy z pewnością nie zdobyłby się na to, aby wydać współtowarzyszy niedoli. Nie znane było źródło jego nerwicy. Pomyślałem o jego karierze jako chemika-wynalazcy — rozpoczynał rokując tak wielkie nadzieje, aby skończyć w laboratorium jakiejś firmy produkującej kosmetyki...

Czułem, że wciąż jestem daleki od odkrycia całej prawdy. Narastały jedynie we mnie podejrzania...

\* \* \*

Przepłynęliśmy Bosfor i zawinęliśmy do Stambułu o godzinie ósmej wieczorem. Podziękowałem kapitanowi Nelsonowi najcieplej jak tylko potrafiłem za gościnę i opiekę, obiecałem odebrać z Londynu pożyczone od niego ubranie, po czym wskoczyłem do motorówki, która została zawieszona z nabrzeża. Ponieważ przybyłem z Rosji, nie mając żadnego bagażu ani sowieckiej wizy wyjazdowej, tureccy urzędnicy imigracyjni byli niepomniernie zdziwieni. Musiałem powiedzieć im więcej niż chciałem. Nie dowierzali mi, oczywiście, ale w końcu wpuścili na terytorium swego państwa wbijając do paszportu czterdziestośmiogodzinną wizę tranzytową.

Pobyt w Stambule to nie wczasy. Oczywiście nieprawdopodobne wydawało się, żeby Rosjanie deptali mi po piętach, ale rozsądniej było zachować ostrożność. Jadąc z portu taksówką, uważnie przyglądałem się samochodom, które jechały z tyłu. Wysiadłem w centrum miasta. Szybkim krokiem przeszedłem kilka kwartałów i wmieszałem się w wychodzący z jakiegoś kina tłum. W końcu znalazłem skromny hotelik, w którym spędziłem noc. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem rano, był telefon do redakcji. Cole jeszcze nie przyszedł do pracy, nie było też szefa działu zagranicznego, ale na posterunku trwał jego asystent Chalmers. Powiedziałem mu, że jestem w drodze do domu, wyjaśnię wszystko po powrocie, a jeszcze dzisiaj potrzebuję dwóch tysięcy funtów. Wysłuchał mnie w spokoju i obiecał, że przed wieczorem pieniądze będą na mnie czekały w tureckim Banku Narodowym. Od razu wymeldowałem się z hotelu i cały ranek



spędziłem włócząc się po mieście. Po południu odebrałem pieniądze, zrobiłem konieczne zakupy i kupiłem bilet na nocny lot do Londynu. Kolację zjadłem w jakiejś obskurnej restauracji i około północy udałem się taksówką na lotnisko. Nikt nie okazywał specjalnego zainteresowania moją osobą. Godzinę później znajdowałem się już w przestworzach.

Z żalem musiałem na razie zrezygnować z odwiedzenia własnego mieszkania. Była jedna sprawa, którą musiałem sprawdzić, zanim spotkam się z Raczinskim. Jeśli naprawdę produkuje kosmetyki w Welwyn, to znaczy, że moje podejrzania były bezpodstawne. Miałem nadzieję, że tak będzie. Jeśli nie pracuje tam, gdzie mówił — to będzie znaczyło, że mam rację. Byłem zdegustowany rolą, jaką przyszło mi odgrywać, ale nazbyt wciągnąłem się w tę całą aferę, żeby teraz się ze wszystkiego wycofać. Jakkolwiek zaskakujący byłby rezultat moich poszukiwań, musiałem wszystko wyjaśnić.

\* \* \*

Na londyńskim lotnisku wylądowałem około dziewiątej rano. Była sobota, pogoda pod psem, szaro i ponuro. Niepokój, jaki odczuwałem w Stambule wrócił, kiedy tylko opuściłem budynek terminalu. Jeżeli Rosjanie wszędzie mnie śledzili, to dlaczego mieliby teraz tego zaniechać? Nikt jednak mnie nie obserwował, nikt nie szedł w ślad za mną i wkrótce się uspokoiłem. Wszedłem na pocztę i nadałem do Cole'a telegram, w którym poinformowałem, że skontaktuję się z nim niebawem. W ten sposób odkładałem wszelkie wyjaśnienia, aż do momentu kiedy wszystko się wyjaśni. Śniadanie zjadłem w lotniskowej restauracji, po czym nie zwlekając, wynająłem samochód i przez North Circular Road ruszyłem do Welwyn.

Przyjechałem tam około jedenastej. W centrum miasteczka zapytałem policjanta o drogę do laboratorium *Floria Products*. Zastanowił się przez chwilę i odparł, że znajdują się one przy drodze wiodącej do Hertford. Przejadę kilka kilometrów, potem skrucę w lewo. Na poboczu jest wielka tablica informacyjna — nie sposób jej nie zauważyć...

Postąpiłem zgodnie z tymi wskazówkami i już po kilkunastu minutach byłem na miejscu. Wielka, czarno-biała tablica stojąca przed bramą oznajmiała *Floria Products Ltd. Welwyn Research Unit*. Budynki laboratorium otaczał gęsty las. Były to jednopiętrowe pawilony, przeszklone, jasne i czyste. Z powodu szarówki w środku paliły się światła, mogłem więc dostrzec bez trudu pracujących wewnątrz ludzi w białych kitlach. Pośród nich nie było Raczinskiego. Przy bramie nikt mnie nie niepokoił. Podszedłem do głównego wejścia. Pchnąłem szklane drzwi i wszedłem do niewielkiego korytarza. Potem były jeszcze jedne szklane drzwi. Te prowadziły już do laboratorium. Nie było śladu portiera. Otworzyłem drzwi i wsunąłem głowę do hali. Poczuję taki sam zapach, jaki unosił się w gabinecie Raczinskiego. Jakiś mężczyzna z kuwetą w ręce spojrzał na mnie i spokojnie wrócił do swoich zajęć.

Stałem przez chwilę, rozglądając się. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Było tu spokojnie niczym w miejskiej bibliotece. Wyszedłem na zewnątrz. Rozpierało mnie uczucie radości. Ach, te moje podejrzenia...

Przeszedłem na tył zabudowań. Znajdował się tam parking, na którym mogło zmieścić się kilkadziesiąt samochodów. Teraz większość stanowisk była pusta. Teren ogrodzony był niskim płotem z metalowej siatki. Dostrzegłem uchyloną bramkę. Przeszedłem przez nią. Dalej biegła wąska ścieżka, która niknęła w leśnej gęstwini. Liście drzew tworzyły istną ścianę, tak że nie sposób było zobaczyć cokolwiek. A może to było...? Przez chwilę wydawało mi się, że widzę światło...

Usłyszałem za plecami odgłos kroków i męski głos, który grzecznie zapytał:

— W czym mogę pomóc?

Odwróciłem się. Stanąłem twarzą w twarz z potężnie zbudowanym facetem w kombinezonie typu wojskowego. Miał na głowie czapkę z odznaką *Floria Products Ltd*. Nie miałem pojęcia skąd się tutaj wziął.

— Pracuje tutaj mój znajomy — powiedziałem. — Dr Stefan Raczinski... Wielokrotnie zapraszał mnie, abym zwiedził te

zakłady. Przejeżdżałem właśnie nieopodal i pomyślałem, że go odwiedzę... Ale okazuje się, że dzisiaj nie pracuje.

Strażnik rzucił mi jakieś dziwne spojrzenie.

— Tak, proszę pana, nie ma go dzisiaj.

Tonem grzecznym, lecz stanowczym poprosił, abym wyszedł poza ogrodzony teren.

— Czy mogę wiedzieć, jak się pan nazywa — zapytał.

— Quainton — odparłem — Lord Quainton. Tak czy inaczej zadzwonię do niego.

— Bardzo proszę.

Skinąłem głową na pożegnanie i wróciłem do samochodu. Powłócząc nogami, szedł za mną. Kiedy usiadłem za kierownicą, zobaczyłem, że coś notuje. Pewnie spisywał numery wozu.

Przejechałem kilkaset metrów i zatrzymałem się na poboczu. W ogrodzeniu zobaczyłem dziurę, przez którą przecisnąłem się, aby po chwili zniknąć w lesie. Podłoże było grząskie, ściółka zaś to przede wszystkim jeżyny, których kolce szarpały nogawki moich spodni. Przedzieranie się przez nie były dziecinną igraszką w porównaniu chociażby ze wspinaniem się po cumowniczej linii. Skierowałem się w stronę laboratorium. Przeszedłem jakieś trzysta metrów i nagle znalazłem się na odkrytej przestrzeni, która otoczona była siatką, solidną siatką, wysoką na dziesięć stóp, zwieńczoną kilkoma liniami drutu kolczastego. Podeszedłem do ogrodzenia. Nagle rozległo się szczekanie psa...

Próbowałem przeniknąć wzrokiem poza ogrodzenie. W słabym świetle nie dostrzegłem nic poza drzewami. Powoli ruszyłem wzdłuż siatki, mając nadzieję znaleźć lepszy punkt obserwacyjny. Znowu rozległo się szczekanie psa. Jakby bliżej. Miałem nadzieję, że zwierzak biega wewnątrz ogrodzenia... W chwilę potem spośród drzew za ogrodzeniem wyłonił się człowiek, prowadzący na smyczy potężnego owczarka alzackiego. Ubrany był w taki sam uniform, jak mężczyzna, którego spotkałem przy laboratorium. Wyglądał mało przyjaźnie. Twarz miał niemal wyciosaną z kamienia.

— Co pan tutaj robi? — spytał podchodząc do ogrodzenia.

— Spaceruję — odpowiedziałem. Dosyć już miałem facetów w wojskowych czapkach, nawet jeśli to byli Brytyjczycy.

Spojrzał na mnie groźnie.

— Lepiej pan zrobisz, jak wrócisz tam, skąd przyszedłeś! To teren prywatny.

— Również tutaj, gdzie stoję?

— Tak, cały ten teren należy do *Floria Products*... No, jazda, spływaj.

Spłynąłem. Wiedziałem już to, co chciałem wiedzieć — nawet więcej niż chciałem wiedzieć. Co by się nie działo, za tym wysokim, ściśle strzeżonym ogrodzeniem, pewien byłem, że nie ma to nic wspólnego z produkcją kosmetyków.

\* \* \*

Byłem w posiadaniu wstrząsającej, strasznej prawdy. Nie wiedziałem wszystkiego, ale to co wiedziałem już wystarczało. Wszystkie fakty powiązane ze sobą układały się w logiczną całość... Raczinski był znakomitym uczonym. Wyłonił się w chaosie powojennej Europy, z życiorysem, którego nikt nie był w stanie sprawdzić. Mówił, że pochodzi z Polski, ale to było kłamstwo. Kiedy odkryłem sprawy, które mogłyby zdecydować o wszczęciu dochodzeń, mających na celu ustalenie prawdziwych faktów z jego życia — Rosjanie próbowali mnie zgładzić. Co mam jeszcze dodać? Że przez wszystkie te lata Raczinski nie pracował na własny rachunek, lecz na rzecz Rosjan. Po prostu, Raczinski był sowieckim szpiegiem!

Zastanawiałem się, czy Marya o tym wiedziała...

## ROZDZIAŁ 6

Co robić? Jeśli moje wnioski okażą się trafne, sprawy potoczą się w sposób trudny do przewidzenia. Może powinienem skontaktować się z odpowiednimi służbami... Ale co oni pomyślą sobie o moich, nie popartych dowodami, przypuszczeniach?... A jeśli nie mam racji?... Poza tym nie miałem wcale ochoty na obrzucanie Raczińskiego błotem, nie dając mu szansy obrony. Obawiałem się jednak, że jak tylko dowie się, że wróciłem, zniknie. Nie mogłem podejmować takiego ryzyka. W końcu zdecydowałem się jechać prosto do Hampstead, nie anonsując telefonicznie swojej wizyty.

Z powodu korków na drogach dotarłem do domu Raczińskiego dopiero około piątej. Jego samochód stał zaparkowany przy krawężniku. Na górze paliło się światło. Poprzez zasłony mogłem dojrzeć cień sylwetki Maryi. Skierowałem się do drzwi wejściowych. Byłem wściekły na siebie, za to co robię, ale sprawy zaszły tak daleko, że nie było czasu na sentymenty. Wszedłem na górę, nacisnąłem guzik dzwonka.

Drzwi otworzyła Marya. Spojrzała na mnie, nie mówiąc ani słowa. Na jej twarzy nie malowały się żadne uczucia.

— Wejdz, proszę — rzuciła przygaszonym głosem.

Była blada, wyglądała na zmęczoną, miała podkrążone oczy. Widocznie dramat już się rozegrał i to bez mojego udziału. Wszedłem.

— Czybyś spodziewała się mnie?

— Tak... Od jakiegoś czasu.

Wciąż nic nie rozumiałem.

— Na pewno domyślasz się, dlaczego przyszedłem...

- Chyba tak.
- Muszę porozmawiać z twoim ojcem.  
Potrząsnęła głową.
- Mój ojciec nie żyje... — powiedziała.

\* \* \*

Odwróciła się i przeszła do bawialni. Wstrząśnięty stałem przez jakiś czas w bezruchu. Po chwili ruszyłem za nią.

- Co się stało? — zapytałem.
- Zażył coś... Jakąś truciznę.

Konwencjonalne wyrazy współczucia wydawały mi się nie na miejscu.

- Kiedy to się stało?
- W czwartek.
- Byłaś przy tym?
- Nie, wówczas byłam w Irlandii. Pracowałam. Zawiadomiła mnie policja. Przyleciałam wczoraj.
- Kto znalazł ciało?
- Policja... Przed śmiercią ojciec napisał do nich list...
- A dla ciebie zostawił jakieś wyjaśnienie?
- Zostawił spisana historię swojego życia. — Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady dużą kopertę. — To dotyczy także ciebie. Zostawię cię samego...

Wyszła. Usłyszałem, jak zamyka drzwi sypialni.

\* \* \*

Skreślony kanciastym pismem list miał wiele stron. Był datowany na *czwartek po południu*. Zacząłem lekturę:

*Moja droga Maryo,*

*Nadszedł czas, kiedy muszę wyjawić Ci całą prawdę o sobie, prawdę, której — miałem nadzieję — nigdy nie poznasz.*

*Jestem Rosjaninem, nie Polakiem. Urodziłem się nie we*

*Lwowie, jak ci mówiłem, ale w Leningradzie — mieście znanym jako Piotrogród. Mój ojciec był inżynierem, matka — nauczycielką. Oboje poparli Rewolucję Październikową i brali w niej czynny udział. Wychowany zostałem już jako bolszewik w drugim pokoleniu, jako zdyscyplinowany wyznawca doktryny marksistowskiej. Studiowałem chemię na uniwersytecie w Leningradzie. Uważano, że jestem bardzo zdolny i czeka mnie świetlana przyszłość. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej ożeniłem się z Twoją matką, która również urodziła się w Leningradzie. Bardzo ją kochałem.*

*Kiedy działania wojenne objęły terytorium Związku Radzieckiego, przydzielono mnie do Moskwy, do pracy w zakładach lotniczych. Twoja matka została nad Newą. Właśnie wtedy Niemcy podeszli pod bramy stolicy i każdy był potrzebny na linii frontu. Walczyłem przez dwa tygodnie, dopóki nie zostałem ranny w nogę. Kiedy odzyskałem siły, wysłano mnie do Swierdłowska, abym kontynuował rozpoczęte badania. W pierwszych miesiącach 1942 dostałem wiadomość z Leningradu, że przyszedł na świat. Trwała straszliwa blokada tego miasta. Dla mnie, jak i dla wielu innych ludzi, to był czas koszmaru. Ja mogłem pracować i — co najgorsze — miałem co jeść wiedząc, że jej dzienna racja żywności to kromka chleba, tak mała, że można ją było zamknąć w dłoni. W końcu dowiedziałem się, że zmarła z głodu...*

*Stało się to krótko po tym, jak NKWD złożyło mi propozycję współpracy. Chciano, żebym po zakończeniu wojny infiltrował środowisko zachodnioeuropejskich naukowców. Zasugerowano, iż mam jechać albo do Wielkiej Brytanii, albo do Stanów Zjednoczonych. Nie myślałem o tym, żeby zajmować się szpiegostwem. Wszystko traktowałem jako wypełnienie patriotycznego obowiązku. Poznając tajemnice kapitalistycznych wrogów, mógłbym pomóc Rosji, aby nigdy już nikt nie odważył się zaatakować mojego kraju.*

*Z całego serca, przyznam, nienawidziłem Zachodu; Niemców — za ich wojenne zbrodnie, aliantów — za roz-*

myślne — wierzyłem w to — zezwolenie na to, by Związek Radziecki wykrwawiał się w samotnej walce. Przyrzekano też, że jeśli wyrażę zgodę na współpracę, moja córeczka zostanie wywieziona z konającego Leningradu i znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Bałem się tylko o jedno. Plan zakładał, że kiedy padnie rozkaz wyjazdu na Zachód — mam zabrać Cię z sobą. Zastanawiałem się nad Twoją przyszłością — co się stanie, jeśli zostaniesz wychowana na Zachodzie i później dowiesz się, że Twój ojciec był rosyjskim szpiegiem... Uspokojono mnie. Wyjazd nie będzie trwał dłużej niż siedem lat od chwili zwycięstwa w wojnie. Później będę mógł wrócić do kraju. W takim wypadku będziesz mogła znowu zaadoptować się do warunków życia w Związku Radzieckim, a przede wszystkim nie ucierpisz moralnie. Dałem się przekonać.

Zaczął się czas intensywne szkoleń i przygotowań. Sfabrykowano dla mnie życiorys, polski życiorys. Na miejsce mojego urodzenia wybrano Lwów, jako że Rosjanie mieli zamiar po wojnie zaanektować to miasto. W takiej sytuacji wiedziano, jak trudno będzie dotrzeć do znajdujących się tam archiwów. Odbyłem intensywny kurs języka polskiego, uczyłem się historii Polski, poznawałem polskie zwyczaje i obyczaje. Przez kilka lat mieszkalem wraz z polskimi komunistami. Później, z oddziałami Armii Czerwonej, odwiedzałem wyzwolone obozy koncentracyjne, żeby lepiej poznać szczegóły potrzebne dla spreparowania mojej wojennej przeszłości. Jednym z obozów, w których byłem, był ten w Łodzi. Odwiedziłem również Lwów, krótko po tym, jak został zdobyty przez nasze wojska, aby zapoznać się z miejscami, które miały występować w moim życiorysie. W końcu, w najbardziej dogodnym momencie, zaopatrzone w fałszywe dokumenty — wyruszyłem wraz z Tobą na Zachód. Wszystko, co Ci mówiłem o życiu w obozach dla dipisów oraz o tym, jak trafiliśmy do Wielkiej Brytanii, było prawdą. Opowieści zaś o moich przeżyciach w obozach koncentracyjnych, o życiu w Łodzi, walce w polskiej partyzantce — to nieprawda.



*Po przybyciu do Anglii byłem inwigilowany, ale w sposób niezbyt uciążliwy, jako że tajne służby brytyjskie w owym czasie miały aż nadto zajęć. To, że miałem Ciebie, że opiekowałem się trzyletnim dzieckiem, bardzo pomogło mi w zaskarbianiu sobie sympatii i zaufania społecznego — tak jak przewidywał to radziecki wywiad. Pomocne okazały się również noszone przeze mnie w sfatygowanym portfelu, podrobione dokumenty — przechowywane, jak mówiłem — przez naszych sąsiadów ze Lwowa, którzy po śmierci matki i pod moją nieobecność rzekomo opiekowali się Tobą. Była to fotografia Twojej matki, sfałszowane świadectwo ślubu i moja podrobiona metryka urodzenia. Dzięki tym dokumentom nie miałem żadnych kłopotów.*

*Początkowo nic nie zakłócało naszego pobytu w Anglii. Nie obawiałem się niczego tak długo, jak byłem uważany za uchodźcę. Nie sądziłem, by ktokolwiek na Zachodzie rozpoznał mnie i wydał. Szansa na to, że ktoś, kto studiował we Lwowie przed wojną, mógł natknąć się na mnie i ujawnić całą prawdę — była jednak duża. Praca, jaką wykonywałem w Londynie, była absorbująca i na pewno ważna — ale nie tajna. Na razie jednak nie musiałem słać żadnych raportów i tym samym nie miałem powodów do obaw. Z centralą kontaktowałem się jedynie poprzez agenta, który kazał się nazywać Frank. Mieszkał tutaj, w Hampstead, w mieszkaniu, którego okna dojrzeć można z mojego gabinetu. Obaj mieliśmy kinkiety zaopatrzone w czerwone żarówki. Umówiliśmy się, że jeśliby jeden z nas chciał się spotkać z drugim, między północą a pięć po północy zdejmie abażur i zaświeci tę żarówkę. Nasze krótkie spotkania odbywały się po zmroku w Hampstead Heath, zaś dłuższe na szczycie Chanctonbury Ring. Tam rozmawiając mieliśmy całkowitą pewność, że nikt nas nie widzi, ani tym bardziej — nie podsłuchuje... Z początku jednak do takich spotkań dochodziło jedynie w sporadycznych przypadkach.*

*Wraz z upływem lat znowu zaczęłam martwić się o Ciebie. Najpierw, pod czujnym okiem Lucy, potem — poprzez szkolną edukację — byłaś wychowywana na Angielkę.*

*Kiedy mijał już szósty rok naszego pobytu w Anglii, poprosiłem łącznika z centrali, aby zapytał, czy mogę już wracać do kraju. Miałem nadzieję, że moja prośba zostanie wysłuchana. Nic z tego. Przywiózł instrukcje z Moskwy, że muszę jeszcze zostać.*

*Od tego momentu więcej uwagi zaczęli poświęcać mojej pracy, nie tylko naukowej, oczywiście. Ktoś z najwyższego szczebla radzieckiego wywiadu wpadł na pomysł, iż dobrze byłoby jeszcze bardziej uwiarygodnić moją postać. Tak narodziła się idea sprokurowania fikcyjnego procesu i oskarżenia mnie o zbrodnie wojenne, jakich miałbym dopuścić się w obozie w Łodzi. Poinformowano mnie o wszystkim. Jedynie poinformowano, niczego nie konsultując.*

*Zamysł był prosty — w ten sposób chciano utwierdzić niejako mój wizerunek antykomunisty. Dwaj świadkowie — Lutkin i Skaliga, o których, tak jak i o inne sprawy, musisz zapytać Tima — byli pracownikami aparatu bezpieczeństwa. Poznałem ich w czasie szkolenia w Moskwie. Rozprawa trwała krótko, od razu zapadł wyrok. Sztuczka się udała. Nikt, kto mnie znał, nie brał poważnie sowieckich oskarżeń. Punkt widzenia władz brytyjskich był taki, iż uważały one, że Rosjanie podnieśli tego rodzaju zarzuty, bo jakiś agent doniósł, iż jako fachowiec jestem bardzo użyteczny dla Zachodu. Chciano więc skompromitować mnie.*

*Niedługo potem rozpocząłem pracę na stanowisku zastępcy dyrektora tajnego laboratorium w Welwyn, które de facto jest jednostką podległą bezpośrednio rządowi brytyjskiemu. Zacząłem robić to, do czego byłem specjalnie wyszkolony. Działąłem z wielką ostrożnością. Obawiałem się, że jeden fałszywy krok przy zbieraniu materiałów wywiadowczych, jakie miałem przysyłać do Moskwy, może wskazać na istnienie przecieku. Nie działałem samotnie — miałem kilku wysoko postawionych informatorów. Nie myślałem o moralnej stronie swojej działalności. To był obowiązek, który miałem wykonać. Z biegiem czasu jednak narastał we mnie wewnętrzny konflikt. Nie tylko wciąż*

*obawiałem się o Ciebie, Maryo, ale stałem się również rozdarty ideowo. Uświadomiłem sobie, że wolność — ta wolność w sensie zachodnioeuropejskim — to nie tylko puste słowa. Na moją świadomość wpływ wywarli Polacy, z którymi się spotykałem. Słyszałem ich opowieści z czasów wojny. Rozmawiałem z ludźmi, którzy przeżyli łagry na Syberii. Wiedziałem już, że informacje, które traktowałem jako kłamstwa faszystów — to niepodważalna prawda!*

*Był jeszcze jeden czynnik zmiany mojego widzenia świata — osobisty. Przez lata bardzo przywiązałem się, jak zapewne wiesz, do Lucy. Nic nie sprawiłoby mi większej radości jak to, aby zapytać ją, czy zechce mnie poślubić. Gdybym tylko był wolnym człowiekiem... A tak, nie byłem w stanie wplątywać w swoje podwójne życie jeszcze jednej, niewinnej osoby.*

*Zacząłem szwankować na zdrowiu. Efekt ciągłego napięcia. Pomyślałem, że powiem mojemu łącznikowi, że nie jestem w stanie, z powodu stresu psychicznego, dłużej wypełniać moich obowiązków. Byłem naiwny niczym dziecko. Odpowiedź brzmiała: albo dalej będę lojalnie wykonywał pracę na rzecz Związku, albo o wszystkim dowiedzą się angielskie władze!*

*Potem w Twoim życiu pojawił się Tim — wszedł i w moje życie. Polubiłem go, cieszyłem się i Twoim szczęściem. Miałem nadzieję, że niebawem wyprowadzi Cię z mojego zepsutego świata. Życzyłem sobie tylko, żeby niczego nie dowiedział się o mnie przebywając w Moskwie. Moje obawy spotęgowały się, kiedy okazało się, że odkrył informację o moim procesie. Przewidywałem jego reakcję. Nie dziwiłem się wcale, że chciał poznać całą prawdę.*

*Kiedy ponownie wyjechał do Moskwy, robiłem wszystko, co w mojej mocy, aby jemu, a tak właściwie to Wam obojgu, pomóc. Powiedziałem łącznikowi, że Tim interesuje się sprawą procesu, że ten właśnie fakt zadecydował, iż zerwaliście ze sobą. Jego dociekliwość może zagrozić mojej misji. Sugerowałem, by radzieckie władze, jeśli to będzie możliwe, skonfrontowały go z jakimiś ludźmi, którzy ode-*

grają rolę mało wiarygodnych świadków, występujących na moim procesie. Chciałem, by Tim upewnił się, że popełniona została pomyłka, co do mojej osoby. Lutkina dobrano w sposób znakomity. Skaliga — alkoholik, wszystko poplątał...

Niestety, Tim wyprawił się do Lwowa i odkrył drugi błąd, jaki został popełniony, tym razem przeze mnie. Moja szczegółowa opowieść o ogrodzie znajdującym się naprzeciwko domu, w którym miałem mieszkać — wygłosiłem ją z takim przejęciem, chcąc być jak najbardziej przekonujący... Kiedy Tim wrócił ze Lwowa, powiedział o wszystkim, co udało mu się tam znaleźć, a potem zdecydował, że jedzie do Londynu, żeby porozmawiać ze mną. Rosjanie wiedzieli już, że moje dni jako ich agenta są policzone. Nie byłbym w stanie się wykręcić. Po nitce do kłębka... W końcu zaczęto by węszyć — zostałbym zdemaskowany. Rosjanie straciliby nie tylko mnie, ale wpadłaby cała siatka. Pozostawał tylko jeden sposób na to, żebym mógł zostać na swojej placówce — trzeba było zamknąć Timowi usta... W pośpiechu zaaranżowano jego wyjazd na Ukrainę.

Wtedy jeszcze o wszystkich tych planach nic nie wiedziałem. Ani o rozmowie ze Skaliga, ani o podróży do Lwowa i jej konsekwencjach. Dopiero dzisiaj rano, kiedy — wezwany — poszedłem na spotkanie z łącznikiem, dowiedziałem się, co się stało. Powiedział mi o „wypadku”, który się nie udał; o tym, że Tim dotarł do Odessy i że wyglądało na to, iż zdołał zbiec, dotarłszy na pokład kanadyjskiego statku. Sytuacja oceniona została jako krytyczna. Co prawda nieprawdopodobne wydawało się, aby Quainton opowiedział wszystko kapitanowi okrętu, czy komukolwiek z załogi, ale tak czy inaczej powinienem być gotów do opuszczenia w każdej chwili terytorium Wielkiej Brytanii. Póki co, sowieccy agenci śledzą ruchy statku. Jeśli Quainton wysadzony zostanie w jakimś porcie nad Morzem Śródziemnym, zlikwiduje się go. Nawet jeśli udałoby mu się dotrzeć na lotnisko w Londynie, nasi ludzie się z nim rozprawią. Wtedy dalej będę mógł spokojnie pracować...

*Tak właśnie wygląda sytuacja, Maryo, teraz, kiedy siedząc przy biurku piszę do Ciebie te słowa. Skrytobójcy czekają na Tima... Przed godziną podjąłem decyzję. Pisanie tego listu — tej swoistej spowiedzi — do Ciebie pomogło mi ją podjąć. Nie potrafiłbym spojrzeć Ci w twarz. Lepiej więc będzie, jeśli usunę się z Twojego życia... To właśnie chcę zrobić. Wiem, że przeżyjesz wstrząs — lecz tak dla Ciebie, jak i dla mnie, jest to jedyne wybawienie.*

*Teraz muszę napisać jeszcze parę listów — jeden do policji, włożę do niego klucz od naszego mieszkania, inny do łącznika, trzeci do Ambasady ZSRR. Na pewno moje ciało zostanie znalezione rano. Rosjanie dowiedzą się, że nie żyję. Wtedy Tim już nie będzie musiał niczego się obawiać. Radzieckie służby specjalne są na tyle rozumne, że nie zechcą mścić się na nieboszczyku.*

*To wszystko, moja droga. Nie chcę się usprawiedliwiać. Jest mi przykro, że ściągnąłem na Ciebie tyle przykrości i kłopotów. Co zrobisz — to już nie moja sprawa. Sama zdecyduj — zdecyduj razem z Timem. Wiem, zostawiam Ci potworną schedę. Wiem, nic nie zrobiłem, żeby Cię uszczęśliwić. Żegnaj, Maryo...*

Podpis, którego mogłem się tylko domyślać, nie wyglądał tak, jakby kreśliła go polska ręka, lecz tak jakby wprost przeniesiony został z języka rosyjskiego. Przeczytałem — *Stefan Racziński*.

\* \* \*

Wstrząśnięty odłożyłem list. Oto cała prawda o ojcu Maryi. Sprawy, o których wiedziałem, i te, których nie znałem. Wszystko wreszcie na swoim miejscu. Proces i wyrok, dziwne zachowanie świadków, gotowość Pawłowa do spieszenia mi z pomocą — wszystko się wyjaśniło. Niesamowita opowieść — niesamowita, straszna i tragiczna...

Myśli zaczęły wirować mi w głowie. Co do jednego tylko miałem pewność — Marya o niczym nie wiedziała.

Zawołałem Maryą. Wyszła z sypialni. Jej twarz była niczym maska. Chciałem, by coś powiedziała, cokolwiek, co przerwałoby grobową ciszę. Pomyślałem, że może powinienem ją jakoś pocieszyć, ale wiedziałem, że nie życzy sobie ode mnie słów współczucia. Przecież, cokolwiek by jej ojciec zrobił, fakt pozostawał faktem, że to ja właśnie przyczyniłem się do jego śmierci. Mur, jaki wyrósł między nami, był nie do pokonania.

Próbowałem zachować spokój.

— Maryo, ten list mówi o rzeczach, o których nie miałaś nawet pojęcia. Jak to wszystko mogło się wydarzyć?

— Nie, nie teraz... Nie chcę o tym wszystkim dłużej myśleć.

— Czy policja zna treść listu?

— Nie... Znalazłam go dopiero ubiegłej nocy. Pod poduszką. Sądziłam, że będzie najlepiej, jeśli to ty pierwszy go przeczytasz.

— Muszę iść, zobaczyć się z kimś... Z kimś wysoko postawionym. Czy mogę wziąć list ze sobą?

— Jeśli chcesz...

— Jakie są wyniki śledztwa?

— Policja mówi, że będą znane we wtorek. Dadzą mi znać.

— Czy było coś w gazetach na ten temat? Nie czytałem dzisiaj prasy...

— *Times* podał informację, że ojca znaleziono martwego...

— Jak się czujesz? — Tak czule jak tylko potrafiłem, zwróciłem się do niej, rezygnując z dalszego dociekania szczegółów śmierci jej ojca. — Nie powinnaś teraz być sama...

— Wszystko w porządku...

— Musiałaś przeżyć straszliwy szok. Ktoś powinien się tobą zaopiekować. Czy nie możesz poprosić Tiny, żeby dotrzymała ci towarzystwa przez kilka dni? A może wybierzesz się do niej...

— Dam sobie radę.

— Czy Tina kontaktowała się z tobą?

— Tak, oczywiście... Powiedziała jej, że lepiej będzie dla mnie, jeśli zostanę sama... Nie martw się, nie wyskoczę przez okno...

— Nie o tym myślałem. Boję się tylko... Czy tutaj nie ma nic... Rozumiesz...?

— Nie, na pewno.. Proszę, idź już... — Przeszła do hallu i otworzyła frontowe drzwi. Stała w nich przez chwilę.

Co prawda nie powiedziała, żebym nie wracał, ale tak właśnie odczytałem jej zachowanie.

\* \* \*

Dla dobra Maryi powinienem zniszczyć list pisany przez Raczinskiego, ale oczywiście nie zrobiłem tego. Uważałem, iż władze powinny dowiedzieć się, że był szpiegiem. Wątpiłem jednocześnie, czy uda im się dopaść jego współpracowników. Im szybciej dowiedzą się o wszystkim, tym lepiej.

Pojechałem do hotelu. List włożyłem do koperty i osobiście zawiozłem go do Scotland Yardu. Chciałem mieć pewność, że przesyłka bezzwłocznie trafi do rąk właściwych ludzi. Wróciwszy do hotelu, zadzwoniłem do redakcji i zostawiłem informacje, że w pracy zjawię się w poniedziałek rano. Rzuciłem się na łóżko i zasnąłem jak kamień.

W niedzielę byłem tak zaabsorbowany, że nawet przez chwilę nie miałem czasu, aby rozmyślać nad moimi prywatnymi kłopotami. W siedzibie Scotland Yardu zostawiłem adres, pod jakim jestem uchwytany. O świcie zajechał pod hotel policyjny samochód, którym zawieziono mnie na posiedzenie służb specjalnych do Whitehall. Musiałem szczegółowo powiedzieć, co wiem o Raczinskim i odpowiadać na niezliczone pytania. Rozmowy i przesłuchania trwały do późnego popołudnia. Kiedy zakończyły się, czułem, że uchodzi ze mnie życie...

Po kolacji zadzwoniłem do mieszkania Maryi. Chciałem sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, a poza tym, bez względu na to, co do mnie czuła, nie miałem zamiaru z niej zrezygnować. Nikt nie podnosił słuchawki. Pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli przedzwonię do Tiny Howell. W końcu jednak zrezygnowałem z tego pomysłu.

W poniedziałek rano poszedłem do redakcji, przede wszystkim po to, by zobaczyć się z Johnem Cole'em. Nie było to miłe

spotkanie dla nas obu, bowiem przekazano mi na policji, abym nikomu słowem nie wspominał o sprawie Raczińskiego, ani też o mojej ucieczce z terytorium Związku Radzieckiego, dopóki nie zostaną wyjaśnione związane z tym szczegóły. Na liczne pytania Cole'a mogłem tyle tylko odpowiedzieć, że wplątałem się w aferę wywiadowczą i to jest powód, dla którego tak szybko wróciłem do Londynu. Przyszedłem, że zdam mu pełną relację, ale dopiero za jakiś czas.

Moja frustracja pogłębiała się. Wciąż nie mogłem dodzwonić się do Maryi. W jej biurze nie potrafiono mi powiedzieć, gdzie jest obecnie. Przypuszczałem, że wywiad wziął ją pod swoje skrzydła — co później okazało się prawdą. Następnego dnia bowiem przyjechała na przesłuchanie służbowym samochodem. Zznała, zanim zdołaliśmy zamienić choć słowo, że jej ojciec od dłuższego czasu cierpiał na depresję. Wyglądała na bardzo zmęczoną i przygnębioną, lecz pocieszałem się, że przynajmniej jest w dobrych rękach. Orzeczenie komisji lekarskiej brzmiało: samobójstwo spowodowane zaburzeniami świadomości. Wszystko załatwiono dosłownie w ciągu godziny. Komuś wyraźnie się spieszyło.

Tego wieczora raz jeszcze spróbowałem dodzwonić się do Maryi — znowu bez skutku.

Próbując ustalić telefonicznie miejsce jej pobytu, następnego dnia, dowiedziałem się, że ciało Raczińskiego zostanie poddane kremacji w czwartek rano w Golders Green. Pojechałem tam. Przyszło kilku jego przyjaciół i znajomych — i oczywiście Marya. Sama. Uroczystość należała chyba do najkrócej trwających w historii kościoła anglikańskiego. Dziwne było myśleć o tym, że gdyby sprawy potoczyły się trochę inaczej, Racziński z racji swych zasług miałby pompatyczną ceremonię pogrzebową na Placu Czerwonym, a jego szczątki spoczęłyby u stóp Kremla. Na razie jednak nikogo nie interesowała zbytnio jego postać. Zastanawiałem się, kiedy rozpęta się prasowa burza.

Po zakończeniu ceremonii ruszyłem w ślad za Maryą, na którą nie czekał żaden samochód. Jacyś ludzie proponowali, że podrzucą ją do centrum, ale odmówiła. Podszedłem więc i zapytałem:



— Dokąd idziesz?

Wzruszyła ramionami: — Rzecz jasna, do domu.

— Pozwól, że cię odwiozę.

— To nie jest konieczne... — Jej głos wciąż był zimny, oschły.

Zatrzymała się. Otworzyłem drzwi samochodu i na dobrą sprawę wepchnąłem ją do środka. Ruszyliśmy w kierunku Hampstead.

\* \* \*

Podróż nie trwała długo, toteż nie mieliśmy okazji, aby zamienić ze sobą choć kilka słów. Jednak kiedy tylko przekroczyliśmy próg mieszkania, coś we mnie pękło.

— Posłuchaj — zacząłem — rozumiem, że jesteś na mnie wściekła i jeśli nie masz ochoty na mnie patrzeć, to nie pozostaje mi nic innego jak tylko... Wiem, że to wszystko, co spadło na ciebie, to moja wina. Jeśli nie byłbym taki wścibski, to nic by się nie stało. Twój ojciec wciąż by żył. Masz prawo powiedzieć, że to ja go zabiłem... Ale musiałem postąpić tak, jak postąpiłem. Musiałem poskładać tę łamigłówkę. Robiłem wszystko, żeby pomóc nam samym...

Marya spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem.

— Wiem — powiedziała.

— No więc, dlaczego traktujesz mnie jak mordercę, jak kogoś napiętnowanego?

— Mylisz się. Nie mam do ciebie pretensji...

Milczeliśmy. Dopiero po chwili zapytałem:

— Co się z tobą dzieje? Jesteś niczym bryła lodu.

— Prawie tak się czuję... Jestem jak sparaliżowana.

— Tak bardzo bolejesz nad śmiercią ojca?

— Nie boleję...

— Więc o co chodzi? Powiedz, proszę!

— Dobrze — odparła. — Powiem ci, co czuję... Ojciec był moją dumą. Byłam mu wdzięczna za to, że poświęcił mi swoje życie. Podziwiałam go. Szanowałam. Sądziłam, że jest wspaniałym, odważnym człowiekiem, który tyle wycierpiał w czasie

wojny. A on był kanalia... Kłamał. Był nieuczciwy. Był człowiekiem o dwóch twarzach. Każdego dnia mnie oszukiwał. Nigdy mu tego nie zapomnę!

A więc o to chodziło!

— Zrujnowała całe moje życie — ciągnęła dalej. — Sprawili, że myślałam, iż jestem Polką, a jestem przecież Rosjanką. Wmówił we mnie przeszłość, jakiej nie miałam. Sprawili, że cała, tak jak on, zbudowana jestem z kłamstwa. Bezgranicznie mu wierzyłam. Wierzyłam we wszystko, co mówił — a on mnie okłamywał, okłamywał... Jestem pusta, nie mam duszy... — Łzy zabłyśły w jej oczach. — Jak on mógł to zrobić?... Jak mógł patrzeć mi w twarz i uśmiechać się, żartować — wiedząc, że robi, to co robi... To podłe!

— Tak — powiedziałem i zamyśliłem się. — Potrafię wyobrazić sobie, jak się czujesz, Maryo. To musiał być dla ciebie ogromny wstrząs — poznanie prawdy... Wiem o tym... Szpieg nie raz musi oszukiwać najbliższych sobie ludzi... To cena, jaką płaci. Twój ojciec nie robił tego na pewno z radością..

— Nie musiał być szpiegiem...

— Nie musiał, ale chciał służyć swojemu krajowi, dlatego zwerbowano go...

— Próbujesz go bronić?

— Chcę być tylko uczciwym wobec niego. Był Rosjaninem i rosyjskim patriotą. Był też komunistą. Wierzył w sens prowadzenia wojny z Zachodem. Podjął się niebezpiecznej misji, aby przyczynić się do jej zwycięstwa. To wcale nie musi go obciążać moralnie. Uważam, że każdy człowiek ma jakiś cel w życiu i prawo do tego, żeby go osiągnąć. Nawet, jeśli jest to...

— Ale to był szpieg!

— W porządku. Słowo szpieg nie kojarzy się najlepiej. Ale w końcu wszystkie państwa korzystają z usług szpiegów, jakbyśmy ich nie nazywali... Czasami jest to słuszne, odznaczamy ich, nagradzamy... A jak nazwać skoczków spadochronowych, którzy w czasie wojny lądowali na terytorium wroga?

— To nie to samo. Mój ojciec przysięgał być lojalnym obywatelem Zjednoczonego Królestwa...

— Tamci zaś przysięgali być wiernymi obywatelami Niemiec, jeśli miało im to ułatwić wykonywanie zadań. Czy sądzisz, że nigdy nie wrzeszczeli *Heil Hitler...*?

— Ale przecież oni walczyli w imię wolności!

— Twój ojciec też na początku walczył o najszczytniejsze ideały... o pokój, braterstwo, o to, by już nigdy nikt nikogo nie wykorzystywał... Na pewno tak myślał. W istocie zaś pracował na rzecz tyranii — strasliwej tyranii, która — jeśli by jej na to tylko pozwolić — zniewoliłaby cały świat. Wiesz o tym, tak samo dobrze jak ja. W końcu i on przejrzał na oczy. W porządku — mylił się. Stanął po niewłaściwej stronie barykady. To jednak wcale nie znaczy, że był człowiekiem nikkczemnym.

Marya pokręciła głową

— Nie potrafię tak bezstronnie patrzeć na tę sprawę... Może nie potrafię wybaczyć...

— Musisz, dla swojego własnego dobra.

— Myślę o krzywdach, jakie wyrządził.

— Zapłacił za nie wszystkim, co posiadał. Jego życie było udręką — wyziera to z każdej linijki jego listu. Popełnił samobójstwo, żeby mnie ochronić, a przecież mógł mnie poświęcić... Nie ma powodu, żebyś się za niego wstydziła.

— Wstydzę się, i to bardzo. Każdy na moim miejscu by się wstydził. Wstydzę się jego znajomych, swoich przyjaciół... Nie mogę spojrzeć im w twarz, Tim. Nie jestem w stanie nikomu spojrzeć spokojnie w twarz... Czuję się taka poniżona.

— Posłuchaj — przerwałem — jeżeli poniżony czułby się każdy, kto nie zgadza się z matką lub ojcem, to połowa mieszkańców świata musiałaby na znak pokuty posypać sobie głowę popiołem. Co by twój ojciec nie uczynił — nie ma w tym twojej winy. Nie odprawiaj za niego pokuty... Zapomnij o wszystkim!

— Jak mam zapomnieć, skoro wszystko może wyjść na jaw? Wiesz dobrze, co to znaczy!

— Tak, wówczas byłaby mała burza... Ale przeżyjemy ją... razem.

— Razem?!

— Pobierzmy się. Kłopotom stawimy czoła razem!

— Małżeństwo — teraz?! Musiałeś postradać zmysły!

- Dlaczego nie? Co masz przeciwko temu?
- Niemożliwe... To wszystko ze współczucia...

Prawie wrzasnąłem.

— Wcale ci nie współczuję! Jeśli chcesz wiedzieć, to sobie współczuję! Kocham cię, pragnę i chcę się z tobą ożenić. Nigdy, nawet przez chwilę, nie przestałem cię kochać. Chcę, abyś została moją żoną...

— Tim, nic z tego nie będzie. Nie po tym, co się stało...

— To już kiedyś mówiłaś. Porzuć wreszcie tę swoją, obrzydliwą dumę... Znowu zaczynasz... Przestań wreszcie myśleć o tym, co ludzie powiedzą. Pomyśl o nas, o nas dwojgu... Maryo, wszystko przetrwamy, będziemy szczęśliwi. Dlaczego nie chcesz spróbować?

\* \* \*

Po tym wyznaniu wyszedłem. Niczego nie ustaliliśmy. Oczywiście, nie chciałem wychodzić, ale powiedziała, że jest zmęczona, a że wyglądała na zupełnie wykończoną, nie miałem serca dłużej zadreżać jej swoją obecnością.

Przez cały wieczór myślałem o niej. Obraz Maryi nie mógł odpłynąć z mojej wyobraźni. Byłem nazbyt łaskawy dla Raczińskiego. Nikt nie miał prawa zrobić tego, co on zrobił tej dziewczynie. Nawet kierując się najszczytniejszymi pobudkami.

Wypiłem kilka kieliszków, ale to tylko wzmogło mój nastrój przygnębienia. Położyłem się do łóżka, aby przetrwać jakoś tę jedną z najokropniejszych nocy w moim życiu. Cały czas bałem się o Maryę. Co prawda powiedziała, że nie ma zamiaru wyskoczyć przez okno — wierzyłem jej, ale przecież to nie to samo, co mieć zupełną pewność.

Rano zadzwoniłem do niej. Telefon jednak nie odpowiadał. Na śniadanie byłem w stanie przełknąć jedynie filiżankę kawy, którą zamówiłem do pokoju. W chwilę potem zadzwoniła pani Phelps informując, że redaktor naczelny chce mnie widzieć. Mam się stawić o jedenastej. O dziesiątej zadzwoniłem do biura Maryi. Poinformowano mnie, że panna Racziński trochę się spóźni. Zniknęły moje obawy o jej bezpieczeństwo — niestety, pozostało

uczucie depresji. Jeśliby podjęła jakieś decyzje odnośnie naszej przyszłości, na pewno by się ze mną skontaktowała... To wszystko nie ma sensu. Na pewno wybrała, ale życie bez mnie. Cole przebąkiwał coś wcześniej o jakiejś zagranicznej placówce. Prawdopodobnie właśnie w tej sprawie chciał się ze mną widzieć. Niezła myśl w tej sytuacji... Pojadę...

Wykapałem się, ubrałem i o wpół do jedenastej wyszedłem z hotelu do redakcji. W recepcji czekała na mnie przesyłka. Powiedziano, że dostarczono ją przed chwilą. List był od Maryi.

Pożegnanie...?

Nerwowo rozerwałem kopertę. Wewnątrz była niewielka karteczka, na której widniały, odręcznie skreślone, dwa zdania. *Kochanie, daj mi trochę czasu. Proszę, daj mi trochę czasu.*

\* \* \*

Już wiedziałem, że wszystko się jakoś ułoży.